KS. MARJAN TOKARZEWSKI.

STRAŻ PRZEDNIA

(ZE WSPOMNIEŃ I NOTATEK).

WYDANIE PIERWSZE.

WARSZAWA.
NAKŁADEM POLSKIEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO.
Skład główny: księgarnia M. OSTASZEWSKA i S-ka w Warszawie.

ODBITO 3020 EGZEMPLARZY, W CZEM
20 EGZEMPLARZY NA PAPIERZE CZERPANYM.

PRZEDMOWA.

„Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek, błądzący bez celu.

Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego.

Polak w pielgrzymstwie nie ma jeszcze imienia swego, ale będzie mu to imię potem nadane, jako i wyznawcom Chrystusa imię ich potem nadane było.

(Mickiewicz z Księgi Pielgrzymstwa).

Do historji ucisku katolicyzmu na naszych wschodnich kresach przez Carską Rosję, do smutnych dziejów martyrologji polskiej w okresie przewrotu bolszewickiego, krwią polską zalewającego bujne łany Podola, Wołynia i Ukrainy — wreszcie do przeżyć dantejskich tułaczki polskiej po przestworzach Rosji i męczeńskiego pielgrzymstwa rzesz ludu polskiego, wygnanych z ojcowizny, przybywa książka niniejsza pisana z natchnień głęboko wierzącego kapłana, strażnika dusz kresowego, duchowego potomka księdza Marka z Baru i Okopów św. Trój-

cy, -- książka, ożywiona czystym patrjotyzmem polskim, z miłości i utęsknień kresowych za ojczyzną, w ciszy dworu wiejskiego zrodzonym, książka męstwem Skrzetuskiego, prostotą i ofiarnością Podbipięty tchnącą, a wiarę w szczytne posłannictwo swego narodu, — i pewność w zwycięstwo idei polskiej w czytelniku — budzącą.

Książka ta nie jest ani jedną z licznych kompilacji, których tak wiele stwarza piśmiennictwo obecne, ani utworem literackim, szukającym efektów artystycznych, — jest to żywa, bezpretensjonalnym, prawie żołnierskim stylem, ułożona opowieść o przeżyciach kapłana kresowego; jest to wierne odbicie pojęć i nastrojów, które powstawały w odległej od stolic **prowincji**, dokąd mało ze świata dochodziło wiadomości.

A w tej głuchej prowincji, trzeba było rozproszonym polskim jednostkom powziąć decyzję w momentach trudnych i niebezpiecznych trzeba było innym przyświecać przykładem aby utrzymać nieskalanym sztandar narodowy. Więc mówi nam książka ta, krwią serdeczną pisana, jak sobie radzono wówczas na **„przednich strażach"** krzyża i narodu, na plebaniach, lub w owych białych dworkach kresowych, tonących w puszystych dąbrowach podolskich, w owych cichych ogniskach życia polskiego, w czasie gdy dokoła szalała burza dziejowa, a wszystko co było podstawą ładu, wiązadłem budowy społecznej, runęło w gruzy, a świat zapadał się w chaos ponury i nierozejrzany, zanim z tej posępnej rzeczywistości miała się wyłonić w snach niewoli wymarzona i święta idea Polski Niepodległej.

Otóż autor nasz czcigodny, jak nie jeden z tych niezliczonych bohaterów kresowych, których zarówno nazwiska jak i czyny zaginęły w zawierusze dziejów bezprzykładnej, potrafił ustać na swem polskiem i kapłańskiem stanowisku z godnością, umiał zbestjalizowanym tłumom, nakazać szacunek dla siebie — i dla idei, których był strażnikiem a patrząc z tego górnego stanowiska na rozszalały huragan dziejowy, dostrzega śród ogólnej anarchji, na tle krwawych zbrodni i dzikiego rozpasania, cenne objawy bezinteresowności, poświęcenia i czystego patrjotyzmu.

Widział więc i opisał współczesne bohaterstwo młodzieży polskiej, — równe najpiękniejszym wzorom przeszłości. Powtarza się ono na tych Kresach już tylekroć razy, powraca, jak ruń kwietna odnawiająca się corocznie w słońcu wiosny, jak echo powrotne od zamczysk kresowych odbite, jako rytm dziejów nieustanny, świadczący o ciągłości i nieśmiertelności polskiego posłannictwa na tych odległych rubieżach cywilizacji zachodniej.

Jest więc w pamiętniku ks. Tokarzewskiego coś więcej, niż pamiętnik zdarzeń, jest coś co tchnie bujnemi nastrojami, płomienną miłością ojczyzny, co sięga do głębi ducha narodowego.

A jeżeli wrócić do zdarzeń, a w szczególności do sądu o ludziach, to w wydawnictwie niniejszem które jest tak blizkie tych zdarzeń, które się ukazuje za życia ludzi, o których mowa, lub o których z dyskrecją przemilczano, — autor jest powściągliwy niezwykle. Nie porusza nawet sporów o orjentacjach, które ludzi dzieliły lub dzielą, nie

wdaje się w te drażliwe spory, tu i owdzie czyni tylko lekką aluzję, — że nie przyszedł jeszcze czas na ogłoszenie szczegółów, zachowanych dyskretnie w tece autora dla wydań następnych.

Z ogólnych syntetycznych zagadnień autor stara się odpowiedzieć na pytanie dla czego tak liczny i bogaty intelektualnie i materjalnie element polski, nie potrafił się oprzeć kataklizmowi dziejowemu, który od wschodu nadchodził.

I odpowiadając na to pytanie X. Tokarzewski, stwierdza to, na co już uprzednio zwrócił uwagę Arcybiskup Feliński w swoim pamiętniku, że bogate warstwy społeczeństwa nie stanęły na wysokości zadania cywilizacyjnego Polski. Oddano się życiu wygodnemu, używaniu dostatków, jakie kraj ten dawał, a nie pracowano dostatecznie dla szerszych warstw społecznych. Nie wykonywano zaleceń wieszczych T. Czackiego, który w 1805 r., otwierając liceum Krzemienieckie przestrzegał, że dla szczęścia tej ziemi i własnego konieczną jest praca „w doskonaleniu serca i rozszerzaniu władz rozumu". Otóż wyższe warstwy polskiego społeczeństwa nie dostatecznie popierały pracę duchowieństwa katolickiego umoralniającą, i czyniły zbyt mało dla oświaty ludu, a olbrzymie bogactwa materjalne zużywały w sposób lekkomyślny. Do tego stanu rzeczy przyczyniały się utrudnienia stwarzane przez władze cesarską, ale wszystko kłaść na karb rosyjskiego ucisku, byłoby niegodną wymówką, i objawem szkodliwego zaślepienia. To też autor wyprowadza z tego wniosek dydaktyczny, przestroga przed popełnianiem na innych terenach, w obrębie dzisiejszej Rze-

czypospolitej, tychże samych błędów opieszałości obywatelskiej.

O sobie pisze x. Tokarzewski mało, a nic **pro domo sua**, ale niezależnie od jego intencji zarysowuje się na tle tego pamiętnika piękna postać kresowego kapłana, w którym przeplatają się cechy Podbipięty i ks. Marka, a pięknie się zarysowuje samarytańska jego działalność. Oto np. na pierwszą wieść o wyruszeniu z Moskwy oddziału sanitarnego polskiego Czerwonego Krzyża, do Turkiestanu dla walki z szerzącą się wśród jeńców i wygnańców epidemją, X. Tokarzewski bez chwili wahania odrazu przyłącza się do oddziału i trudnej a niebezpiecznej pracy poświęca cały swój zapał i żelazną energję.

A fantazja jego szlachecka, i trocha przeszłością tchnącą buta i pogarda dla niewiernego plebsu — każe mu wybierać raczej śmierć niż upokorzenie i w chwilach, w których zdaje się nie ma już żadnego wyjścia, ratuje się, albo fortelem jakiego pozazdrościłby mu Zagłoba, albo szczerą i gorącą modlitwą u stóp ołtarza: „Panie, zmiłuj się, daj śmierć. ale nie daj hańby i poniewierki“.

Bujna, gorąca jego natura, nie dająca się wciągnąć w ramy krępujących wiarę katolicką przepisów rządu rosyjskiego, była powodem nieustannych konfliktów z władzą świecką — a w konsekwencji ciągłych przenosin z jednej parafji do drugiej z jednej do drugiej zarządzonej przez władze rosyjskie „pokuty klasztornej“. To też zmienia się w pamiętniku jak kalejdoskopie tło zdarzeń.

A gdy dochodzi do czasów wojny, mamy jeszcze większą rozmaitość terenu. X. Tokarzewski

znajdował się w głębi Rosji, w otoczeniu fali wychodźczej polskiej — niesie pomoc skuteczną cierpiącym, zadziwia swoją energją — budzi miłość powszechną wychodźctwa, gromi palącem słowem mówionem i pisanem bezduszność i obojętność rosyjską. Ta działalność jego staje się w owym czasie popularną w całej Rosji, są momenty, w których cała prasa rosyjska mówi o ks. Tokarzewskim jak np. wtedy, gdy wystąpił w obronie dzieci polskich w Jarosławlu. Chlubne o nim świadectwa znajdujemy z tego czasu jego działań w pamiętniku, R. Dybowski „Siedem lat w Rosji i na Syberji", i w poemacie na cześć ks. Tokarzewskiego osnutym przez Popoffa*) p. t. „Jaskółki".

*) Czy ja zapomnę tę postać wyniosłą
Nad zwykłych ludzi miłością i gniewem,
Bo zda się skrzydło miał w ramieniu lewem
Prawe, jak gdyby do miecza przyrosło...

. . . .

Oko złzawione, płonące zapałem
Rzekł byś, że rycerz powstał z Kresów dawny
Tyle w nim było i siły i hartu,
Tyle tej jakiejś już minionej mocy....

. . . .

A w koło niego polskie pacholęta
Kupią się jasne.....
On je pod wielką chował peleryne,
I był jak dobry pasterz wśród owczarni,
Co z ócz dziecięcych lęk odpędza sarni...

---

*) Oto niektóre ustępy z tego poematu charakteryzujące ks. Tokarzewskiego.

A dalej opowieść ks. Tokarzewskiego:

...W tym czasie troje dziewcząt mi umarło
A potem... co dzień... po dwa... trzy pogrzeby,
Rosły mogiłki na cmentarzu świeże.
Przyszły dni ciężkie, posępne, pokutne
I rozpacz czarna i jęki i płacze
Ale miasto wciąż spało bezduszne, okrutne.
Ani się jedno serce nie, poruszy,
Ani się jedno sumienie nie krwawi
Tylko śmierć swoją straszną klechdę prawi..
...Aż nadszedł straszny dzień sądu i trwogi...
Dziesięć mi trumien postawią w kościele
Dziesięć na jednym dniu, Boże, zawiele...

* * * * * * * * * * *

Leżałem krzyżem. Lud klęczał w pomroce
Wielkiego bólu, zawodząc boleśnie,
A ja wciąż byłem nieprzytomny we śnie,
Tylko mię śpiewy dochodzą sieroce!
I oto Bóg mię natchnął myślą nagłą;
Każę chorągwie wynosić z kościoła....
Z trumnami stojąc rzędem w poprzek drogi,
Och barykady wam wniosę uliczne,
Ciała tych dzieci skostniałych, tak liczne,
Dziś wam te wasze znieruchomią nogi.
A sam na przedzie....
Lud za trumnami w spokoju, powadze
Jakby na wielkie ich święto prowadzę:
Takieśmy w pogrzeb ten wczuli się duszą!
...Patrzali zrazu na pochód w podziwie...
Nagle się słońce skryje w chmury, z trwogi,
Wszystko, co żyje, ucieka het z drogi,
A psy zawyją daleko... straszliwie.
Zamarło nagle w moim miejskim ulu,

Każdy twarz kryje zbielałą jak chusta.
„Hospod pomiłuj" szepcą trwożne usta....
Była to wielka demonstracja bólu..

. . . .

Miałem przemowę ja na tym pogrzebie,
Ludzie mi moi przysięgli na dzieci,
Że do Ojczyzny powrócą....
Że w wrogim kraju nie zmarnują siebie.
A w dniu następnym w miejscowej gazecie
W imieniu dzieci składam dziękowanie
Psom miejskim za ich posępne szczekanie,
Za to współczucie, co psie serce gniecie
O, pozazdroście psom ich serc wy, ludzie...

. . . .

I cóż powiecie, złamałem Moskali,
Coś im się przecie na dnie serca kryło.
Przychodzi jeden tu z mową zawiłą.
Oko mu ciemne z podełba się pali:
Księże wy jakieś dziwne macie czary
Chcecie mieszkania, ot to sobie bierzcie...
Za nim i inni najęli schroniska.....

. . . .

Patrz u nas teraz śmiech i radość gości.
Tu okiem na jasne dzieciaki
Tyle mam pociech w mojej samotności,
Że powrócę je na łono ojczyzny.
Mam to przeczucie, że z wiosną się stanie
Kiedyś ten powrót, zagoją się blizny..
Sam je wypuszczę te młodzieńcze roje
Gdy się niewola zakończy obrzydła".
A dalej kończy poeta: ?
I błogosławiąc w górę podniósł dłonie
Jakiemś mu ogniem gorzały powieki

I stał natchniony, ogromny daleki,
I tak już wiecznie w pamięci mej płonie

Po powrocie z tułaczki po bezkresach Rosji pielgrzymki od Moskwy poprzez Jarosław, Kostromę, Krasnowock aż do Taszkientu — wraca ksiądz Tokarzewski do ukochanego Podola do Baru, do słonecznych rodzinnych stron. Ale nie czas na uniesienia i miłe wywczasy, bo przychodzą najcięższe chwile przewrotów bolszewickich, przy których śmierć codzień zagląda w oczy. Opisując te zdarzenia, rozpasanie najohydniejsze tłumu, autor z wiru bezdusznej orgji, z kotła krwi i pożogi umie wydobyć najpiękniejsze blaski duszy ludu polskiego, a przedewszystkiem polskiego dziecka i te cudne klejnoty wiary chrześcijańskiej, te cenne przejawy ducha polskiego, nieraz bezgraniczna ofiarność, poświęcenie młodzieży polskiej jako perły cenne zbiera na nić srebrną swojej opowieści.

I dlatego gdy się czyta tę wzruszającą książkę, zda się, że się słyszy słowa wskrzeszonego księdza Marka, który w tymże Barze Podolskim powtarza słowa poety:

„Ja w Barze

. . . . ,

Zbiorę całą moją rzeszę
Tęcze moje chorągwiane
Na wałach miejskich rozwieszę
I odprawię nabożeństwo
Święte do krwawego Krzyża
A Pan, co ludy uniża,
Da mi tryumf lub męczeństwo
I swoją wolę pokaże"...

Warszawa, 5 maja 1925 r. **Fr. Pułaski.**



Sze, inki.

Typ dworków Podolskich.

DLACZEGO PISZĘ.

Dawniejsze Województwa: Podolskie, Bracławskie, Wołyńskie i Kijowskie, po ostatniem powstaniu, 63 roku, otoczone były szczególną „opieką“ rządu rosyjskiego.

W kraju, który w ciągu setek lat żywił się polską krwią, przy obronie od Turków i Tatarów, a swoją kulturę i rozkwit zawdzięczał jedynie Polakom, rząd moskiewski postanowił wytępić wszystko, co tylko było polskie.

Z przedziwną wprawą, zawodowych niszczycieli, zaczęto piekielną robotę na zgubę polskości.

Zamknięto wszystkie polskie szkoły. Skonfiskowano wszystkie klasztory katolickie, a kilkadziesiąt kościołów i kaplic przerobiono na cerkwie.

Majątki ziemskie, jeden po drugim, przechodziły do rąk moskali, jako nagroda za „usmireńje polskaho miatieża“.

Kiedy, w 1896 roku, zaczynałem moją pracę kapłańską i społeczną na kresach, w rękach polskich było już tylko 46% ogólnej ziemskiej własności prywatnej, chociaż przed powstaniem wszystkie większe majątki były w polskiem ręku. 60 fabryk cukru należało do Polaków, a 82 do żydów i Rosjan. Na ogólną liczbę 444 administratorów fabryk, było zaledwie 204 polaków. Wyższych zaś urzęd-

ników fabrycznych, polaków — 503 na ogólną liczbę 856. Inteligencja zawodowa i fachowa stanowiła 3% ogólnej liczby ludności, a w tych 3% było 52% polaków. *)

W małych miasteczkach absolutną większość mieli żydzi, po wsiach rusini.

Moskale-wielkorosjanie stanowili element napływowy i byli to wyłącznie urzędnicy.

W granicach tych 4 województw, statystyka podała 817 tysięcy katolików. Dla sprawosławienia i zruszczenia tej ludności polskiej i katolickiej po całej Rusi rozrzucono moc klasztorów prawosławnych, męskich i żeńskich, zapełnionych wyłącznie wielkorosjanami.

W każdej wsi cerkiew jedna, a czasem i kilka.

Ani jednego klasztoru katolickiego!

264 kościołów obsługiwało 337 księży.

Jeśli od tej liczby odejmiemy: prefektów szkolnych, profesorów seminarjum, członków konsystorza, to zobaczymy, że „żniwo było wielkie, ale robotników było brak".

Kto miał temu zaradzić?

Arystokracja rodowa nie spieszyła kształcić swych synów na sługi ołtarza, dla narodu. Lud, mało oświecony, pozbawiony szkół polskich, nie miał środków na kształcenie dzieci w wielkich miastach, gdzie były średnie zakłady naukowe i to wyłącznie rosyjskie.

Gdzieniegdzie tylko zamożniejsi gospodarze, jak np.: w parafji Gródeckiej, Płoskirowskiej i Barskiej, wyróżniali się wyjątkową pobożnością, wysy-

(*) cf. „Kresy Wschodnie". Daroskiego.

łali dzieci swoje do szkół, z zamiarem kształcenia ich na księży.

Nie pałace i chaty wiejskie wychowywały przyszłych kapłanów na kresach, lecz dwory i dworki, te reduty kresowe, dokąd ani zepsucie wielkoświatowe, ani zbytek wielkopański, ani duch moskiewski, dostępu znaleźć nie mogły.

W takim właśnie wiejskim dworze, w Szepinkach, na Podolu i ja przyszedłem na świat.

Rodzice moi bardzo kochali kościół i wysoce szanowali kapłanów. W każdą niedzielę i święto zabierali nas do kościoła parafialnego, gdzie, jak sądzę, narodziło się moje powołanie do stanu duchownego.

Miałem wtedy lat 8, kiedy pojechawszy do kościoła z rodzicami, słuchałem uważnie poraz pierwszy w życiu, kazania i starałem się je zrozumieć.

Utkwiło mi ono w pamięci tak głęboko, że treść jego do dziś pamiętam.

W Kopajgrodzie na Podolu, w ubogim kościółku pełno było pobożnych. Presbiterjum i wszystkie ławki zajęło obywatelstwo z sąsiednich wsi. Kościół po brzegi zapełniają „panowie szlachta“ butni, choć biedni: Popowscy, Halczyńscy, z kollokacyjnych wiosek Popowiec i Halczyniec, i lud siermiężny z Kosarzyniec.

Na ambonie siwy ksiądz. Piękna twarz, czarne błyszczące oczy, porywająca wymowa, przykuwa uwagę wszystkich, którzy ze skupieniem słuchają potoczystej mowy księdza Czarneckiego. Słucham i ja, wysilając mózg dziecięcy, żeby zrozumieć, czego kaznodzieja chce. Ksiądz mówi o spowiedzi. Chrystusa nazywa „barankiem“.

Jakiś dziwny ból przeszywał mi wtedy serce i miałem żal do kaznodzieji, że tak mówi, że ja „syn obywatelski, który ma nauczyciela", zrozumieć nie mogę, dlaczego to on Chrystusa nazywa „barankiem"?

Wtedy to, poraz pierwszy, zabłysła mi myśl zostać kapłanem i tak mówić kazania, żeby nietylko „obywatelskie dziecko, które ma nauczyciela", ale i chłopskie zrozumiało, co to znaczy „baranek Boży".

Sądzę, że to był dzień narodzin powołania mego stanu duchownego.

* * *

Lata moje dziecięce nikogo interesować nie będą. Wychowany w szkołach rosyjskich, w Kamieńcu, od pierwszej klasy patrzyłem na gangrenę religijną, moralną i narodową, którą szerzyły te szkoły.

Zgraja bezwyznaniowych pedagogów, wyrafinowanych rozpustników i ateuszów przestrzegała form zewnętrznych, starając się zabić ducha religijnego i narodowego.

(Taki słynny inspektor gimnazjum, Aleksander Pawłowicz Puczkowskij, nie mógł np. przetrawić „Wołodyjowskiego", Sienkiewicza i czuł się w obowiązku każdego tygodnia, w młodszych klasach, wmawiać w nas, że Kamieniec Podolski to „istinno russkij gorod" i nigdy do Polaków nie należał).

Za polską książkę kara.

Ba! nawet za rozmowę z matką rodzoną na ulicy po polsku, uczeń 8-ej klasy Jarocki (obecnie ksiądz) siedział 24 godzin w „karcerze" (areszt szkolny).

Polaków w gimnazjum była większość, reszta

moskale i żydzi, a zwłaszcza, żydzi stale wyśmiewali i wyszydzali wszystko, co było katolickie i polskie.

Starali się i we mnie, ale bez powodzenia, zabić szczególne zamiłowanie służenia do mszy św. i słuchania kazań.

Bardzo dobre wykłady religji, a osobliwie nauki w kościele kapelana szkolnego ś. p. Ks. Boczkowskiego, widoczna, nawet dla oczów moich dziecięcych, pod ich wpływem poprawa kolegów, potem praca parafjalna ks. Władysława Michałoskiego, podziałały na mnie tak dodatnio, że utrwaliło się i w szkołach moje postanowienie, uczynione w 8 roku życia — zostać kapłanem.

* * *

W 1892 roku poraz pierwszy przyjechałem do tej samej mojej rodzinnej parafji, na odpust św. Jana, 24 czerwca, jako kleryk 2 kursu seminarjum.

Po nabożeństwie, w czasie obiadu, pijany policjant (prystaw) zaczął pleść głupstwa o Ojcu św. Podniesionym głosem zaprotestowałem i nakazałem panu prystawowi Krzyżanowskiemu milczeć, dodając: „Nasz Ojciec św. osoba duchowna, a wasz papa w spodniach". Miałem na myśli Pobiedonoscewa — cywila, prokuratora synodu, pana życia i śmierci popów i archijerejów. Policjant jednak zrozumiał te słowa, jako dwuznacznik. zaprzysiągł mi zemstę i pierwszy.... donos na mnie poszedł do gubernatora.

Od 24.VI.1892. r., aż do przybycia do Polski. 1920 roku, w czerwcu, stale byłem prześladowany przez rząd moskiewski.

Ilekroć przyjeżdżałem z seminarjum, jako kle-

ryk, na święta do matki, policja zawsze troskliwie mnie odwiedzała i tylko dzięki łapownictwu urzędników, udało mi się uzyskać zgodę rządu na otrzymanie pierwszego stanowiska, wikarjusza, w Bracławiu, na Podolu.

W ciągu 23 lat kapłaństwa kilkanaście razy przez rząd byłem usuwany z parafji; oddany pod sąd, skazany na więzienie, kilkakrotnie pozbawiany prawa pracy w ukochanej diecezji na Podolu, i wreszcie, zmuszono mnie wyjechać do Rosji.

Po 4 letnim pobycie w Jarosławlu, nad Wołgą, wyjechałem do Turkiestanu.

Dopiero po wybuchu rewolucji, w 1917 roku, w maju mogłem wrócić na Podole, do stron rodzinnych.

Spokój nie długo tam trwał. W sierpniu, tegoż roku, wojska rosyjskie, wracające z frontu, z nad Zbrucza, zajmują Bar, gdzie byłem proboszczem.

Zaczyna się okrutna męka moralna i fizyczna.

Rewolucja bolszewicka, powstanie Petlurowskie, Denikinowskie, galicyjskich ukraińców, nieskończonej ilości dowódcy i szeregowcy, najrozmaitszych band powstańczych i najzwyklejszych zbójeckich, stale lokują się na probostwie a potem każdy z nich dzieli się zawartością komód, szaf, spiżarni i kieszeni, aż do zupełnego ich wyczerpania.

Musiałem dnie i noce na czatach stać, ciągle drżeć o życie matki, siostry i bliskich, których krewni byli oficerami Wojsk Polskich.

Ciągłe bez końca, bez potrzeby i sensu rewizje, wreszcie dwukrotne skazanie na śmierć i prawie cudowne uratowanie się od męczeńskiej śmierci z rąk oprawców, i tysiące innych „przyjemności“,

trwały bez przerwy, aż do wejścia wojsk polskich 27 kwietnia, 1920 r.

Pomimo tych przejść żyję i zajmuję zaszczytne stanowisko kapelana Głowy Państwa w Polsce.

Dlatego, jak mi mówią, powinienem spisać moje przeżycia, które będą świadczyły; w jakich warunkach pracował na kresach, kapłan polski.

A że tak mówią mi ludzie bardzo czcigodni, jak biskupi: Cieplak i Mańkowski, a inni twierdzą nawet, że mam obowiązek sumienia to zrobić, więc.... piszę.

Nie będzie to „pamiętnik“.

To, **tylko** kartki, wyrwane ze wspomnień i notatek, które **teraz mogę dać** do druku.

* * *

II.

Pierwsze lata Kapłaństwa.

22 lata i cztery miesiące skończyłem, kiedy, na mocy dyspensy Ojca św., zostałem wyświęcony na kapłana.

Młody i niedoświadczony, prawie z dziecięcą duszą, rwałem się do pracy, jak każdy młody.

Boże mój drogi, ileż to żyć złamanych, młodych kapłanów, widziały potem moje oczy!

Ile dzisiaj ginie, marnuje się bezużytecznie, tylko dzięki temu, że kiedy stawiali pierwsze kroki kapłańskie nie mieli w otoczeniu swojem prawdziwych przyjaciół, kapłanów — starszych, którzyby byli dla nich wzorem i pokierowali ich życiem.

Bóg mi pozwolił pierwsze lata kapłaństwa spędzić w otoczeniu kapłanów niezwykłej gorliwości i świątobliwości życia. Proboszcz Pogorzelski, ostatni rektor seminarjum Kamienieckiego i ksiądz Rozenberg z Murafy, najbliższy nasz sąsiad, obaj nietylko kapłani najzacniejsi, ale też i najlepsi synowie Ojczyzny, zaszczycali mnie wielkiem zaufaniem i z prawdziwie ojcowską pieczołowitością kierowali mojem życiem i czynami, ucząc słowem tego

co w seminarjum wykładał, wychowawca kapłanów ks. Kamiński, nasz Ojciec duchowny.

Mój proboszcz, prałat Pogorzelski, człowiek głęboko religijny, rozumny asceta, doskonały teolog, miał ogromnie subtelną duszę i wielki takt w postępowaniu z wikarjuszami.

Ks. Rozenberg, w całem tego słowa znaczeniu, ludowy proboszcz, zdawało się, był wierną kopją, duchową, mego proboszcza, a swego rektora. Obaj mieli nieoceniony przymiot proboszczów — miłość dla młodych kapłanów, jakby dla dzieci własnych.

Tak to było widoczne, tak się dawało odczuć na każdym kroku, że, naprawdę, co się niejednemu na spowiedzi tylko mówiło, to im po za spowiedzią, zasięgając ich światłych rad i wskazówek.

Zawsze najserdeczniej i najdelikatniej prostowali błędy i umieli uczyć, jak pracować dla innych z poświęceniem siebie, w tak bardzo niebezpiecznych czasach.

A uczyli nietylko słowem, ale i własnym przykładem.

WARUNKI PRACY.

Lata to były bardzo ciężkie dla kościoła.

Car Mikołaj II, człowiek głupi i bezwolny, całkowicie podlegał, w sprawach religijnych, wpływom osławionego Pobiedonoscewa, prokuratora synodu, oraz Matki swojej, która znana była z niepohamowanej nienawiści do kościoła katolickiego.

Na Rusi szaleli panowie generał-gubernatorowie, którzy szli na pasku archijerejów i poszczególnych popów.

Jako teren pracy miałem djecezję Łucko-Żytomierską i dołączoną do niej, a skasowaną przez rząd w 63 r. Kamieniecką, więc: ziemię Kijowską, Wołyńską i Podolską.

Sprawiedliwość każe przyznać Carowi Mikołajowi, że ani jednego kościoła w ciągu całego swego panowania nie skonfiskował.

Tyle jednak zamknęli poprzednicy jego, taki był brak kapłanów, wskutek skasowania seminarjum w Kamieńcu i czasowego zamknięcia w Żytomierzu, w ciągu 10 lat, że konfiskata nowych kościołów, z punktu widzenia rządów carów prawosławnych, była już bezcelowa.

Na jednego kapłana wypadało dwie, a nawet i trzy parafje, w dodatku bardzo rozległe. (Miałem i ja taką, w której ostatnia wieś odległą była od kościoła o 60 wiorst).

Kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt wiosek, musiał obsłużyć jeden kapłan.

Prawda, były wioski, gdzie mieszkało tylko kilka rodzin katolickich. Ale takie właśnie najwięcej sprawiały kapłanowi kłopotu. Tam, gdzie było kilkanaście rodzin katolickich, życie ich religijne i narodowe można było jako tako zorganizować. Ale, gdzie było dwa lub trzy domy katolickie, tam najczęściej wkradały się mieszane małżeństwa, a za nimi szpiegostwo i nic zrobić się nie dało.

Nigdzie, w całej djecezji, ani jednej, jawnej polskiej szkoły!

W takich warunkach praca normalna stawała się wprost niemożliwą.

Wdodatku każde probostwo, gdzie był ksiądz gorliwy, jako stacja missyjna i centrum życia narodowego, otoczone było zgrają kilkudziesięciu szpiegów — popów, kilku plicjantów i żandarmów, a, na szczęście bardzo rzadko, i zdrajcą z własnego środowiska parafjalnego.

Kiedy rozpoczynałem moją pracę kapłańską, masowych przejść na prawosławję nie było.

Słabsi już byli odeszli *).

*) Są tam w bolszewji na Rusi, a i u nas na Wołyniu, na Polesiu i Białej Rusi, całe wsie ludu polskiego, polskiej herbowej szlachty, przechowującej z pietyzmem dokumenta rodowe, trzymających się stale wielu polskich tradycyjnych, religijno-narodowych zwyczajów. Niestety, ludność tam, całemi wsiami, zapisana jest, jako niepolska, bo... wyznania prawosławnego!

Przewrotny rząd moskiewski, kiedy ich ojców zmusił do wyrzeczenia się wiary katolickiej, kazał potem zapisać do gminy, jako „russkich".

Obcując blisko z tymi ludźmi, w ciągu lat 13 na Wołyniu, a siedmiu na Podolu, przekonałem się osobiście, jak bardzo wielu prawosławnych z dumą wspominało i szczyciło się tem, że ojcowie, lub matki ich byli polacy-katolicy!

* * *

III.

Zwalczanie małżeństw mieszanych.

Za czasów Mikołaja II, jak powiedziałem, masowych przejść na prawosławje nie było. Bardzo rzadko, przy ślubach w cerkwiach, lub dla karjery urzędniczej, zdarzały się pojedyncze wypadki zdrady wiary.

Inna, natomiast, plaga gnębiła kościół katolicki na kresach.

Młodzi kapłani rozpoczęli z nią walkę zaciętą, na śmierć i życie.

To były mieszane małżeństwa i ciemnota ludu, pozbawionego szkół polskich, a w wielu wsiach i rosyjskich, bo o ukraińskich szkołach nikt nigdy nic nie mówił i nikogo one nie obchodziły. Z pośród ludu wszyscy uważali siebie, albo za polaków, o ile byli katolikami, albo za moskali, o ile byli prawosławnymi, lub też narodowość swoją określali wyrazem „tutejszy".

* * *

Do walki z mieszanemi małżeństwami mieliśmy do rozporządzenia tylko dwa środki: kazania i spowiedź.

Za kazania rząd kapłanów zamykał w klasztorze, a za odmówienie rozgrzeszenia, chcącym brać ślub w cerkwiach, oddawał księży pod sąd, jedynie na podstawie zeznań penitenta, wymuszonych przez popa przed ślubem.

Na mocy prawa rosyjskiego nie wolno było, dawać ślubu w kościele katolikom z prawosławnymi. Śluby takie musiały, bezwarunkowo, odbywać się w cerkwi.

Ale tego było im mało!

Domagano się od nas, żebyśmy wydawali zaświadczenia, „że przeszkód żadnych niema ze strony prawa kanonicznego, do zawarcia ślubu w cerkwi“.

Zaczęła się walka.

Rząd zgroził surowemi karami księżom, odmawiającym takich zaświadczeń.

Ale, kiedy jednego tygodnia otrzymał generał-gubernator Dragomirow kikadziesiąt skarg od popów, że księża nie dają takich zaświadczeń, i wypadałoby mu zaraz trzecią część duchoiweństwa diecezji zamknąć w klasztorze, wszedł w pertraktacje z biskupem, żeby inną jaką formę zaświadczeń wypracować.

Biskup odmówił.

Wtedy rząd kazał popom domagać się tylko zaświadczeń, że katolik, chcący brać ślub w cerkwi, jest „wolnego stanu“.

Ponieważ lud ciemny i takie zaświadczenia dane przez księdza, uważałby za pozwolenie wzięcia ślubu w cerkwi, nie zgodziliśmy się na wydawanie i takich zaświadczeń.

Znowu, pamiętam to dobrze, słyszałem z ust biskupa Niedziałkowskiego, generał-gubernator otrzymał w ciągu jednego miesiąca 60 skarg na księży.

Wtedy ten sam Dragomirow pojechał do prawosławnego metropolity w Kijowie, Władimira, i namówił go, żeby się zadowolnił tylko wydawaną przez księży metryką urodzenia tego, kto chce brać ślub w cerkwi.

Walki nie zaprzestaliśmy dla tych samych powodów.

Dragomirow posyła do klasztoru kilku księży.

Gdyby wszyscy byli opierali się, jak poprzednio, byłaby sprawa wygraną.

Niestety, nie tylko księża, ale i biskup Niedziałkowski był tego zdania, że metryki musimy wydawać, „jako urzędnicy", że poprzestawać na wydawaniu świadectw przez policję, jak ostatecznie zadecydowały władze wyższe, nie wolno, bo w ten sposób zatraca się możność wpływania w ostatniej chwili na niedopuszczanie do takiego małżeństwa.

Skończyło się na tem, że jedni dawali metryki, drudzy odsyłali do policji po zaświadczenia.

Trzeba jednak przyznać, że nasz polski lud, łącząc sie z moskalami w związki małżeńskie, bardzo niechętnie szedł do policji po odnośne świadectwa, uważając to sobie, zwłaszcza kobiety, za wielką hańbę brać ślub za świadectwem z policji".

Dla walki z ciemnotą musiałem otwierać tajne szkoły i nieraz, pod groźbą odmówienia rozgrzeszenia na spowiedzi wielkanocnej, zmuszać rodziców i dzieci do korzystania z tych szkół.

Jak wyżej powiedziałem, praca ta była bardzo utrudniona dzięki szpiegostwu popów.

Kiedy wydałem we Lwowie pierwszą moją broszurę agitacyjną „O mieszanych małżeństwach" i w 20 tysiącach egzemplarzy rozrzuciłem po kraju, to, chociaż podpisałem ją, jak zwykle, pseudonimem „Ks. P. K.", jednak popi wykryli szybko autora, a broszura miała słabe powodzenie, bo jedni bali się ją rozpowszechniać, a drudzy nie umieli czytać.

* * *

Wielką pomocą w walce z ciemnotą i mieszanemi małżeństwami były bractwa religijne, zwłaszcza, tercjarstwo św. Franciszka i Żywy Różaniec, zorganizowane należycie, gdzie dobór członków był robiony nie na ilość, ale na jakość.

Wtedy prawdziwa była z nich pomoc. I szkołę utrzymali i kościołowi pomogli i dzięki im niejedno mieszane małżeństwo do skutku nie doszło.

Prędko jednak niepowołani „dyrektorzy" potrafili zupełnie zdezorganizować to wielkie dzieło. Przyjęli do bractwa ludzi bez odrobiny ideowości, nieraz skończonych łotrów i publicznych grzeszników, którym ani się śniła poprawa życia *).

---

*) Z jednym takich niepowołanych tercjarzy miałem kłopot.

W parafji Szarogrodzkiej do tercjarstwa został przyjętym nałogowy pijak, kowal z Szostakówki. Nie pomagały ani prośby, ani groźby. Cały majątek przepił, żonę bił, dzieci z głodu mu umierały.

Na sesji tercjarskiej, po miesięcznych egzekwjach tercjarskich, jako dyrektor zgromadzenia, zażądałem wykluczenia go

zupełnie z tercjarstwa, jako niepoprawnego, dającego publiczne zgorszenie, zatwardziałego grzesznika. Wniosek mój przy głosowaniu upadł. Postawiłem drugi, żeby mu naznaczyć publiczną karę w kościele.

Jednogłośnie przeszedł.

Na środku kościoła stał katafalk, a koło niego całun, jak zwykle.

Powiedziałem kazanie o „śmierci duszy przez grzech".

Potem stanąwszy koło katafalku, ogłosiłem zebranym, że „obecny tu w kościele kowal z Szostakówki umarł, nie żyje"!

Kazałem mu leżeć krzyżem, koło katafalku, a obecnym śpiewać litanję do Wszystkich Świętych, żeby Bóg „wskrzesił" duszę jego.

Nabożeństwo odbywało się przy drzwiach zamkniętych, w obecności tylko profesów.

Płacz, lament niezwykły przerywał śpiew litanji.

W pięć lat potem, będąc już na innej parafji, jechałem do Kamieńca.

W drodze spotkał mnie jakiś dostatnio ubrany chłop i zapytał, czy to ja byłem wikarjuszem w Szarogrodzie. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, upadł na kolana i zaczął z płaczem nogi całować.

Pytam, „Kto jesteś".?

„Ojcze, to ja, kowal z Szostakówki, którego ojciec żywcem grzebał. Proszę patrzyć, jaki ja jestem bogaty, jak ubrany. A jaką ja mam kuźnię teraz", zakończył tryumfująco.

„Więc nie pijesz? Pomogło lekarstwo"?

„Ojcze, do śmierci wdzięczny będę!"

Rozgadaliśmy się na dobre i przy tej okazji opowiedział mi, jak w Szarogrodzie, na Hebalówce pop dowiedział się, że w taki sposób wyleczyłem nałogowego pijaka, zawołał do cer-

kwi swego pijaczynę — parafjanina, i mimo jego protestu kazał go w cerkwi związać, położyć na mary i z procesją trzy razy naokoło cerkwi oprowadził, śpiewając pogrzebowe pieśni za zmarłych!

„Pomogło to Hryśkowi", pytam.

„Gdzie tam, Hryć nadal pije, a pop poszedł pod sąd".

IV.

Bohaterstwo ludu.

Dowody wielkiego ducha wiary, wśród ludu polskiego, zwłaszcza na Podolu, były dla nas bodźcem do pracy ofiarnej.

Za dużo ich było, bym mógł o wszystkich pisać. Przytoczę tu kilka z tych, na które patrzyłem.

W parafji Mołczanieckiej, na Podolu, pewna wieśniaczka zmuszona przez rodziców wyjść za mąż za prawosławnego, postanowiła za wszelką cenę dziecko ochrzcić w kościele katolickim.

Dowiedział się o tem pop miejscowy.

Kiedy się już rozpoczął połóg, postawił wartę przy chałupie, żeby dziecko natychmiast po urodzeniu siłą zabrać i przynieść do cerkwi.

Usiadła straż przed izbą i gwarzy, słuchając jak położnica postękuje.

A było to w XX wieku!

Raptem słyszą przeraźliwy krzyk ojca, który wybiega z izby, żaląc się, że urodziło się dziecko nieżywe i prosi wartowników, żeby mu pomogli zrobić zaraz trumnę.

Łasy na wszelką „okazję“, rusin, chętnie przystaje.

Trumna zrobiona.

Warta idzie zameldować popowi, a ojciec zabrawszy trumienkę pod pachę, poszedł przez wieś w pole, bardzo głośno płacząc. Było to w zimie.

Mrozy dochodziły do 20°. Śnieg pokrył pola grubą warstwą.

W kilka godzin później, o wiorst 35 pod szpitalikiem, koło kościoła w Murafie, „podrzucono“ nowonarodzone dziecko. Kartka, znaleziona przy dziecku głosiła, że to dziecko nieślubnych rodziców, katolików, że matka katoliczka, wstydzi się do chrztu przynieść, ale prosi, żeby ksiądz ochrzcił i nadał imię „Anna“, a potem oddał miejscowemu „prystawowi“.

Prystaw miał własnych dzieci drobnych ośmioro i żonę — jędzę.

Do Kamieńca, gdzie była ochrona dla podrzutków, 160 wiorst!

Uproszona przez prystawa i proboszcza żebraczka, mieszkająca przy kościele.... zgodziła się wziąć dziecko „na pewien czas“. Po 10 jednak dniach odniosła prystawowi, żaląc się, że spać jej po nocach nie daje, bo tak jest krzykliwe i ona stanowczo dłużej trzymać je nie może.

Mówiąc to, położyła dziecko na biurku i wyszła z pokoju.

Całą rozmowę słyszała żona prystawa. Wpadła do biura, zrobiła mężowi scenę najokropniejszą, żeby dziecko oddał natychmiast gdzie chce, bo ona ani jednej godziny trzymać go nie będzie. Ma dość swoich!

Zaledwie ta rozmowa się skończyła, weszła jakaś niewiasta z zapytaniem, „czy to prawda, że jest do wzięcia podrzutek bo jej dziecko niedawno umarło, „a niewiasty radzą wziąć podrzutka".

Ucieszył się niezmiernie prystaw.

Zobaczywszy jednak, jak gorliwie karmiła „podrzutka" ,odrazu domyślił się, że to właśnie była matka dziecięcia. Dziecko oddał, ale pojechał sprawdzić, gdzie pochowano to zmarłe.

Świadkowie zeznali, że widzieli, jak ojciec trumnę wynosił, jak płakał, jak potem w polu pochowano dziecko, bo było nie ochrzczone, a pop na cmentarz przyjąć nie chciał, ale że śnieg wypadł, więc miejsca znaleźć nie mogą.

W parę dni potem ta heroiczna matka spotkała popa i złośliwie zadrwiła: „mówiłam, że dziecko będzie katolickie i jest katolickie i nic mi nie zrobicie".

W parafjach Smotryckiej i w położonych nad Zbruczem, dzieci z mieszanego małżeństwa noszono — do chrztu przez Zbrucz, za granicę, z narażeniem życia.

Na miejscu, w parafialnych kościołach, nie wszyscy księża mogli chrzcić dzieci i z małżeństw mieszanych, bo jedni byli stale pod bardzo ścisłym dozorem policyjnym, a inni nie mogli wydawać dokumentów chrztu.

Tylko tacy, którym udało się nawiązać kontakt z księżmi z Galicji, otrzymywali od nich czyste blankiety urzędowe i „na ich rachunek" chrzcili.

Popów doprowadzała ta robota do rozpaczy, ale nie z pobudek ideowych, tylko ze względu na stratę dochodów i groźby archijereja usunięcia z parafji.

Mścili się więc na wszystkich księżach, pisząc donosy z prawdziwemi i zmyślonemi oskarżeniami.

W mojej parafji, w Smotryczu, był jeszcze inny wypadek, charakteryzujący w pełni z jednej strony wiarę głęboką ludu, a z drugiej system pracy popów. Włościanin G., mając lat trzydzieści kilka, sekretnie przeszedł na łono kościoła katolickiego. Kiedy w ciągu kilku lat nie chodził do cerkwi i do spowiedzi wielkanocnej, pop zawezwał policję i kazał go siłą sprowadzić do cerkwi.

Policjanci trzymali go za ręce, a pop spowiadał...

Dzielny ten i energiczny człowiek, prawdziwy męczennik za wiarę, ścisnąwszy zęby milczał, jak grób.

Pop odzywa się głośno: „Największy twój grzech, to żeś przyjął wiarę katolicką i nie chodziłeś do cerkwi, a więc“.... i tu nastąpiła forma absolucji i rozkaz: „Idź, do Komunji św.“.

Penitent, ani drgnął.

Pop podchodzi z kielichem i chce mu dać Komunję. Ponieważ jednak przez zęby ściśnięte łyżeczka przejść nie mogła, pop wydał rozkaz policjantowi siłą rozważyć zęby.

Policjant wydobywa szablę, ostrzem uderza w zęby i... krew z ust się polała, a ząb wybity wypadł koło kielicha z Najświętszym Sakramentem.

Nastraszył się pop, zlękli się i policjanci. G. podjął ząb wybity, ostentacyjnie pokazał go ludziom obecnym w cerkwi i poszedł prosto do Kamieńca, do prokuratora sądu, ze skargą.

Widziałem na własne oczy ten historyczny papier prokuratora, w którym zabraniał (!) popowi prześladować G. za to, że wyparł się prawosławia,

ponieważ... ta sprawa należy do sądu. Nic to nie pomagało. Pop i policjanci ciągle go szykanowali.

Takich, jak wyżej przytoczyłem, przykładów mógłbym podać bez liku, któreby jeszcze jaśniej uwypukliły wielką wiarę ludu i miłość dla Kościoła. Sądzę jednak, że i te najzupełniej wystarczają, żeby wyjaśnić Ci, czytelniku, z jakim to ludem i w jakich warunkach pracował kapłan na kresach.

* * *

PRZEŚLADOWANIE ELEMENTARZA.

Z dziwnym uporem rząd moskiewski prześladował wszelki przejaw pracy oświatowej nad ludem. Dochodziło do tego, że elementarz był uważany jako książka zakazana. Lud dawał sobie radę i bez elementarzy, ucząc się czytania z książek do nabożeństwa. Naturalnie w tych warunkach nie każdy mógł i chciał się uczyć. Dla ułatwienia tej pracy niejednokrotnie urządzałem szkoły tajne w lasach. Dzieci rozstawione na drogach, stały na czatach i imitując głosy ptaków ostrzegały o grożącem niebezpieczeństwie.

Puszczyka głos, ostrzegał, że idzie policjant i wówczas dzieci błyskawicznie rozpraszały się po lesie, żeby nie dać możności policji złapać je z książkami szkolnemi, jako rzeczowymi dowodami winy mojej, czy też ukrytego nauczycielskiego personelu.

Sprawy sądowe, które wytaczano księżom i poszczególnym włościanom, gospodarzom wiejskim za otwieranie szkół tajnych, były na porządku dziennym.

Dochodziło do tego, że, jeżeli, w jakiejkolwiek izbie wiejskiej, matka uczyła własne dzieci czytania z elementarza, już jej robiono szykany, że bez po-

zwolenia władzy i dyplomu nauczycielki domowej prowadzi szkołę.

Z księżmi dawano sobie szybko radę. Jeśli niektórym urzędnikom wstyd było prześladować księży za to, że szerzą oświatę wśród ludu, to łatwo pod pierwszym lepszym pretekstem stawiali zarzuty kapłanom, zwalczania panującej religji i występowania przeciw ruskiej narodowości".

Ksiądz, albo szedł pod sąd, albo zostawał zamknięty w klasztorze.

* * *

W KLASZTORZE.

W 1909 roku, zostałem poraz pierwszy skazany przez rząd do klasztoru w Zasławiu na Wołyniu Nie długo tam czekałem na towarzyszów niedoli. Za odmowę wydania pozwolenia na zawarcie mieszanych małżeństw przysłano ks. Liniewicza, Oraczewskiego i Goliszewskiego.

Pierwsze dnie pobytu w klasztorze zrobiły na mnie tak przygnębiające wrażenie, że były chwile kiedym się obawiał, że zmysły postradam.

Zastałem bowiem w klasztorze trzech księży emerytów, ciężko chorych, którzy miesiącami całymi już leżeli w łóżku. Nikt nimi się nie interesował, nietylko tem, co jedzą i czy mają opiekę lekarską, ale nawet o ich duszę nie dbano. Jednemu z nich robactwo zjadło cały bok. Od zmysłów odchodził, błagając Boga o śmierć. Drugi, sparaliżowany, nie był w stanie nawet sobie much odpędzić od oczów. Trzeci miał paraliż krtani, ciągle mu się z ust ślina sączyła. Wszystko wokoło niego gniło.

Kilku zakonników, zgrzybiałych starców, zdziecinniałych, na wpół idjotów, kłóciło się ustawicznie

między sobą; nadto znajdowało się trzech, przysłanych przez biskupa za występki, nie licujące z godnością kapłańską.

Oto było towarzystwo dla młodego kapłana, który w trzecim roku kapłaństwa przekroczył progi klasztoru, nie mając żadnej nadziei na rychłe stamtąd wyjście. Uzupełniał te przyjemności głód, chłód i przerażające brudy na korytarzach oraz w mieszkaniach poszczególnych księży.

Swoją celę bardzo prędko doprowadziłem do porządku. Myśl jednak moja była skierowana głównie ku temu, żeby umożliwić życie i moim współkolegom. O tem, co zastałem w klasztorze, rozpisałem do moich znajomych, krewnych i przyjaciół, prosząc o jaknajrychlejszą pomoc dla chorych, zniedołężniałych starców-kapłanów.

Po paru jednak tygodniach otrzymałem rozkaz od biskupa, ażebym wyjechał do Antonin, do majątku hr. Józefa Potockiego, na czas pobytu tam matki jego, Alfredowej Potockiej.

V.

W Antoninach.

W Antoninach wspaniały olbrzymi pałac Józefa Potockiego, urządzony z nadzwyczajnym przepychem; znane nietylko na Kresach, ale w całej Polsce, stajnie wyścigowe imponowały każdemu.

Nawet Książe Borys, brat stryjeczny Cara Mikołaja II, zachwycał się niemi.

Mnie więcej interesowała kaplica.

Znalazłem ją w najkropniejszem zaniedbaniu. Stajnie bez porównania lepiej były utrzymane i widać było, że o nie więcej dbano, niż o przybytek Boży — kaplicę.

Jechałem do Antonin z ogromnem zaciekawieniem. To, co mi opowiadali moi poprzednicy, którzy tam byli delegowani na czas wakacyjny, było i smutne, a nieraz bardzo zabawne.

Dla pewnych względów nie chcę tu tego powtarzać. Józef hr. Potocki należał do tych, bardzo nielicznych, wyjątków wśród ziemian - magnatów, którzy dbali, żeby wszystkim pracownikom „dobrze się działo“ w ich dobrach, począwszy od głównego administratora, a kończąc na fornalach.

Małżonka jego, p. Helena i jej synek, maleńki Józio robili niezmiernie miłe wrażenie swoją ujmującą prostotą i serdecznością.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyłem, jak bardzo p. hr. Helena wyróżniała się wśród innych pań, (z których dwie pełniły nawet funkcje strzelców, przy osobie Wielkiego Księcia Borysa na polowaniu na bażanty), wysoko dzierżąc sztandar godności niewiasty polskiej.

Nie wszystko, co widziałem w Antoninach mogło mi się podobać, jako kapłanowi i polakowi. Zwłaszcza w czasie pobytu Wielkiego Ksiecia Borysa i polowań urządzanych na wielką skalę, na które, nietylko z Kresów, zjeżdżało się wiele utytułowanych gości.

Zbytki w jedzeniu, w piciu, w polowaniach, w strojach: płaszczenie się przed tak marną figurą, jak Borys. a jednocześnie niezrównana pycha i wyniosłość — wielu z naszych arystokratów w stosunku do „dobrze urodzonych“, „urodzonych“, nie mówiąc o „pracowitych“, odrazu wykazały mi, w początkach pracy kapłańskiej, prawdziwe oblicze wielu z tych, którzy, bez żadnych danych, za wszelką cenę, chcieli wmówić we wszystkich, iż są aristoi— najlepsi.

Może! ale, chyba tylko najlepsi z posiadania wszystkich najgorszych wad narodowych.

VI.

Powrót do klasztoru.

Po paru miesięcznym pobycie w Antoninach wyjechałem z powrotem do klasztoru w Zasławiu.

Wszystkie mieszkania dla księży i zakonników, dzięki ofiarom moich przyjaciół i krewnych, doprowadziłem do porządku.

Dusza jednak rwała się do innej pracy dla kościoła i sprawy narodowej, a robić nie wolno było nic!

Nawet kazania w kościele klasztornym głosiłem bezkarnie, jedynie tylko dlatego, że gwardjan Bohusz, nie mogąc sam mówić, nas wysyłał, ale za to sowicie opłacał się policji.

Uchodziłem za dobrego mówcę. Po paru kazaniach w mieście zrobił się ruch. Sąsiednie kościoły, gdzie byli księża, jeden stary, a drugi bez wymowy, chociaż młody, stały pustkami. W klasztorze pełno było zawsze.

Zaczęto rachować się z mojem zdaniem i z moją opinją.

Bano się mego ostrego języka, który z młodzieńczą werwą karcił kołtuństwo, obojętność, a przede-

wszystkiem wszelki przejaw zdrady narodowej i religijnej.

Kiedy puszczone w ruch z zemsty języczki, nie powstrzymywały mnie od pracy w tym kierunku, użyto środka najnikczemniejszego — donosu do żandarmerji.

Zrobiła to pewna pani, której córeczka chciała wyjść za mąż za prawosławnego, za co w odpowiedni sposób została skarconą publicznie w kościele, w czasie kazania. Chociaż nie wymieniłem o kim mówię, jednak i matka, i córka poczuły się zbyt dotkniętemi mojem wystąpieniem i napisały skargę do żandarmerji.

Na szczęście w Zasławiu mieszkał staruszek, niezmiernie sympatyczny i bardzo życzliwie usposobiony dla polaków, żandarmski pułkownik, Krymski. Po otrzymaniu donosu, przyszedł do mnie do klasztoru i, w obecności gwardjana Bohusza, prawił mi morały, które zakończył kategorycznem żądaniem, żebym mu natychmiast na piśmie dał zobowiązanie, że nigdy na ambonie, ani jednem słowem nie będę wspominał o Polsce. Zagroził, że, jeśli takiego zobowiązania nie dam, to on będzie zmuszony wysłać mnie: „Kuda Makar tielat nie gonił“, to znaczy na Sybir.

Dał mi do namysłu pół godziny.

Odpowiedziałem bez namysłu: „Gotów jestem jechać zaraz, a takiego zobowiazania nie dam“.

Jakżeż byłem zdziwiony, kiedy staruszek-żandarm objął mnie za głowę, ucałował i w moich oczach, porwawszy donos niecnej baby, powiedział: „Zuch jesteś, — czemu ja nie mam takiego syna.

Strzeż się, bo ciebie pilnujemy nietylko my, ale i policja, nad którą ja władzy żadnej nie mam".

Był to przezacny człowiek! — Chyba jedyny żandarm w całej Rosji. Kiedy w kilka lat potem umarł, na pogrzebie jego nie było ani jednego moskala, a za trumną szli polacy i żydzi.

* * *

Biskupi: Kłopotowski i Niedziałkowski bardzo cenili moją pracę. Pominio tego, że byłem zamknięty w klasztorze przez władze świeckie i w dodatku oddany pod sąd, posyłali mnie do rozmaitych parafij na zastępstwo tego, czy innego proboszcza.

Czekając na wyrok sądowy, a potem odsiadując więzienie, spędziłem w Zasławiu 5 lat.

Dużo by się dało pisać o klasztorze, o panujących tam warunkach życia, o stosunku władz nietylko świeckich, ale i duchownych do księży zesłanych, bądź przez rząd, bądź też przez biskupa, na, tak zwaną, pokutę do klasztoru.

Miałem czas i możność poznać jaknajdokładniej warunki bytu kapłanów w zamknięciu klasztornem.

Powtórzę tu jeden wyraz, który wszechstronnie określa wpływ klasztoru na duszę, a nawet na organizm kapłana nie tylko młodego, ale nawet starego. Jeden z kolegów moich, towarzyszów niedoli, wpływ ten bardzo trafnie streścił, nazywając klasztor w Zasławiu: „księżobojnią".

I istotnie tak było!

Sam szatan tylko mógł poddać myśl wysyłania księży do takiego klasztoru.

Był to właściwie tylko budynek po-klasztorny, bo ani reguły żadnej, ani zakonników, ani kierowni-

ctwa nie było żadnego, ani też żadnej pracy! Mieszkali tam razem: warjaci, pijacy, idjoci i skazani przez biskupa za występki, nie licujące z godnością kapłańską, i księża, zamknięci przez rząd za pracę dla kościoła.

Wśród takiego otoczenia, ani mowy być nie mogło o systematycznej programowej działalności, tembardziej, że jak wyżej wspomniałem, biskupi często wysyłali mnie na zastepstwo do rozmaitych parafij, skad policja z powrotem odsyłała mnie do klasztoru po kilku miesiącach, a czasem i dniach.

Wziąłem się więc do innej roboty.

Uporządkowałem olbrzymią bibljotekę klasztorną, w której był gołębnik i śpiżarnia.

W bibljotece znalazłem bardzo stary djarjusz zakonny z pierwszej połowy XVII wieku. Porobiłem z niego wyciągi i w osobnej książce wydałem, pod tytułem: „Z kronik zakonnych". Napisałem broszurę, „O spowiedzi", „Drogę krzyżową" i kilka innych, o których będzie niżej.

Założyłem tajną organizację kobiet, pod nazwą: „Stowarzyszenie córek Serca Jezusowego", które miało na celu walkę z mieszanemi małżeństwami. Udało się nam wykupić kilka dziewcząt od przymusowego małżeństwa, jak w dzikim kraju, — za pieniądze.

* * *

OTOCZENIE KAPŁANA.

W jakich warunkach upływała praca kapłana w djecezjach Łucko-Żytomierskiej i Kamienieckiej, ten tylko zrozumie, kto, bodaj, choć w przybliżeniu,

zaznajomi się z otoczeniem, w którem kapłan tam pracował kto pozna społeczeństwo miejscowe, inteligencję i lud, kto pozna wartość najpotężniejszego wroga-popa, i przeciwnika jego — katolickiego kapłana.

Nie piszę historji kraju, w którym mi Bóg pozwolił pracować, bo to już uczynili inni, którym dorównać nie potrafię, ale piszę to, na co własnemi oczami patrzyłem, lub w czem sam udział przyjmowałem. Może komu na co się to przyda.

Zacznę najpierw od nieprzyjaciela, od popów, z którymi z konieczności musiałem się zetknąć w rozmaitych okolicznościach.

Typy te, które tu przedstawię, wykażą najdobitniej wartość duchową i moralną przeciwnika, który, mając takie przymioty, nie przebierał nigdy w środkach i sposobach, ażeby dla celów swoich egoistycznych zwalczyć przeciwnika, kapłana katolickiego.

* * *

POPI.

Przy wyborach do pierwszej „Dumy“, w miasteczku T. na Wołyniu, w wielkiej sali gminnej zebrało się około 500 wyborców. Wśród nich księży 3, popów 28, prawosławnych-rusinów 400 z górą i katolików-mazurów 37. Prezydujący, marszałek szlachty, „kazał“ nam podzielić się na partje polityczne (?) i wybrać z pośród siebie odpowiednich kandydatów do balotowania, dla wyboru 27 wyborców do powiatu.

O żadnej partji politycznej w tym zapadłym kącie naturalnie nikt nic nie słyszał.

Ku zdziwieniu wielkiemu prezesa podzieliliśmy się szybko na 3 „partje".

3 księży i 37 katolików — mazurów stanowiło jedną „partję", 27 popów — drugą, a reszta prawosławnych chłopów — trzecią.

Przedstawiliśmy trzy listy swoich kandydatów: na pierwszej 27 popów, na drugiej 27 chłopów prawosławnych, na trzeciej ja i jeden mazur — katolik.

Rozpoczęło się głosowanie. Przewodniczący po kolei wywoływał popów i zapytywał zebranych czy zgadzają się, żeby ten pop był balotowany?

Stale odpowiadali: „Nie żełajem".

Dopiero ostre wystąpienie przewodniczącego, że pop musi być wybranym, zmusiło zebranych do przyjęcia udziału w balotowaniu.

Tu dopiero w całej pełni przejawiła się nienawiść i pogarda ludu rusińskiego dla swoich popów... Jeden za drugim popi-kandydaci, po kolei wszyscy 27, zostali zabalotowani.

Był to formalny skandal, którego nikt nie spodziewał się.

Przewodniczący, po przerwie, wytłómaczył wyborcom, że car - batiuszka koniecznie chce, żeby popi weszli do Dumy, dlatego on ponownie zapytuje: kogo z duchowieństwa chcą wybrać? Delegaci odpowiedzieli: „Księdza z Niewirkowa i popa z Kazimierki". A kiedy zdzwiony prezes zapytał, dlaczego tych, a nie innych, posłyszał odpowiedź: „Bo ksiądz-człowiek sprawiedliwy, a pop z Kazimirki także żony i dzieci niema".

Obaj, ku zgorszeniu reszty popów, zostaliśmy wybrani na powiatowych wyborców większością wszystkich głosów, przeciw głosom popów.

* * *

Duchowieństwo prawosławne na Kresach nietylko zmaterjalizowane, ciemne i załukane przez liczne otoczenie rodziny, ale w większości swojej bezwyznaniowe, nie mogło obudzić żadnego zaufania do siebie.

Inteligencja pogardzała popem, a lud go lekceważył, wszyscy zaś bali się, bo uważali każdego niemal popa, jako carskiego szpiega.

W 1909 roku budowałem kościół w S. Na pogorzelisku, przy robotach pracował cerkiewny starosta z synami. Kiedy kościół był już na wykończeniu, zgłosił się do mnie ze łzami w oczach, uprzedzając, że za dwa tygodnie ma być procesja prawosławna i bardzo liczny zjazd duchowieństwa, który zdecydował, przed poświęceniem jeszcze kościoła, siłą wprowadzić tam obraz Matki Boskiej Poczajowskiej i w ten sposób zabrać kościół na cerkiew *).

Poczciwy starosta cerkiewny wymienił mi datę, a nawet godzinę, kiedy mają dokonać tego gwałtu. Byłem niezmiernie wdzięczny mu za to, zwłaszcza, że wskazał mi swego popa-proboszcza, jako głównego inicjatora i kierownika całej tej piekielnej roboty.

---

*) Car Mikołaj I wydał był dekret, że we wszystkich miejscowościach na Kresach, gdzie jest w jednej wiosce kościół murowany, a cerkiew drewniana, kościół ma być zabranym na cerkiew.

Postanowiłem za wszelką cenę obronić kościół. Wiedząc o tem, że pop pijaczyna i łapownik, zdecydowałem się zaprosić go do siebie i w jakibądź sposób odwieść od tego zamiaru.

O godzinie 4 popoł. posyłam służącego z listem, zapraszając popa do siebie, na godzinę 5. na herbatę. Wiedziony jakiemś dziwnem przeczuciem, w kwandrans potem, zaproszenie odwołuję.

Na drugi dzień dowiaduję się, że pop właśnie, o godzinie 5 popołudniu, nagle umarł, pijąc u siebie herbatę.

Następca jego, człowiek młody i energiczny, w ciągu jednego roku zdążył tak zniechęcić do siebie parafian, że nawet jego własna żona, nie mówiąc już o parafjanach, do cerkwi nie chodziła.

Zmęczony ustawiczną walką i nie mogąc dać sobie rady z parafjanami, przyszedł do mnie, prosząc, żebym mu doradził, jaką drogą ma iść do zgody z parafją.

Było to po rozwiązaniu pierwszej Dumy.

Zapytałem popa: za co parafjanie tak go znienawidzili?

Z całą naiwnością opowiedział następującą historję nieporozumień, którą niemal dosłownie powtarzam:

„Otrzymałem rozkaz od archijereja, żebym przeczytał ludowi w cerkwi manifest o rozwiązaniu Dumy i powiedział kazanie, co to jest Duma i dlaczego Car Batiuszka rozwiązał ją.

W życiu mojem kazań nie mówiłem. Może ksiądz sobie wyobrazić moje zmartwienie. Przeszukałem w całej bibljotece wszystkie książki. Przej-

rzałem mowy ojców kościoła z pierwszych wieków, wszystkie kazania i listy pasterskie archijerejów i synodalne od 1874 roku i nigdzie nic nie mogłem znaleźć o Dumie! Zmartwiony, zgnębiony na duchu, poszedłem do cerkwi na nabożeństwo.

Cerkiew przepełniona. 8 nauczycieli ze szkół, roztrąbili już byli po całej wsi, że mam przeczytać manifest.

Zaciekawienie ogromne.

Ale co ja im powiem?

Przeczytałem manifest, przeżegnałem się, przeczytałem rozkaz archijereja, przeżegnałem się i mówię: Cesarz Batiuszka chciał zwołać do stolicy najlepszych ludzi z Matuszki Rosji na naradę, a w Dumie zebrała się sama „swołocz“.

„Dalej mi mówić nie dali, zaczęli w cerkwi krzyczeć, pięściami grozić, dlaczego ja nazwałem wybrańców ludu obelżywie. Zacząłem i ja krzyczeć. Cesarz ich rozpędził mówię, a ja ich tak nazwałem, bo oni chcieli od panów ziemię odebrać, a wam durniom dać. I cóż ksiądz powie? Wszyscy z cerkwi wyszli, nawet własna moja żona i djak“.

Inny znowu typ mego sąsiada z M., człowieka z wyższem wykształceniem akademickiem.

Postrachem był nietylko wszystkich księży w okolicy, ale własnych swoich kolegów, a nawet i policji. Szpieg i donosiciel. Zawdzięczając jemu, dwóch moich poprzedników, ks. Skudowicz i ks. Michałowski zostali usunięci z parafji przez rząd. Bali się go nawet chłopi, ponieważ miał wielki mir u arcijereja i był w bliższych stosunkach z gubernatorem.

Do mnie z wizytą przyszedł pierwszy i, kiedy po trzech miesiącach pobytu, ze wstrętu do tego człowieka, nie mogłem się zdecydować rewizytować go, przyszedł po raz drugi sam, domagając się, żebym stanowczo wieczorem, tego samego dnia, był u niego w bardzo ważnej sprawie.

Poszedłem.

Przy herbacie zwraca się do mnie z temi słowami: „Mam prośbę do księdza. Proszę wpłynąć na moje córki, żeby nie chodziły do kościoła. Jeżeli archijerej się dowie, że one w cerkwi nie bywają, a stale chodzą do kościoła, to ja stracę posadę".

Nie zdążyłem odpowiedzieć popowi, kiedy młodsza jego córka, oczko w głowie tatusia, wyręczyła mnie, ale w takich słowach, które odrazu przerwały możność wszelkiej dyskusji. „Do kościoła chodzimy i chodzić będziemy, bo ksiądz to prawdziwy sługa Boży, a Ty, Ojcze, jesteś ateusz, donoszczyk i zbrodniarz".

Manifestacyjnie wstały od stołu i wyszły.

Po nitce do kłębka udało mi się sprawdzić, że dziewczęta mówiły prawdę, że pop był nietylko donosicielem, ale i ateuszem, i zbrodniarzem.

Własnoręcznie zabił dziecko swojej służącej (i.... swoje), i w nocy, z zaufanym fornalem i kochanicą wywiózł do lasku cerkiewnego i pogrzebał pod brzozą. —

Ilekroć razy potem, pop ten potworny, groził mi pisaniem donosów, ja stale, jak gdyby bezmyślnie, zapytywałem, zmieniając temat rozmowy: „Czy w pańskim lasku cerkiewnym są jeszcze brzozy" i.... t e n pop donosu żadnego na mnie nie napisał.

W ciągu dwudziestu kilku lat pracy kapłańskiej,

na Rusi i w Rosji, nie spotkałem ani jednego popa, o którymbym mógł powiedzieć, że był człowiekiem ideowym, a jednocześnie gorliwym i uczciwym pasterzem-kapłanem.

Dzięki im właśnie, popom swoim, lud rusiński był bez wiary.

Żadnego uwiadomienia i przywiązania do wiary. Było tylko przywiązanie do obrządku i zwyczajów tradycyjnych i religijnych.

Miłości Ojczyzny żadnej.

Panicznie bali się cara i nahaja!

Każde nieszczęście, które spadało na Rosję, o ile nie dotknęło **miejscowej** ludności, nietylko przyjmowali bez smutku, ale nawet wywoływało ono zadowolenie.

* * *

Sympatje, nietylko inteligencji, ale nawet i ludu wiejskiego w czasie wojny japońskiej, stale były po stronie Japończyków. O ile inteligencja zdawała sobie sprawę z rezultatów przegranej wojny przez moskali, o tyle znowu lud nietylko polski, ale przedewszystkiem rosyjski, z przedziwną predylekcją mówił „naszych bjut".

Rząd dla dodania ducha armji starał się wszelkimi sposobami ośmieszać Japończyków. Propaganda działała nietylko po miastach, ale i wsiach. Między innymi, najbardziej rozpowszechnionymi środkami podniesienia ducha wśród ludu były „łubocznyja" obrazy: najgłupsze wierszydła na plakatach, na których przedstawiony był kozak-olbrzym trzymający na dłoni po kilku Japończyków. Albo też przedstawiono kozaka, zabijającego japończyka, jak pchłę.

Kiedy potem przyszli pierwsi ranni, a z ust ich i listów lud dowiedział się o bohaterskich czynach Japończyków i ich męstwie, o stosunku do jeńców, z sympatją do nich nie ukrywał się zupełnie, a te „malowidła“ coprędzej policja konfiskowała.

Pod koniec wojny zmobilizowano nowy rocznik. Mieli iść ludzie starsi, którzy zostawiali w domach żony i po kilkoro dzieci. O godzinie 5 rano, dano mi znać że moi parafjanie, a też i rusini, kategorycznie odmówili iść do wojska.

Przyszedł rozkaz działać perswazją.

Zwrócono się też do mnie, ażebym wpłynął na swoich parafjan i przedstawił im, że to jest rokosz, że zawezwą kozaków, że grozi polowy sąd i t. d. i t. d. Popi nie interesowali się zupełnie tym wypadkiem i wreszcie nie wierzono, żeby mieli wpływ jakikolwiek na lud.

Zebrali się wszyscy w kościele i czekali mojej mowy.

Byłem tak przybity całem zajściem i tem bezcelowem przelewaniem polskiej krwi, a też przez Polaków ręce i krwi szlachetnego Japończyka, w dodatku dla obrony dzikiego barbarzyńcy-moskala; tak to wszystko wpłynęło na mnie podniecająco, że powiedziałem kazanie, które, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, mógłbym życiem przepłacić.

Mówiłem o szlachetności, o wielkoduszności Japończyków. Opowiedziałem o tem, jak w szczególniejszy sposób troskliwie i po przyjacielsku obchodzą się z wziętymi do niewoli, zwłaszcza z Polakami. Zakończyłem przemówienie moje wyraźnym nakazem, żeby ani jeden z moich parafjan, któ-

ry idzie na wojnę, nie miał na sumieniu krwi Japończyka.

Słuchacze zrozumieli.

Zaledwie skończyłem, do uszów moich doleciał dźwięk dzwonków pocztowych.

Przyjechali żandarmi i zwiększony oddział policji.

„Isprawnik“ (naczelnik powiatu) zapytał przywódców ruchu, jak zdecydowali. Słysząc kategoryczną odpowiedź, w dodatku z uśmiechem na ustach: „Idziemy“, przyszedł do mnie, podziękował i pochód cały wyruszył.

Przeszło 1 i pół godziny i oto znowu, słyszę dzwonek pocztowy. Wchodzi policjant z błagalną prośbą, że w sąsiedniem miasteczku, odległym o 3 kilometry, Polacy rezerwiści zebrali się w kościele i wyjść z niego nie chcą, dopóki ja nie przyjadę.

Pojechałem. W obecności policji, żandarmów, sędziego, nauczyciela szkoły ludowej rosyjskiej, powiedziałem kazanie, ale naturalnie inne, niż w swojej parafii. Ludzie się popłakali, serdecznie podziękowali za obietnicę zaopiekowania się ich rodzinami i oddział drugi, składający się z paruset rezerwistów wyszedł spokojnie w dalszą podróż.

W kilka dni potem, na podstawie donosu szpiega, który był na obu moich kazaniach, przyjechała policja na śledztwo. Głupi szpieg, chociaż najdokładniej streścił moje pierwsze kazanie, poplątał jednak nazwę miejscowości, pisząc o kazaniu pierwszem, wyraził się, że było powiedziane tam właśnie, gdzie byli obecni i żandarmi, i sędzia, i nauczy-

ciel, i policjant. Wszyscy z oburzeniem stwierdzili, że donos jest fałszywy, że ja nic zdrożnego nie mówiłem: Szpieg oberwał, a ja sprawę na ten raz wygrałem, śpiewając Panu: „Mirabilia testimonia Tua, Domine“.

— VII —

Duchowieństwo Katolickie.

Rzymsko - katolickie seminarjum w Żytomierzu, na Wołyniu, kształciło alumnów dla dwóch diecezji: Łucko-Żytomierskiej i Kamienieckiej, t. j. dla Podola, Wołynia i Ukrainy, gdzie było z górą 800 tysięcy katolików.

Kiedy sięgnę myślą w lata ubiegłe, spędzone w murach seminarjum i przypomnę sobie naszych profesorów, ze czcią chylę czoło przed duchem tych zacnych mężów, wychowawców moich i moich kolegów!

— Do seminarjum w Żytomierzu wstępowali przeważnie młodzieńcy z rodzin inteligencji miejskiej i wiejskiej, szlachty zagonowej i bardzo mały procent dzieci włościan.

Świadectwa z ukończeniem 4 klas gimnazjalnych wystarczały, żeby mieć prawo zdawać egzamina na pierwszy kurs seminarjum.

Bez egzaminów przyjmowano maturzystów i studentów uniwersytetu.

Bardzo gorliwych kapłanów dostarczyła nam Litwa: Ks. Muraszko, ks. Ładygo, ks. Ruszyński.

ks. Szymkus, ks. Potaszus, ks. Pawilczus, ks. Ptaszyński, ks. Orynt, bez zarzutu pracowali jak dla kościoła, tak też i dla sprawy polskiej — dając wzór solidarności i wzajemnego popierania się.

W gronie profesorskiem seminarjum w Żytomierzu, nie było wybitnych uczonych, którzy mogliby byli poszczycić się pracami swojemi naukowemi, lub dziełami ascetycznemi. Z wyjątkiem biskupa Niedziałkowskiego, biskupa Żarnowieckiego i ks. Kalinowskiego, żaden nie zostawił śladów pracy swego ducha w książkach.

Natomiast, seminarjum miało takich kapłanów wychowawców, którzy licznym pokoleniom uczniów swoich świecili świętobliwością życia nieskalanego, jako, pod każdym względem, wzorowi kapłani-polacy.

Nie jeden z nas kleryków patrząc, jak modlił się prałat Kruszyński, Kamiński, lub profesor Ruszyński, więcej skorzystał, niż z licznych rozmyślań i konferencji o modlitwie.

Tacy świątobliwi mężowie, jak Kruszyński, Kamiński, Ruszyński, Wnukowski, tacy wybitnie prawego charakteru, jak Szatrzycki, Dąbrowski, a potem Muraszko, Szuman, Skalski, Czyżewski, życiem i przykładami więcej nauczyli mądrości, niż zaczerpnąć jej można było z książki.

W nich i w ich uczniach na parafjach już pracujących, klerycy widzieli prawdziwy wzór, jakim ma być Homo-Dei-kapłan.

To też i niejeden kleryk w seminarjum, przypatrując się swoim profesorom, powiedział był sobie: „Nie, ja takim być nie potrafię“, i wychodził.

Razem ze mną wstąpiło na pierwszy kurs 18

alumnów. Skończyło seminarjum i zostało kapłanami tylko 9. Mniej więcej to samo było i na innych kursach.

Wzorem dla kapłanów młodych na parafjach, za moich czasów , byli tacy znani powszechnie w całej djecezji, pełni poświęcenia i zaparcia się kapłani: ksiądz prałat Pogorzelski i jego uczniowie, ks Ścisławski i Rozenberg, z seminarjum Kamienieckiego; potem ks. Chaszczyński, Ruszyński, Horkiewicz, Mańkowski, Żukowski, Michałowski, Dworzecki, Naskręcki i wielu, wielu innych, wyróżniających się już to świątobliwością życia, już to bohaterską pracą, pełną bezinteresownego poświęcenia się.

Kiedyś pewien pop tak mi powiedział: „U was tyle idzie na księży, dla „chleba kusa" (kawałka), ile u nas na popów „dla Isusa".

Sądzę, że się nie omylił!

Mieliśmy też i księży oryginałów. Taki słynny ks „Pulcio-Mendax", staruszek, który łgał bez miłosierdzia i sam wierzył w to co mówił.

Naprzykład raz opowiadał o swojej audjencji u Papieża: „Chodzę, chodzę po korytarzu w Watykanie, ot tak, jakby tu w seminarjum, aż tu patrzę, po schodach z góry coś białego toczy się, patrzę, a to Ojciec św. Pius IX., zobaczył mię i mówi po polsku: Pulcio to ty! Jak się masz".

Albo znowu taki oryginał, jak ks. Kozłowski, który bardzo lubił kolegę swego — dziekana ks. Wituszyńskiego, ale mu ciągle figle płatał.

Obaj byli uczniami ks. prałata Pogorzelskiego, u którego byłem wikarjuszem.

Pewnego dnia przyjeżdża ks. Wituszyński do prałata ze skargą na ks. Kozłowskiego.

Po długim i nudnym wstępie, wyjmuje raport ks. Kozłowskiego, napisany, stosownie do prawa rosyjskiego w języku urzędowym i każe mi go przeczytać. Doskonale pamiętam treść tego papieru, w którym ks. Kozłowski zwraca się do dziekana z następującą prośbą (muszę tu nawiasowo dodać, że dziekanów tytułowano Wysoko-Prepodobje. Tłomaczyć ten wyraz będę „Przewielebny"). Otóż w tym urzędowym papierze ks. Kozłowski pisze tak: „Niejednokrotnie już miałem zaszczyt zwracać się do Waszej Przewielebności, prosząc Go o wyrobienie mi zwolnienia od obowiązków proboszcza i pozwolenia zamieszkania poza probostwem, ponieważ mam taką samą chorobę, jak i ks. Dziekan i sumienie nie pozwala mi dłużej zajmować stanowiska, któremu podołać nie mogę. Wasza Przewielebność odpowiadał zawsze odmownie, motywując brakiem kapłanów. Dziś znowu proszę o to samo. Popudką zaś do tej prośby był sen, który dzisiaj miałem. Śniło mi się, żem umarł. Przychodzę na straszny sąd, Chrystus woła mnie do siebie i każe publicznie zeznawać winy moje. Jedno za drugiem pytanie zawsze zaczyna jednakowo: Dlaczego ty księże Kozłowski, mając taką samą chorobę, jak i twój Dziekan Wituszyński wczas nie uwolniłeś się od obowiązków proboszcza? Czy wiesz ile, dzięki temu, żeś ty, będąc chory, tak samo jak i twój Dziekan, i nie mogąc jeździć wozem do chorych, umarło bez spowiedzi i t. d.

„Ponieważ na wszystkie pytania, odpowiadałem: moja wina, moja bardzo wielka wina, Chrys-

tus wydał wyrok w jednym wyrazie: Winien! Natychmiast djabli mnie porwali, zaczęli wodzić takiemi krętemi drogami, żem i ślad zgubił. Raptem czuję zapach smoły i palonego ciała ludzkiego. Wprowadzają mnie djabli do olbrzymiej sali. W progu stoi główny djabeł najstarszy i zapytuje mnie: „Ty jesteś Kozłowski“? Z należytym szacunkiem dla jego godności odpowiadam: „Ja, wasza przewielebność“. „Chodź tu, wskażę ci twoje miejsce“. Wybrał mi największy kocioł i wskazując palcem na dno powiada: „właź, tam twoje miejsce! Z przerażeniem spojrzałem w głąb kotła i...... na dnie zobaczyłem Waszą Przewielebność“.

Tak sobie w wolnych chwilach od pracy kapłańskiej i walki z rządem bawili się sąsiedzi.

Ten sam ks. Kozłowski, z przedziwnym sprytem, umiał zawsze, w ciągu kilkudziesięciu lat pracy kapłańskiej uniknąć kary rządowej. W Krasnem, rząd, robiąc szykany kościołowi, pozwolił na zbudowanie kościoła, ale go oszpecił, obciąwszy wieżę. Ks. Kozłowski, pomimo to wieżę zbudował. Na zapytanie zaś gubernatora, wystosowane na czterech arkuszach papieru „jakiem prawem pozwoliłeś sobie budować wieżę“, co po rosyjsku brzmi „Na kakom osnowanji“ (a wyraz „osnowanje“ można też tłomaczyć „fundament“), ks. Kozłowski na to pytanie, na tym samym arkuszu pisze, tylko dwa wyrazy: „Na kamiennom“ i, podpisawszy, odsyła z powrotem do gubernatora. Gubernator w oryginale odsyła do konsystorza z prośbą, by konsystorz nauczył księdza, jak ma odpisywać do władz wyższych: „na osobnym papierze, największego formatu“. Prosi zrobić księdzu za to wymówkę

i ksiądz ma przysłać zawiadomienie, że wymówkę otrzymał. Po tygodniu przynosi poczta do konsystorza na sążniowym wałku jakieś papiery nawinięte. Olbrzymi stół konsystorski nie mógł zmieścić tego arkusza, po środku którego malutkiemi literkami, jak maczek, był napisany jeden wiersz: pokwitowanie, że wymówkę przyjął pod uwagę i największy arkusz papieru, jaki tylko mógł znaleźć w miasteczku u damskiego krawca używa do napisania, jako dowód poprawy. W tym samym czasie wynika sprawa, że ks. Kozłowski, będąc wikarjuszem jeszcze w Kamieńcu, na przedmieściu, na Karwasarach ochrzcił u pp. Zabłockich „prawosławne" dziecko. Ksiądz znowu po swojemu odpisuje, bez tytułu, na tym samym papierze gubernatorskim w te słowa:

Na Karwasarach nie bywał
Zabłockich nie znał
U nich rebionka nie krešcił,
Kak mnie Boh mił!

Gubernator żąda wydania świadectwa pannie K. że jest panną. Panna K. chciała ślub brać w cerkwi.

Ks. Kozłowski odpisuje: „O podobne świadectwo proszę zwrócić się do zarządu lekarskiego".

Zebrawszy kilka takich klasycznych odpowiedzi, gubernator zadecydował, że ks. Kozłowski jest nienormalny i żeby go pozostawiono w spokoju. Odtąd robił co chciał i nikt go do żadnej odpowiedzialności nie pociągał.

Taki przezacny raptus kanonik z Łucka, Stańkowski, który zawsze wszystkiego i wszystkich bał się, ale co miał dyskretnie oddawał na elementarz i książki dla ludu.

Ks. Piotr Mańkowski jedyny w diecezji kapłan „z pałaców“, magnat, dający na prawo i lewo, ale tak, że nie wiedziała prawica, co czyniła lewica. Asceta, pisarz, autor „Trylogji“, doskonałych rozmyślań dla kapłanów.

Ks. Dubowski proboszcz z Korca, który umiał po 12 godzin siedzieć w konfesjonale. Za żadne posługi prawie nigdy nic nie brał, a braku pieniędzy nie zaznał.

Ks. Kanonik, Leopold Szuman, nieustraszony obrońca prawdy Chrystusowej, wierny przyjaciel ludu, całą duszą oddany bezinteresownej pracy nad umoralnieniem chłopa polskiego.

Albo ks. Longin Dobrowolski, który umiał po kilka tygodni w wilgotnym kościele, mimo choroby, raka w żołądku, katechizować po 300 dzieci dopóty, póki krew gardłem mu się nie rzuciła, a od stania po 8 godzin dziennie, spuchnięte nogi nie odmówiły posłuszeństwa.

Albo ks. Antoni Liniewicz, drobny, mizerny, malutki, szczupły, cichy, z żelazną wolą o nieugiętym charakterze, z ciągłym swoim „nie“, jakby „non possum“, odmawiający wszelkich ustępstw i kompromisów z rządem. Potem zesłany w czasie wojny, a wpierw obity nahajami przez kozaków.

A taka świetlana postać, ascety rozumnego, Ks. Horkiewicza z Tynnej, który wymową porywał słuchaczy, a świątobliwością życia budował.

Z młodszej generacji ks. Jarosiewicz, świetny organizator młodzieży, czynny brał udział w P. O. W. i ks. Niedzielski, ginący na posterunku i wielu innych!

Ks. Stanisław Szeptycki, który zbudował koś-

ciół w Fastowie, a potem w Kijowie, jako proboszcz swoją prostotą i gołębiem sercem, jednał dla kościoła i prostaczków, i inteligencję.

Ks. Nosalewski, proboszcz największej parafii na Podolu, który zbudował wspaniałą bazylikę w Płoskirowie. Dzięki jego energji i zapobiegliwości zawdzięczaliśmy wskrzeszenie djecezji Kamienieckiej. —

Nie z tego świata chyba ks. Ruszyński, proboszcz ze Sławuty, który na pogrzebie dziecka czeskiego, mowę mówił do apostatów-czechów: „Nie płaczcie nad dzieckiem, ale nad tymi, którzy wiarę sprzedali za kawałek ziemi". A kiedy potem żandarm badał księdza, ten wobec świadków przyznał się, że, istotnie, mówił te słowa. Po wyjściu z kancelarji żandarmskiego pułkownika, wraca znowu, klęka przed nim mówi: „Panie pan tak uczciwie mnie badałeś, taką masz szlachetną duszę, szkoda ciebie, zginiesz w prawosławiu. Błagam cię, w imię Chrystusa, poznaj prawdę, zostań katolikiem. Wszak twoi pradziadowie byli polacy i katolicy".

Sam byłem świadkiem jak żebrakowi oddał, z nóg zdjąwszy, ostatnie buty.

Jadł mniej od dziecka małego, a w 1910 roku cały post wielki żywił się **tylko** ziarnkami suszonego grochu i gorącą wodą!

Były niestety i inne typy. Dwaj dobrzy moi znajomi, lepiejby byli zrobili, gdyby zostali handlarzami, trzeci znowu kwalifikował się na pośrednika przy kupnie koni na jarmarku w Jarmolińcach, innemu znowu czapka kuglarza byłaby więcej do twarzy, niż biret.

Był jeden ze starszej generacji, a drugi młodszy kolega, maniacy budowniczowie.

Ciągle coś budowali i przerabiali! Między nimi była tylko ta różnica, że ten młodszy, każdą nową budowę projektował na bardzo szeroką skalę, a kiedy skończyć nie mógł, uciekał na inną parafię, ale.... jakoś tak zawsze się zdarzało, że.... lepszą, a jeśli i gdzie skończył, to długów bez liku zostawiał na barki swoich następców.

Ale to były jednostki w ścisłem tego słowa znaczeniu!

* * *

Kiedy dzisiaj sięgnę myślą w lata ubiegłe i zrobię rachunek sumienia z grzechów — błędów naszych pasterskich, tam na Rusi, względem owczarni naszej, to przedewszystkiem widzę dwa bardzo wielkie:

1) wielu z nas lekceważyło sobie pracę nad duszami tych nielicznych owieczek rasowych, które były w parafji:

2) w pracy nad ludem, też wielu, dbało więcej o formy, niż o treść.

Kościół pełen „ciał“ ludzkich, nawieszane na nich szkaplerze, koronki i różańce, „rozśpiewane“ tłumy, nie jednego z nas w błąd wprowadzały, że, „dobrze jest“.

Kazanie „moralne“ „z życia“ — nieraz to była jedyna i całkowita nauka wiary dla ludu.

I kiedy na te „ciała ludzkie“ przyszła silniejsza pokuta, kiedy zobaczyły, jak bluźnił bolszewik, strzelając do krzyżów, lub profanując ohydnie obrazy świętych, lud z początku bolał, a potem.... potem.... Et, lepiej nie pisać....

Pomimo tych błędów, przyznać muszę, że olbrzymia większość kapłanów, tych szeregowców przedniej straży kościoła i narodu na Kresach, uczciwie, z poświęceniem stała na posterunku, mężnie walcząc o duszę katolicką-polską.

A jednak, pomyślisz sobie, czytelniku, w 1920 roku tylu was opuściło swoją djecezję i przyjechało do Polski!

Tak, to prawda!

50% kapłanów wyszło z djecezji Kamienieckiej, wyszli wraz z polskiem wojskiem odstępującem.

Dlaczego to zrobili, postaram się wyjaśnić w końcu III-ej części.

VIII.

Polskie społeczeństwo.

Kto się urodził na Kresach, tam się wychowywał w szkołach i 20 lat pracy społeczno-religijnej ma za sobą na Podolu, Wołyniu i Ukrainie w zapadłych kątach, ten ma prawo powiedzieć, jakie na nim robiło wrażenie jego rodzinne polskie społeczeństwo **na prowincji** — ziemianie i nteligencja zawodowa.

Zachwycony zawsze byłem, i w latach moich dziecięcych i młodzieńczych, i kiedy zostałem kapłanem, tem, że nasze ziemiaństwo, a w większych środowiskach skupienia polskich pracowników rolnych i fabrycznych, inteligencja zawodowa, trzymali się bardzo zdaleka od łączności towarzyskiej z moskalami.

Nie obeszło się, naturalnie, bez wyjątków, ale większość, i to znaczna, w rosyjskich domach nie bywała i u siebie moskali nie przyjmowała.

Polacy na Rusi byli zawsze uważani jako znakomici rolnicy, świetni organizatorowie i administratorowie majątków ziemskich i fabryk.

Lekarzy, adwokatów, aptekarzy i inżynierów

polaków zawsze stawiano wyżej od ich kolegów rosjan, nie mówiąc o żydach.

Jakaż była ich praca dla sprawy narodowej, katolickiej i dla ludu na prowincji?

Do 1905 roku, tak po wsiach, jak też i w miasteczkach w pracy religijno-narodowej przyjmowały udział bardzo, bardzo nieliczne jednostki.

I co najsmutniejsze, robione to było, w mojem przekonaniu, nie tyle z obawy przed rządem, z tchórzostwa, ile przedewszystkiem przez skąpstwo i lekkomyślność.

Kościoły waliły się w gruzy i, gdyby nie ofiarność ludu wiejskiego, nie byłoby możności je podtrzymać.

Prasa polska ledwie wegetowała. dla braku środków. Na cele oświatowe u nikogo prawie nic wyprosić nie było można. Większość panów magnatów zbywała obowiązki swoje trzyrublówkami, a drudzy marnowali majątki na zbytki, życie nad stan, hulankę i karty.

Mógłbym tu przytoczyć nazwisko nie jedno ludzi możnych, do których zwracali się osobiście, jak kapłani, tak też i inni działacze społeczni, prosząc o pomoc, czy to na budowę kościołów, czy to na szkoły, lub pisma polskie, a ci stale odpowiadali: „Teraz są ciężkie czasy“.

Jeden, który miał u siebie zbytkowne, olbrzymie sale z urządzeniami gimnastycznemi wyłącznie tylko dla siebie i sprowadzał profesorów z Anglji, którzy tylko jego jednego uczyli boksu, drugi, który trzymał kilkaset psów myśliwskich i 2-ch psich-

mistrzów-francuzów, stale narzekali na „ciężkie czasy".

Gdyby 10-tą część tego co wydawali na zbytki. oddali na cele religijno-oświatowe, możnaby było rocznie niejeden kościół zbudować i niejedną szkółkę założyć.

Gdybyż przynajmniej byli umieli „zbierać pieniądze", „robić interesa".

Niestety!

Dobre przykłady Mańkowskich, Konstantego Buszczyńskiego, Jaroszyńskiego, Sanguszki i nielicznych innych, którzy majątki swoje zniszczone, zadłużone po powstaniu, nietylko doprowadzili do kwitnącego stanu ale porobili kolosalne fortuny, na innych nie działały!

Majątki zadłużono w bankach i u żydów. Procenta rosły, polska ziemia malała.

Wielu, coprawda, tłomaczyło się, że długi zrobili nie oni, lecz: kontrybucja dość wysoka, którą płacono w ciągu 38 lat, przejście z gospodarki pańszczyźnianej na płatną, uwłaszczenie włościan oraz wydatki, związane z powstaniem.

Tak, to prawda, ale nie zupełna, bo przecież wszystkich to dotknęło, a jednak nie wszyscy wyzbywali się ziemi...

Fabryki cukru jedna za drugą przechodziły do rąk żydowskich: Brodzkiego, Zajcewa, Kohena.

Do niedawna, jakby zmonopolizowane stanowiska dyrektorów fabryk, ich pomocników, mechaników i chemików, po polakach obejmują żydzi i moskale.

Adwokaci i lekarze polacy z prowincji uciekają

do wielkich miast, a ich miejsca zajmują żydzi, pokątni doradcy, plaga wsi i miasteczek.

Apteki jedna, za drugą przechodzą też z rąk polskich do rąk żydowskich.

Na prowincji pozostaje gnieniegdzie ideowiec taki, jak Brunon Starorypiński, Tomasz Michałowski, Seweryn Sarjusz Zalewski, Wacław Skibniewski, Stanisław Stępowski. —Jeszcze rzadziej, magnat, świadomy swoich obowiązków społecznych!

Prowincja coraz więcej i więcej wyludniała się z sił polskich, zdolnych do pracy narodowej.

Reszta niedobitków inteligencji, walcząc niezorganizowana, zajęta była myślą o chlebie powszednim dla siebie i dzieci swoich, wysilając mózgi, jak resztki ziemi polskiej utrzymać w rękach swoich.

Teatrzyk amatorski, balik jeden, lub drugi, wtedy, jak się młodzież zjedzie ze szkół, oto najczęstsze przejawy życia polskiego, kulturalnego i towarzyskiego na prowincji.

Niejednokrotnie, w ciągu lat 20 pracy mojej kapłańskiej, starałem się w rozmaitych miejscowościach organizować szkolnictwo, tworzyć biblioteki lotne i „żurfiksy“ z obowiązkowymi odczytami, wymianę książek i gazet.

Wszystko powstawało bardzo szybko.

Ale zapalny ogień prędko gasł, bo... brak był ludzi odpowiednich, środków i nieraz... dobrej woli.

A jakież były sąsiedzkie stosunki, nie te towarzyskie, ale te w nieszczęściu, kiedy poznaje się prawdziwych przyjaciół.

Owszem dobre. Byli ludzie tacy, jak Mańkowski, Jaroszyńscy, Brzozowski, Buszczyński Konstanty,

Sulatycki z Chrzanówki i inni, którzy szli z pomocą sąsiadowi w nieszczęściu, ale byli i tacy, których świetnie scharakteryzował mój parafjanin pan S. S. w wierszu „Pływak“, opisując swoje stosunki i przygody z sąsiadami.

„PŁYWAK“.

Walcząc czas dłuższy z nurtem bystrej rzeki,
Pływak już zdążał, gdzie brzeg niedaleki,
A gdy, znużony resztek tchu dobywa,
Na brzeg się zbiega gawiedź, wrażeń chciwa.
Nikt mu nie podał żerdzi, albo sznura,
Lecz radców, za to, urosła wnet góra:
„Pływaku“, krzyczą, tu brzeg kamienisty,
Miejsce otwarte i słońce cię spali;
Płyń jeszcze trochę — tam masz gaj cienisty,
W nim chatka twoja bieleje już w dali.
Pływak wzniósł oczy i wyrzekł nieśmiało:
Jabym to wolał, lecz sił mam za mało!
Sprobój, wołają, dobra twego chcemy,
Zresztą, choć zginiesz — to my zostaniemy.
Usłuchał biedak i w tem jest rzecz cała:
Pływak utonął — a gawiedź została.
Morał z tej bajki: kiedy kto się biedzi,
Niech sił swych słucha, nie głosu gawiedzi.

Gdzieniegdzie tylko, podkreślam to znowu, na prowincji nieliczne grono naszych szlachetnych i zacnych niewiast kresowych poświęcało się z zapałem dla dobra ludu, nie żałując ani środków, ani osobistego trudu, tak dla sprawy kościoła, jak i dla

sprawy narodowej, ale za bardzo mało ich było, żeby mogły były co zrobić.

* * *

Dlaczego tak źle było? Czy istotnie zmęczeni byliśmy niewolą? Czy walka beznadziejna wyczerpała siły? A może lekkomyślność? A może to była apatja, bezwładność duchowa, przed idącą straszną, dziejową burzą?

Wszystko to razem złożyło się, że wielu spało snem twardym, mając pod głową jasiek z haftem: „Jakoś to będzie".

Sen trwał zbyt długo.

I kiedy w początkach rewolucji obudzono się i wszyscy rzucili się „Na dno do pracy", bo statek polskiego życia, polskich wpływów i kultury tonąć poczynał, było już zapóźno.

Ale i wtedy, (na początku rewolucji), wielu przeceniało swą pracę, myśląc, że w ciągu roku poprawić potrafi błędy swoje i to, co moskal psuł i paczył z górą setkę lat.

Byli, niestety, i tacy, którzy nietylko sami nic nie robili dla kościoła i sprawy narodowej, ale moskalowi w tej szatańskiej robocie ruszczenia i sprawosławiania polaków pomagali, budując szkoły cerkiewne, a nawet i cerkwie.

Z głupim uśmiechem na twarzach pokazywali mi, wypisane na pergaminie błogosławieństwa archijerejów prawosławnych dla nich polaków-katolików za te „patrjotyczne" zasługi.

Widziałem takie błogosławieństwa u pana L. w P., u pana S. w Sł. i u pana J. P. w An.

Kresowcom naszym muszę przyznać jeden bar-

dzo cenny przymiot, że głęboko bardzo byli przywiązani do ziemi ojczystej. I kiedy moskale, kupując kawałek ziemi uważali go sobie, jako przedmiot handlu, polak każdy przeciwnie uważał go za skarb i świętość narodową i nawet wtedy, kiedy tę ziemię zmarnował przez niedołęstwo, lekkomyślność, lub hulankę, bolał nad tem, że stracił to, co uważał za świętą własność nietylko swoją, ale całego narodu.

Ziemianie polscy na Kresach, to też szeregowcy przedniej straży kultury polskiej! Wśród tych niedobitków mieliśmy dużo wielkich bohaterów, którzy z nadzwyczajnym wysiłkiem, z narażeniem życia swego i swoich dzieci do ostatniej chwili siedzieli w swoich dworach i dworkach wiejskich, tych fortecach dziwnych na glebie ojczystej! Ci, godni są naprawdę, by przyszły historyk Kresów naszych przekazał ich imiona do skarbnicy martyrologji polskiej.

* * *

Jaki był stosunek obywatelstwa do ludu?

W czasie wyborów do Dumy, popi, zebrawszy chłopów wyborców. zamknęli ich w klasztorze Michajłowskim w Żytomierzu i, ciągle bawiąc rozmowami, molebniami, jedzeniem i piciem, nie dawali możności porozumienia się polakom z prawosławnymi chłopami. Kiedy jednak udało się panu Konopackiemu (Krzywernu, jak go chłopi nazywali) dostać się do klasztoru i tam rozpocząć pertraktacje z chłopami, zaniepokojony jeden z popów obecnych przy tem, wypowiedział mowę, którą tak zakończył: „Wybierajcie panów do Dumy, ale ruskich i prawosławnych, bo ruskij prawosławnyj, to nie to,

co polak-katolik. W odpowiedzi na to zabrał głos chłop i mówi: „Tak jest, ruskij prawosławnyj pan to nie to, co polak katolik. U nas był pan polak, pan z pana. Kiedy mi umarła żona, a ja przyszedł do pana pan ze mną zapłakał, dał deski na trumnę, posłał konie po popa. Były małe dzieci, musiałem się ożenić prędko. Pan dał na wesele. Ale majątek sprzedał. Przyszedł pan ruskij-prawosławnyj. Przyszło na świat dziecko, idę do pana nowego, prosze o pożyczkę, a on mi mówi: „Poszoł won". O tak, Batiuszka, pan ruskij-prawosławnyj to nie to co polak-katolik, taki jak ten krzywy Konopacki".

W M. na Podolu pan S. spotkał biedaka chłopa, który niósł do domu pół worka zboża skradzionego. Podchodzi do niego, zatrzymuje i mówi: „Uciekaj serdeńko, żeby ciebie mój ekonom nie złapał"...

Chłop był w biedzie. Pracował od wschodu słońca do zachodu za marny grosz. Liczne rzesze robotników fabrycznych i służby folwarcznej najczęściej gnieździły się we wstrętnych norach, zwanych czworakami, głodem przymierając. Całą zimę i jesień żona i dzieci siedziały w chałupie, nie mogąc wyjść do kościoła, ani nawet na wieś, bo nie było butów i ubrania, a jednocześnie widzieli jak w pałacu, czy dworze było życie nad stan i rzucanie pieniędzy w błoto, a o lud, nawet o najbliższych pracowników, mało kto dbał.

Rezultaty takich stosunków później zbyt boleśnie dotknęły lekkomyślną szlachtę i magnatów. Kiedy w czasie rewolucji niszczono bez miłosierdzia wszystkich obywateli, najczęściej własna dworska służba naprowadzała bandytów, rej wodziła, lub też

nawet i mordowała dawnych swoich chlebodawców.

Zamordowano niemiłosiernie potem i wielu ludzi najzacniejszych, jedynie tylko dlatego, że byli obywatelami ziemskimi; giną więc: Sobańskich 3, Mańkowski Jan z synem, Krasuskich 2, Jakubowskich 2, Kumanowski, Skibniewski Stanisław i Zalewskich 2, najzacniejszy dyrektor fabryki cukru, Horodecki i wielu, wielu innych, których nazwisk lista byłaby zbyt długą, stają się ofiarą za winy innych.

* * *

SZKOŁY POLSKIE.

Powstanie 40 szkół średnich i 2 wyższych uczelni polskich na Rusi po rewolucji jest bezsprzeczną zasługą przedewszystkiem Polskiego Wykonawczego Komitetu i Macierzy Szkolnej.

Z równą stanowczością stwierdzam, że powstanie wiekszości szkół początkowych ludowych na Rusi było zasługą duchowieństwa katolickiego i jego ofiarnej pracy, w której mu pomagały wtedy bardzo nieliczne jednostki z pośród inteligencji.

W 1917 roku, w dniach 18—24 czerwca, odbył się liczny zjazd na Rusi w Kijowie. Przyjęło w nim udział 556 przedstawicieli 233 rozmaitych organizacji: — oddziałów Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, Towarzystwo Dobroczynności, Ognisk, Domów i Klubów Polskich, Oddziałów Macierzy Szkolnych i t. p.

Zasiedli, w tym „Sejmie Kresowym", jak go nazwał przewodniczący w mowie inauguracyjnej, obok siebie, przedstawiciele: „Związku Polaków Wojskowych" „Szewców Imienia Kilińskiego", Pol-

skeigo Uniwersytetu ludowego“ „Towarzystwa sług św. Zyty“, „Związku demokratycznego“ „P. P. S.“ i t. d.

Wszystko zapowiadało się bardzo pieknie, zanim nie rozpoczęły się narady, wiecowanie i partyjne utarczki...

A kiedy referent wydziału finansowego, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, zdawał sprawozdanie za czas od 7 marca do 1 czerwca 1917 roku i musiał ogłosić zebranym, że „ogólny dochód z całej Rusi 27.000 rb. — to suma bardzo skromna“, przekonałem się niezbicie, i ja, i moi koledzy obecni na tym „sejmie“, że na wydatną pomoc materjalną, na cele oświatowe od P. K. W. i nadal liczyć nie można będzie.

Widzieliśmy dobrą wolę wielu, ale też widzieliśmy i wiele niesnasek, partyjnych porachunków i osobistych i bezcelowych protestów.

Przekonaliśmy się, że polacy kresowi sejmikować potrafią z zachowaniem wszystkich wad swoich ojców.

Nam księżom z prowincji było jasnem, że nietylko materjalnej, ale i moralnej pomocy znikąd spodziewać się nie możemy. Trzeba rachować tylko na własne siły i z nimi iść do ludu.

Tak też większość kapłanów uczyniła *).

*

My, Kresowcy, dumni jesteśmy, że nasze Podo-

---

*) Odsyłam czytelnika do bardzo ciekawej broszury: „Zjazd Polski na Rusi w Kijowie w dniach 18—24 czerwca 1917 roku", wydał ją prezes, hr. Grocholski.

le, Wołyń i Ukraina dały Polsce tylu ludzi sławnych, uczonych, zasłużonych.

Z Kresów idą na służbę kościoła i narodu: Kardynał Czacki, Arcybiskup Feliński, Arcybiskup Szembek, Arcybiskup Symon, Arcybiskup Wnukowski, słynny Jezuita Bradkowski, męczennik Bejzym, opiekun trędowatych; biskupi: Niedziałkowski, Żarnowiecki, Mańkowski; świątobliwy prałat Chołoniewski, prałat Gnatowski, brat Albert; z niewiast: matka Daroska, matka Drzewiecka.

W 31 i 63 roku nasze Kresy dały wodzów sławnych: Różycki Karol i Edmund, generał Kołyszko, gen. Dwernicki, Ludwik Kicki, Ostaszewski, Padlewski.

Z Kresów wyszli poeci: Słowacki, Krasiński, Zalewski, Sowiński, Gliński, Gosławski, Groza Aleksander.

Historycy: Chmielewski, Kalenbach, Krechowiecki, Jabłonowski, Rawita-Gawroński, Rolle, Karwicki, Pułaski, Radzymiński.

Powieściopisarze: Kaczkowski, Korzeniowski, Kraszewski, Rzewuski, Czajkowski.

Artyści: Paderewski, Szymanowski, Tyrczyński, Michałowski, Wrzeszcz.

Polityczni działacze: Spasowicz, Starczewski, Grocholski, Żukowski, Poniatowski, Paszkowski, A. Zalewski.

W Polsce Odrodzonej pracowali lub pracują: Ignacy Szczeniowsk, b. Minister; Jan Modzelewski, poseł Rzeczypospolitej; Oskar Sobański, Wiceminister; Władysław Sobański, poseł Rzeczypospolitej; Roman Knoll, poseł Rzeczypospolitej; Franciszek

Pułaski, Marszałek Rady Stanu, potem poseł Rzeczypospolitej; Ksawery Orłowski, poseł Rzeczypospolitej; Jerzy Żdziechowski, poseł; Smólski, Minister.

A w Wojsku ileż to dzielnych ludzi było w czasie wojny! Ilu tam dzisiaj jest na wyższych stanowiskach!

I setnej części zasłużonych Polaków kresowców nie wymieniłem!

Pozwoliłem sobie przytoczyć najbardziej znane nazwiska, żeby dać dowód czytelnikowi, że Kresy miały i dały Polsce bardzo wiele „ludzi", na służbę kościołowi, nauce, polityce i wojskowości.

Majątek polski na Kresach A. W. Darowski na podstawie dokumentów w dziele swojem „Kresy Ruskie", oblicza na dziesięć tysięcy dwieście miljonów rubli **złotych**, a produkcję polską na pięćset siedmdziesiąt ośm miljonów rubli **złotych**.

W początkach rewolucji „na gorąco", na cele narodowe. Polski Komitet Wykonawczy, jak to już wyżej wymieniłem, zebrał za czas od 7 marca do 1 czerwca 17 r. tylko 27 tysięcy rubli, ale nie złotych.

Widzimy więc jasno, że Kresom i „ludzi" nie brak było i środków materjalnych.

Ale do roboty na Kresy mało kto szedł wtedy, tak jak, niestety, dziś w Polsce.

Dlaczego?

Wiem, jak wielcy tego świata politycy, historycy, tłomaczyć będą to smutne zjawisko, ale niechżeż posłuchają, jak sobie tłomaczono na prowincji.

Ja, człowiek mały, stwierdzam to, na co sam patrzyłem:

O życie ludu polskiego, o organizowanie go, oświatę, o jedyny przybytek, gdzie się kołatał duch polski pod opieką ducha wiary — o kościół, ziemiaństwo inteligencja zawodowa na prowincji nie dbała i tą sprawą nie interesowała się.

Ci, bardzo nieliczni, którzy chcieli coś zrobić, nie mieli środków materjalnych. A ci, którzy środki mieli i dać je nietylko mogli, ale i powinni byli, magnaci, ziemianie, w olbrzymiej większość swojej i sami nic nie robili, i innym dawać na robotę religijno-narodową nie chcieli.

Nie mam zamiaru komukolwiek zrobić przykrość, pisząc te słowa. Cel mam inny.

Widzę i patrzę zbliska w Polsce, piąty już rok, ile to dzielnych kresowiaków pracuje tutaj z wielkim pożytkiem i dla Polski, i dla siebie.

Niechże nie zapominają o swoich błędach, tak, jak my kapłani uchodźcy pamiętamy o swoich, a uderzywszy się w piersi niech powiedzą „mea culpa"... a nie czyja inna!

W nowych, a tak pomyślnych dla pracy warunkach niech tu w Polsce na „prawo" i „lewo" mówią, do czego to ich, tam na Kresach, doprowadził był egoizm stanowy i lekceważenie sprawy ludu!

(Dobrze by było, gdyby zamożni Podolacy, którzy pracują tutaj w Polsce, jako minimalną ekspijację za tak liczne błędy swoje zechcieli, wreszcie. usłyszeć „głos wołającego na puszczy" Biskupa djecezji Kamienieckiej, który bez żadnego rezultatu woła już do nich piąty rok, prosząc o pomoc dla małego Seminarjum w Buczaczu, które wychowuje przyszłych kapłanów dla ukochanego naszego Podola).

IX.

W Sokolu.

Poraz, niewiem już który, otrzymał biskup Niedziałkowski rozkaz z Petersburga, żeby mnie usunął od wszelkiej pracy kapłańskiej.

Domagano się nawet, żebym wyjechał zupełnie z diecezji.

Wina moja polegała na tem, że w walkach ze słynnym mnichem, Iliodorem z Poczajowa, zawsze go pokonywałem.

Tak też i teraz było.

Ten potworny mnich, fanatyk i szowinista, który w kilka lat potem zrzucił suknię zakonną i ożenił się, jak sam pisał, „przy błogosławieństwie księżyca“ z jakąś uwiedzioną przez niego 16-letnią wieśniaczką, w walce swojej z kościołem katolickim, nie przebierał w środkach.

Operował kłamstwem, fałszem, donosami i nawet posunął się był tak daleko, że w czasie kazania swojego, mianego na placu w mojej parafji, w miasteczku Rożyszczach, publicznie pokazał olbrzymią swoją laskę zakończoną pięścią i wskazał ją,

jako „jedyny środek dla pozbycia się polaków z Wołynia".

To samo powtórzył potem w Zdołbunowie i w innych miejscowościach.

W kazaniu mojem wygłoszonem na dziedzińcu kościelnym w Rożyszczach, Sokólu, Wiszenkach i Zdołbunowie, odpowiedziałem na jego kazania, zakończając polemikę, że „misjonarze, którzy, jako narzędzie swojej pracy z przeciwnikami wskazują słuchaczom laskę, nie mogą być posłańcami Chrystusowymi. Kościół katolicki, jako dzieło rąk Bożych, odpowiadajac tym bluźniercom, pokazuje krzyż, jako wyraz miłości i prawdy Bożej".

W Krzemieńcu ten sam Iliodor głosił 7 dni w cerkwi kazania, nawołując ludzi do trzeźwości i proponując wstąpienie do bractwa, zorganizowanego w Poczajowie, na wzór tego samego, które ja organizowałem w wielu parafjach.

Po 7 dniach skaptował tylko kilkunastu prawosławnych.

W tym samym czasie w Krzemieńcu, w kościele wygłosiłem 7 kazań, nawołując również do trzeźwości. W kościele, 4 kapłanów przyjęło do bractwa trzeźwości około 1700 osób, a wśród nich 300 kilkadziesiąt prawosławnych, których nie potrafił przekonać Iliodor. Naturalnie nie mogło się podobać to, ani archijerowi, ani też wzechpotężnym wówczas na Wołyniu mnichom z Poczajowa, którzy zohydzali stale kościół katolicki, Ojca św. i kapłanów, jak i wszystkich również Polaków w wydawnictwach swoich perjodycznych „Poczajewskija Izwiestja", „Poczajowskij Listok", pełnych ordynar-

nych wymyślań, paszkwili, kłamstw i płaskich dowcipów pod adresem nawet Sakramentów św.

Tysiące tych świstków i broszur drukowano w Poczajowie.

Specjalni płatni agitatorowie rozrzucali je w czasie odpustów, koło kościołów.

W miasteczku T. na odpuście św. Michała Archanioła, dokąd byłem zaproszony z kazaniem, rozdawano na ulicy pod kościołem, a nawet i na cmentarzu kościelnym broszury z paszkwilami na kościół katolicki i Ojca św., w których wyraźnie i jasno było napisane, że Ojciec św. to jest „atrodje djawoła".

Kiedy miałem już wychodzić na ambonę z kazaniem, podeszło do mnie kilku włościan katolików i mając pełne oczy łez pokazali mi broszurę, dodając: „Ojcze, proszę im tego nie darować".

Poszedłem na ambonę i w długiem kazaniu dałem odpowiedź na wszystkie zarzuty jakie były w tej broszurze. Nie krępowałem się w doborze słów, płacąc pięknem za nadobne.

Wyjaśniłem jasno i dobitnie tysiącom ludu zebranego, że kościół Boży może być tylko jeden, a tym kościołem jest kościół katolicki, że nie papiestwo jest dziełem djabła, jak twierdzą rozrzucone pod kościołem broszury, ale, broszury rozrzucone pod kościołem.

Uważałem sobie za obowiązek sumienia zareagować na te łotrostwa Ławry Poczajowskiej i jej sławetnych filarów, mnichów: Witalisa i Iliodora.

Wystąpienie moje w obronie sponiewieranego kościoła, lud przyjął z najwyższym entuzjazmem i wdzięcznością. Popi policja i paru urzędników

prawosławnych obecnych w kościele — wystąpili ze skargą do ministerstwa.

Ponieważ, jeszcze, w dodatku, miałem na sumieniu walki z mieszanemi małżeństwami i kilkanaście szkółek tajnych, o czem się rząd dowiedział, wyprowadziło to wszystko z cierpliwości pana ministra Stołypina, który postanowił usunąć mnie „z granic południowo-zachodniego kraju".

Byłem jednak wtedy gubernjalnym wyborcą do pierwszej Dumy.

„Polscy Posłowie": Grocholski, Poniatowski, Potocki interwenjowali w tej sprawie i po długich pertraktacjach zgodzono się na pozostawienie mnie na stanowisku, albo wikarjusza, lub też proboszcza w „najgorszej parafji w zapadłym kącie diecezji", gdziebym nie mógł mieć żadnego wpływu.

Biskup Niedziałkowski zaproponował, żebym został: albo vice-dziekanem katedry Żytomierskiej, (które to stanowisko uważane jest, jako stanowisko wikarjusza, bo proboszczem jest kapituła), albo też, żebym pojechał do Sokóla, gdzie kościół, probostwo i wszystkie budynki spłonęły.

Parafja bardzo malutka, w zapadłym kącie nad Słuczą. W promieniu kilkunastu wiorst, ani jednego inteligentnego człowieka, (miejscowy obywatel mieszkał w Łucku) i środków do budowy żadnych. Lud miejscowy katolicki, to czynszownicy w majątkach moskali. Zacne serce biskupa Niedziałkowskiego bolało nad tem, że trzech przedemną naznaczonych na tę parafję kapłanów młodych, nominacji przyjąć nie mogło. Z wielkim niepokojem, który się malował na jego pięknej twarzy, oczekiwał, co

ja wybiore. Odpowiedziałem, że wybieram to, co by chciał ksiądz biskup.

Pojechałem do Sokóla. Zastałem pogorzelisko na placu, drewnianą, starą ruderę-dzwonnicę, jedyny budynek, który się uratował od ognia i kapitału na budowę kościoła nowego 5 rubli i 9 gr., zebranych przezemnie w pierwszym dniu pobytu na parafji, na odpuście 15 sierpnia.

Sprawę budowy kościoła powierzyłem opiece Matki Boskiej, pod wezwaniem „Wspomożenie wiernych" i wziąłem się do roboty.

Napisałem listy do wszystkich kolegów z całej djecezji i rozesłałem kwitarjusze, z tak zwanemi „cegiełkami", po 20 kop. każda.

Listy do magnatów i obywatelstwa dały w rezultacie tak liczną sumę, że nie warto o niej wspominać. Jeden odpisał, że „budżet zamknięty", a jednocześnie kupił pod Paryżem willę za 300.000 rubli dla aktorki.

Drugi przysłał 100 rubli, a jednocześnie przegrał w karty 1000 razy tyle i t. d.

Ale koledzy gorliwie zajęli się tą sprawą. W 6 tygodni po rozesłaniu kwitarjuszy, miałem zebranych tyle pieniędzy, żem mógł zacząć budowe kościoła.

Plany pod budowę kościoła zastałem już potwierdzone przez rząd. Dla łatwiejszego uzyskania aprobaty, plany robił architekt rządowy, który nadał kościołowi styl, jakiś niby bizantyjski. Nie mogłem na taki plan zgodzić się.

Ponieważ to był kąt zapadły i wiedziałem dobrze, że na kontrolowanie budowy nikt nie przyje-

dzie, po porozumieniu się z zaproszonym przeze-mnie budowniczym. Tyleżyńskim z Łucka, przy pomocy pana architekta Schillera, bez wiedzy i zgody rządu, plan przerobiłem i zbudowałem kościołek w stylu romańskim. To, co koledzy zebrali nie wystarczyło jednak. Musiałem szukać innych źródeł dochodów. Wydałem książkę pod tytułem „Jednodniówka Łucka" (której rząd nie zdążył skonfiskować, bo w ciągu 4 godzin, przy pomocy podpłacanych urzędników pocztowych, 1000 egzemplarzy rozesłałem w rozmaite strony).

Postanowiłem też wykorzystać zaproszenie kolegów, żebym jeździł do nich z kazaniami missyjnemi. Wzamian za to całą kwestę otrzymam na budowę kościoła.

Głosiłem dziennie po kilka, a nawet kilkanaście przemówień, jak naprzykład w Płoskirowie i Kumanowcach na Podolu. W ciągu trzech tygodni wygłosiłem 74 przemówień. Na ostatniem omdlałem i to mi zaszkodziło na zdrowiu na całe życie.

Jak na te kazania reagował lud, niech będzie wskazówką mową którą, wręczając mi na piśmie, wygłosił na pożegnanie, na placu kościelnym, w Kumanowcach, jeden z moich słuchaczy, mazur-samouk.

Przytaczam ją bez zmiany i formy, i stylu.

„Wielebny Ojcze! Jak wielkiego zaszczytu dostąpiliśmy oglądać Cię w naszej parafji. Kaznodzieju Ty wielki! Poruszyłeś serca nasze, podniosłeś ducha do Boga, wyciskałeś łzy pokuty.

Wystąpiłeś w tej misji najwięcej, głosząc o trze-

źwości. Kazałeś nam porzucić złą wadę, pijaństwa i zborykałeś szatana.

To też na czele proboszcz nasz Wielebny przysiągł z większością liczebną naszej parafji obszernej, trzeźwość. Wpisali się więc do bractwa trzeźwości.

O, jakże się wielce radują Ci wstrzemięźliwi od nałogu pijaństwa, którym przysporzyłeś tak dużą liczbę braci.

Serce bije radością, gdyż wstąpił w nie Bóg, kalaliśmy Go grzechem pijaństwa, jak dalece byliśmy prawdy, jak ubodzy byliśmy duchem.

Dzień ów dzień ślubu, czyli przysięgi trzeźwości, jak jest nam ważnym, wstąpiło w nas słowo prawdy! O, zaiste, szczęśliwi odrodzeni na duchu, da Bóg wytrzymamy w naszych postanowieniach. Ty, Ojcze choć będziesz daleki od nas, a usłyszysz, żeśmy dotrzymali przysięgi, cóż będzie dla Ciebie milszego. Ty! dobry pasterzu!

Słów nam braknie dla wylania Ci swoich uczuć wdzięczności, pozostaniesz Ty w naszej parafji nie zapomniany, a nawet i pokolenia nasze będą Ci błogosławiły, one Cię jeszcze lepiej zrozumieją jakiś Ty dobry, żeś zaszczepił w praojcach wstrzemięźliwość nieużywania napoju wódki.

Z bólem serca Cię żegnamy, Ty, odważny, waleczny, nauczycielu wiary Chrystusa. Dnie całe słuchaliśmy Twoich nauk, a zdało się nam chwilką.

Żegnamy Cię ze łzami i mamy nadzieję, że rychło wzniesiesz świątynię Pańską w Sokólu na Wołyniu, do której to i my po cegiełce dołożyliśmy.

Bóg Cię prowadź dalej w pustynię serc ludzkich, tam Cię też przyjmą z otwartemi wrotami.

Cel Twój wielki.

Świątobliwy mężu! Poruszający twarde skamieniałe serca ludzkie niech Cię prowadzi Bóg, my Cię żegnamy, o wielki kaznodzieju!"

* * *

SYSTEM SZYKAN.

Rząd stale utrudniał wszelką pracę kapłana nietylko nad duszami ludu. Nawet przy budowie kościołów gdzie mógł i jak mógł szykanował i uniemożliwiał roboty.

Dla charakterystyki tych szykan i stosunków ohydnych przytocze tylko dwa fakty.

Po kasacie klasztoru w Dederkałach, nakazano ostatniemu zakonnikowi reformatowi, księdzu Bohuszowi oddać obraz cudowny P. Jezusa popom, a Najświętszy Sakrament przenieść do innego kościoła.

Ks. Bohusz, człowiek starszy, o tubalnym głosie prostaka, sprycie kwestarza, tak potrafił wartę okpić, że ani się spostrzegli, jak im z pod nosa zabrał obraz cudowny i w nocy tak daleko na rozstawionych koniach wywiózł, że ani żandarmerja, ani policja, ani nawet księża nie wiedzieli, że do rewolucji przechował się w zakrystji w Żytomierzu, w katedrze.

Na drugi dzień rano, kiedy wobec tłumów ludu, zmuszony był zabrać Najświętszy Sakrament, staruszek nie mógł zapanować nad swoimi nerwami i zanim zbliżył się do tabernaculum, ryknął na cały kościół.

Tak głośno i rzewnie płakał, że... generał-gubernator czuł się w obowiązku przysłać rozkaz do Biskupa „zrobić wymówkę księdzu Bohuszowi, że płakał i uprzedzić go by na przyszłość nie śmiał tego robić“.

Drugi taki charakterystyczny przykład.

Ks. Niewiarowski, młody, przystojny, i gorliwy proboszcz w Kijowszczyźnie zachęcał parafjan, żeby 30 wiorst poszli z procesją, z pielgrzymką na odpust.

Procesje po 1905 roku były dozwolone.

Na czele szedł ks. Niewiarowski bosy. Otóż to nie podobało się p. Generał-Gubernatorowi i temu zacnemu, złotego serca, kapłanowi, (który potem w czasie wojny światowej zesłany był do Uffy), każe p. Gubernator zrobić wymówkę, że „boso szedł 30 wiorst, że to była agitacja“.

Ale z takich szykan myśmy się śmieli.

Gorzej było, kiedy przeszkadzano budować kościoły, lub je restaurować.

Trzeba było używać rozmaitych sposobów, by dopiąć celu.

W 1908 roku posłał mnie biskup Kłopotowski do Mińkowiec na Podole, jak się wyraził „uratować walący się kościół“. Istotnie, cała frontowa ściana od góry do dołu pękła i groziła zawaleniem się.

Władze miejscowe wykorzystały były ten wypadek i kościół zamknęły.

Lud stale gromadził się w niedziele i święta koło kościoła, klęczał i modlił się, śpiewając pieśni pobożne.

Gubernator Podolski, Naryszkin, jadąc wypadkowo

koło kościoła, posłyszał śpiew, zobaczył lud płaczący i modlący się na ulicy, zatrzymał się i zbadawszy wszystko, własnoręcznie zerwał pieczęć z drzwi kościelnych. Zaraz też kazał przywieźć księdza z sąsiedniej Letniowieckiej parafji. (Był to jedyny uczciwy gubernator na Podolu. Kiedy go proszono na bal do Klubu, urządzonego w skasowanym kościele w Kamieńcu, odpisał, że mu sumienie nie pozwala tańczyć tam gdzie „bracia słowianie" modlili się. Naturalnie długo nie był na tem stanowisku.).

Otóż do tego kościółka, dzięki Opatrzności odzyskanego, posłał mnie biskup. Trzeba było natychmiast przystąpić do robót i dać całą nową ścianę. O uzyskanie pozwolenia gubernatora już innego i mowy być nie mogło. Policja pilnowała, żeby nic nie robić, żeby kościół zawalił się.

Po naradzie z majstrem-kacapem, starowierem, który nienawidził prawosławia i popów, zdecydowaliśmy natychmiast zacząć roboty.

Zaledwie zwieziono kilkanaście wozów kamienia i przystąpiono do ociosywania, przyszła policja z zapytaniem: co to ma być za robota?

Poczciwy kacapisko, ani się zająknął i mówi: „ksiądz przysposabia materjał na studnię". Uspokoiło to policjanta zupełnie.

Kiedy już wszystek materjał był gotów, jeden z moich parafjan sam u siebie ukradł konia i dobrze schował. Policję całą postawił na nogi. W ciągu 3 dni woził ich, szukając konia tam, gdzie go nie było.

Tymczasem mój „starowier", z prawdziwem zadowoleniem, wziąwszy do pomocy na dzień i na noc swoich współwyznawców, pracował bez wy-

tchnienia, „cztoby popu swinju podłożyt“, to znaczy psikusa zrobić.

Kiedy po 3 dniach poszukiwania konia, policja wróciła do miasta, ku wielkiemu zdziwieniu zastała już wszystko w porządku w kościele.

Odradziłem „robienia protokołu“ i wszczynania sprawy, bo powiedziałem, że przedewszystkiem oni, policjanci stracą posadę, że wczas nie spostrzegli się i pozwolili księdzu wywieźć się w pole.

W sąsiedztwie, w Żwanczyku, ksiądz, uzyskawszy pozwolenie na pomalowanie ścian kościołka drewnianego, stopniowo wszystkie ściany dał nowe.

Panowie gubernatorowie umieli robić szykany. Jeśli pozwalali na budowę świątyni katolickiej, to nie inaczej, jak za zgodą archijereja i pod warunkiem, że wieża kościelna nie będzie wyższą od miejscowej cerkwi. Bywały też wypadki, że pan gubernator bez ceremonji skreślał w planach czerwonym atramentem część, albo i całą wieżę. Tak było zrobiono, naprzykład, z kościołem w Braiłowie i w Krasnem.

X

Program pracy.

Pierwszych 17 lat pracy mojej kapłańskiej spędziłem na Rusi, na roli żyznej i urodzajnej, ale okrutnie zachwaszczonej.

Inteligencja nasza kresowa była w znacznej większości kompletnym analfabetą religijnym.

Na podstawie 17-letniej obserwacji stwierdzam, że tak, jak lud przy polskości utrzymywał katolicyzm, tak znowu inteligencję przy katolicyzmie utrzymywała polskość.

Praca kapłana na takiej roli była bardzo trudna. Ten grunt zachwaszczony wybujałym zielskiem przywar szlacheckich — pychy i zarozumiałości, nie poddawał się uprawie.

Ziemiaństwo, zwłaszcza arystokracja, robili zarzuty wiejskim proboszczom, że mało mają wykształcenia, iż są za mało obyci w towarzystwie. Ale jednostki tylko były śród nich samych, którzy mieli wykształcenie i starali się księdzu przyjść z pomocą, żeby mógł i książkę kupić, i gazetę wypisać, i zająć się szkołą, bibljoteką.

Jeżeli ksiądz był i do „wypitki i do wybitki", jeśli pobłażał ekscesom „dobrze urodzonych", to był mile widziany, ale jeśli tych „przymiotów" brakło mu o, to wtedy... i przyjaciół mu brakło, wśród inteligencji na prowincji, a jeśli i gdzie byli, to bardzo ich mało było.

Kazań słuchać nie chcieli.
Uwag nie przyjmowali.
Do kościoła „z tradycji" jechali.
Tak było w większości parafji!

Lud wiejski dobry, szczerze przywiązany był do kapłanów i kościoła.

Ale brak kapłanów i szkół z jednej strony, a lenistwo i pijaństwo z drugiej, szerzyły ciemnotę i nędzę.

Stał jednak o całe niebo wyżej od swoich sąsiadów-rusinów.

Po polsku mówił bardzo źle i wartości swojej moralnej i duchowej nie doceniał.

Tu bardzo obszerne pole było do pracy dla kapłana i, przyznać to muszę, bardzo wdzięczne.

Program działania miałem taki:

Najpierw uświadamianie, tak pod względem religijnym, jak też i narodowym, przy pomocy kazań, przemówień, przy każdej okoliczności. Więc nietylko w czasie mszy i nieszporów, ale przy ślubach, chrztach, pogrzebach, kolendach, odwiedzaniu chorych i t. p.

Nie zrażałem się nigdy małą ilością słuchaczów na kazaniu.

W Mińkowcach na Podolu, objąwszy parafję, w pierwszą niedzielę miałem pięć osób, w drugą koło

100, po dwóch miesiącach już na dziedzińcu stali, bo w kościele zmieścić się nie mogli, a po 7-miu miesiącach.·...rząd z parafji mnie wygnał.

Następnie starałem się przekonać moich parafjan o ich wyższej kulturalnej wartości od ich sąsiadów rusinów.

Potem organizowałem szkolnictwo tajne, co wcale nie było rzeczą łatwą, zwłaszcza, na wsi, gdzie każdy krok katolika znany był popowi, djakonowi, djakowi i ponomarowi, staroście (sołtysowi), urliadnikowi i sąsiadom prawosławnym.

Nawet po 1905-ym roku, dla braku lokali i odpowiednio wykwalifikowanych sił nauczycielskich, legalne otwieranie szkółek było połączone z nadzwyczajnemi trudnościami.

Trzeba więc było użyć innych sposobów.

O ile byłem czas dłuższy na parafji, to, poznawszy bliżej parafjan, z łatwością wyszukiwałem w każdej wsi kilka osób dobrej woli, z pośród szlachty zagonowej lub włościan i im pomagałem na miejscu tworzyć „komplety".

Czasem znowu do wsi zgłaszała się dla wyszukania mieszkania „szwaczka" lub „hafciarka". To znowu „sklepikarz" lub wędrowny „druciarz" i osiadał na zimę i uczył dzieci.

Tercjarze, członkowie żywego różańca, i wpisani do szkaplerza Niepokalanego Poczęcia (ci ostatni na mocy rozkazu biskupa Borowskiego), otrzymywali nakaz nauczania czytania i katechizmu dzieci po wsiach.

Jeżeli żaden z powyższych sposobów nie udawał

się, wtedy, na spowiedzi wielkanocnej, zobowiązywałem nauczyć jedno dziecko czytać.

Ten ostatni środek bardzo dobre rezultaty dawał, w parafji Murafowskiej policja orgje wyprawiała szukając..... elementarzy. Zabroniono sprzedawać je wędrownym handlarzom na odpustach, szukano na strychach z równą gorliwością, jak przeciwpaństwową agitacyjną bibułę.

Nic to nie pomagało. Każdy rok przynosił policji niespodzianki. Do szkółek rosyjskich przychodziły dzieci, umiejące czytać po polsku...

Uczyły się z..... kantyczek.

Żeby ułatwić zruszczenie, moskal gorliwie postarał się o elementarz polsko-rosyjski. Skutek był wręcz odwrotny. Dzieci, które zmuszono chodzić do cerkiewnych szkółek, **zanim zdążyły nauczyć się abecadła polskiego,** po kilku miesiącach umiały czytać po polsku (!), a po rosyjsku tylko abecadło.

Kiedy zdziwiona policja i żandarmerja szukała szkółek tajnych polskich i dręczyła dzieci pytaniem: „gdzie się nauczyły czytać po polsku"? te kochane dzieciaki z humorem odpowiadały: „w cerkiewnej szkółce, dokąd zmuszono nas chodzić".

Była to sensacja nielada! Z początku myślano, że to kpiny, ale potem dzieci wyjaśniły, iż w szkole nauczyły się abecadła rosyjskiego, kupiły sobie elementarz polsko-rosyjski, bo za taki nie prześladowano rodziców, i, nauczywszy się abecadła polskiego, wolały uczyć się czytać po polsku, niż po rosyjsku: „bo to swoje".

* * *

Zabraniałem udawania się do sądów rosyjskich. Miałem „własne“ sądy. Łatwiejsze sprawy rozstrzygałem sam, bezapelacyjnie. W trudniejszych brałem do pomocy starszych gospodarzy.

Bóg mi pozwolił doczekać się pod tym względem bardzo pomyślnych rezultatów. Raz nawet sędzia pokoju z Bereznego, na Wołyniu, specjalnie przyjeżdżał z podziękowaniem, że, w czasie mego pobytu w parafji sąsiedniej, ilość spraw sądowych zmniejszyła się o połowę.

* * *

Bractwo trzeźwości i Żywego różańca, może nawet z przesadną gorliwością, organizowałem, starając się o dobór członków nie ilościowy, ale jakościowy.

Największym bodźcem do pracy była następująca okoliczność.

Objeżdżając z kolendą parafję Smotrycką, na Podolu, zauważyłem, że kilka wiosek bardzo dużych, sąsiadujących z parafją Tynszeńską, wyglądało niezwykle bogato. Ani jednego domu biednego, ani jednego zaniedbanego gospodarstwa! W izbach dostatnio, czysto. Starsi i dzieci, wszyscy odświętnie ubrani.

Kiedy, po skończonej kolendzie, na zebraniu parafjalnem, wypowiedziałem moje zdziwienie, wstał stary, siwy gospodarz i powiada: „W naszej wiosce jest 200 gospodarstw.... Było też jeszcze kiedyś 10 domów żydowskich, w których były sklepiki i wy-

szynk wódki. Na całą wieś zaledwie kilku gospodarzy miało konie. Reszta była w nędzy.

„Proboszcz z Tynny, ks. Lesiecki, zaprowadził u nas przed 20 laty bractwo trzeźwości. Odtąd każde dziecko już przy pierwszej spowiedzi i komunji składa przyrzeczenie, że do śmierci pić nie będzie. Dziś, ani jednego gospodarza niema w całej wsi, któryby pił. A oto Ojciec widzi, że teraz każdy gospodarz ma konie, ma dostatek i....ani jednego żyda we wsi niema".

Było to w 3-im roku mego kapłaństwa. Ten żywy przykład, mądrze zorganizowanego bractwa trzeźwości, zachęcił mnie do tego, że w ciągu całego mego życia kapłańskiego, z fanatyczną gorliwością pracowałem nad szerzeniem tego bractwa w całej djecezji, a też i sam całe życie nie piłem nic.

Najlepszym agitatorem w każdej parafji, zawsze pomimo woli, był ten, kto wytrwał i... przykład proboszcza.

Mniej więcej po roku każdy sąsiad widział, jak trzeźwy wzbogacał się.

Skutki mojej pracy w tym kierunku Bóg mi pozwolił niejednokrotnie oglądać, tak samo, jak i skutki pracy w otwieraniu tajnych szkółek i bibljotek. Po roku, naprzykład, istnienia tajnej szkółki w Lewaczach, widziałem, jak małe dzieci uczyły ojców swoich czytania. A w kilka lat potem, jedna z uczenic tej szkółki była nauczycielką w tej samej wsi i przysłała mi list zbiorowy swoich uczni, aż do Jarosławla, nad Wołgą.

Bibljoteczki ludowe lotne robiły też swoją ro-

botę, nietylko uświadamiając narodowo, ale też i w kierunku religijnym.*)

* * *

PIELGRZYMKA DO CZĘSTOCHOWY.

Czasem trzeba było bodźca jakiegoś nadzwyczajnego, prócz codziennej, systematycznej pracy.

Lud szukał tego bodźca, już to na wielkich odpustach, misjach, a nawet przedstawieniach teatralnych, albo chociażby zwykłych zabawach dziecięcych, byle urządzonych wyłącznie w towarzystwie tylko polskiem.

W 1905 roku, na zebraniu parafjalnem w jednej wiosce żalili się mi starsi, że nas mało na Wołyniu. Rusini grożą, że nas czapkami zarzucają. Żadne słowa i opowiadania, ani też książki, nie pomagały. Ciągle stary powtarzał: „Nas mało, my tu zginiemy".

Postanowiłem urządzić wielką pielgrzymkę do Częstochowy. Pokazać ludowi Polskę, pokazać Stolicę, serce Polski — Jasną Górę, pokazać lud polski z różnych dzielnic kraju!

Zebrało się 916 pielgrzymów i w towarzystwie kilku kapłanów osobnym pociągiem z Równego, wyjechaliśmy do Częstochowy.

---

*) W parafji Rożyńskiej miałem bardzo dzielnego chłopaka, który zakochał się w prawosławnej i chciał się z nią ożenić. Żadne moje perswazje nie pomagały. Chłopak lubił czytać. Dałem mu do przeczytania Trylogję Sienkiewicza. Po miesiącu odniósł książkę i powiada: „Nie, ja z moskiewką nie ożenię się"!

Była to pierwsza pielgrzymka z Wołynia po rozbiorach. W Częstochowie zastaliśmy paręset tysięcy ludu z rozmaitych stron.

Byli z pod Krakowa, i ze Śląska i z Korony.

Rychło się rozeszła wiadomość, że przyszła pielgrzymka z Wołynia.

Kiedy, po trzydniowym pobycie, wracaliśmy do domu i koło statui św. Prokopa, ojciec Paulin nas żegnał piękną mową, zmuszony byłem, wbrew przyjętemu zwyczajowi, również przemówić do tych dziesiątków tysięcy ludzi, którzy odprowadzali moją kompanję.

Opowiadałem im o mękach ludu na Kresach, pokazywałem te matki, które z narażeniem życia własnego, broniły swoje dzieci od zruszczenia. — „Wy się nie dziwcie, mówiłem, że ten lud biedny Wołyński źle mówi po polsku. Moskal nie pozwala otwierać szkół polskich! Ale oni wszyscy całą duszą i sercem kochają Polskę i was braci swoich".

Tu się zwróciłem do parafjan swoich: „Powiedzcie na pożegnanie braciom tu swoim, którzy zostają, czy ja prawde mówię, czy wy ich, istotnie, kochacie całem sercem"? — W jeden głos wszyscy, łkając zawołali, jakby żołnierze na komendę: „Całem sercem kochamy, kochamy!

Krakusi, górale, łowiczanie, ślązacy i koroniarze wszystko to zaczęło rzucać się na szyję moim chłopkom i ze łzami, całując, wołali: „Trzymajcie się, nie dajcie się, my z wami!".

* * *

WYDAWNICTWA NIELEGALNE.

Dużo też pomagała „Lektóra zakazana". — Dostarczano mi jej stale podostatkiem z za kordonu. A i sam też pracowałem nad wydawnictwami agitacyjnemi.

Pierwszą była broszura: „O mieszanych małżeństwach". Wydałem ją we Lwowie, dostarczenie jednak przez kordon do klasztoru w Zasławiu, na Wołyniu, było połączone z wielu trudnościami.

Listy otrzymywane przezemnie ze Lwowa stale przychodziły rozpieczętowane i widocznem mi było, że ktoś musiał mnie zdradzić. Pewnego dnia, kiedy wracałem do klasztoru z parafji Nieświckiej, gdzie czasowo zastępowałem proboszcza, w Łucku, na dworcu, kapitan żandermerji zaczął mnie bacznie śledzić, usiadł razem zemną do przedziału w wagonie i cały czas w drodze bawił rozmową, opowiadając, ze wszystkimi szczegółami, w jaki to sposób on zwalczał szerzenie literatury nielegalnej. Jak „bił studentów", jak pewną pannę, córkę generała z pod Dubna, za literaturę nielegalną tylko w sukience balowej w zimie kazał prowadzić 35 wiorst piechotą do powiatowego więzienia!

Pan kapitan w Równem na stacji otrzymał jakąś ważną depeszę i sam wyszedł. Żegnając się zemną, powiedział: „Postaram się, żeby księdzu w drodze nie było smutno i nie brakowało towarzystwa". Istotnie w dalszej drodze na każdej stacji wchodził do wagonu żandarmski podoficer i cały czas stał w moim cupe, dopokąd pociąg nie ruszył.

Zdecydowałem się, niedojeżdżając do mojej stacji, w drodze, w olbrzymich lasach Sanguszkow-

skich, między stacją Sławutą a Szepetówką, wyskoczyć z pociągu i dojść piechotą do Zasławia.

I dobrze się stało, że tak zrobiłem, bo, jak potem dowiedziałem się, na dworcu w Szepetówce czekał mnie goniec, przysłany ze Lwowa z moimi broszurkami, o czem musieli zapewne wiedzieć żandarmi i chcieli nas złapać na gorącym uczynku.

— Po manifeście tolerancyjnym, ksiądz kanonik Stankowski sprowadził do Łucka misjonarzy, księży redemptorystów.

Misje trwały 8 dni.

Przychodziły pielgrzymki ze wszystkich stron. I ja przyprowadziłem na te misje prawie 5.000 ludu. Kościół nie mógł wszystkich pomieścić. Urządzono na placu prowizoryczną ambonę i tam głoszono kilka razy dziennie kazania. Prezes Sądu Okręgowego w Łucku, rosjanin, uczeń Murawjowa „wieszatiela", starzec nad grobem stojący, oburzył się, że katolicy mogli odetchnąć trochę świeżem powietrzem i napisał paszkwil na księży i misjonarzy, pod tytułem: „Natisk polakow na Wołyń". Tyle tam było fałszu, tyle jadu, nienawiści, a jednocześnie typowo nielogicznej argumentacji, że postanowiłem ośmieszyć autora i odpowiedzieć jemu, według mądrej maksymy: „Odpowiedź głupiemu, według głupstwa jego".

O umieszczeniu odpowiedzi w pismach nie mogło być mowy. Po naradzie z kanonikiem Stankowskim przekupiliśmy miejscowego żydka który miał drukarnię i odpowiedź moją w tysiącach egzemplarzy, została rozesłana do sądowników, popów i urzędników.

Z konieczności odpowiedź była podpisana pseudonimem. Kto tu zdradził, tego nie wiem. Ale policja rychło dowiedziała się o miejscu pobytu autora.

To samo miałem potem z inną broszurką moją, którą wydałem w Krakowie, przy pomocy ojca Urbana, na skutek prośby, księdza kanonika Szumana. Tytuł tej broszury: „Odpowiedź popowi Bohdanowiczowi, okręgowemu misjonarzowi na jego broszurę: „Rozmowa o wierze katolickiej i prawosławnej z katolikiem".

Miałem też dużo do roboty i z prawosławnymi, którzy jeszcze przed manifestem tolerancyjnym, chcieli przejść na łono kościoła katolickiego, brać śluby w kościele i chrzcić dzieci.

Zaspakajałem wszystkie te potrzeby religijne zwykle w nocy i ani jednego wypadku nie było, żeby który z nich potem, prześladowany przez rząd, zdradził mnie.

Dokumenta chrztu wydawałem na blankietach, otrzymywanych ze Lwowa.

Każdy ojciec, zapytywany później, gdzie chrzcił dzieci, pokazywał metrykę, że za granicą.

Pop jednak miejscowy w Smotryczu wiedział bardzo dobrze, że wszystko to ja załatwiałem.

Mało by go to obchodziło, coprawda, gdyby nie ta okoliczność, że od przybycia mego do Smotrycza, w cerkwi były pustki, a parafjanie jego chodzili do kościoła na nabożeństwo.

Pop, dobrawszy sobie do towarzystwa pisarza gminnego i kilku opijusów, złożył skargę na mnie do sądu, zarzucając mi „krajnie wraždiebnyja diej-

stwija we wred prawosławia i ruskoj narodnosti"
Przedstawił 96 faktów.

Przyjechał sędzia śledczy na badanie, pan Petelas z Kamieńca.

Pan Petelas wcale nie dwuznacznie dawał mi do zrozumienia, że jedzie na jarmark do Jarmoliniec, że bardzo mu są potrzebne pieniądze, i ciągle prosił, żebym zobaczył, czy wszystkie papiery, dotyczące mojej sprawy, są w porządku, czy nikt ich nie zabrał z trzeciego pokoju, gdzie je zostawił, i zaraz podkreślił „nikogo tam obecnie niema".

Udawałem, że nie rozumiem o co chodzi.

Pan Petelas, po nieudanym jarmarku w Jarmolińcach, wrócił zły do Kamieńca.

Sprawę odesłał do prokuratora.

Rząd kazał mnie usunąć z parafji i zamknąć w klasztorze.

Sprawa ciągnęła się kilka lat. Zostałem skazany na pół roku więzienia.

Przytoczę tu tylko jeden z tych licznych zarzutów, które mi czyniono, a który był godzien autorów prawosławnych.

Oto nie mniej nie więcej tylko Pan Prezes Sądu, na podstawie zeznań świadka katolika, wymuszonych przez popa przed ślubem, który on brał w cerkwi prawosławnej, zapytał mnie: „Czy to prawda, że ja na spowiedzi (!) świadkowi mówiłem to i owo o prawosławju i moskalach!?.."

* * *

W takich to warunkach upływała praca kapłańska wśród ludu na Kresach

W takich warunkach wychowywał się lud polski i katolicki.

O ludzie rosyjskim i rusińskim nikt nie myślał. Ani życie polityczne, ani ekonomiczne, ani religijne tego ludu, nikogo nie obchodziło.

Nikt się nim nie zajmował.

Wyzyskiwany przez możnych, oszukiwany przez rząd i żydów, stale podburzany przez urzędników przeciwko dworom, lud znosił cierpliwie głód i nędzę.

Kiedyś widziałem piękną rzeźbę. Przedstawiony był wielki tur germański, którego na sznureczku prowadziło małe dziecko.

Jakież to podobne do historji Rosji, do stosunku inteligencji do ludu.

Lud prowadzony przez małe dziecię — inteligencję rosyjską! Ten tur, uświadomiony przez żydów, raptem zrozumiał swoją brutalną siłę. Zerwał „sznureczek“ i „dziecię“ zgniótł.

Kto temu winien?

Historja wykaże.

Ja myślę, że winno temu w pierwszej mierze prawosławie, które, jak mówi Kalinka, streszczało się tylko w „dzwonach i pokłonach“, — zdeprawowało swój lud, a od niego zaraza częściowo dotknęła tam i lud polski.

XI.

Upokorzenia.

W ciągu całego mego życia kapłańskiego nawet, kiedy poraz pierwszy 5 lat siedziałem zamknięty w klasztorze i odbywałem tam karę więzienną nigdy, dłużej nad 7 dni, nie byłem bez pracy.

Przyznać to muszę, że żadne prześladowanie ze strony rządu, żadne cierpienia moralne, nie działały na mnie tak przygnębiająco i nie wyprowadzały z równowagi, jak bezczynność.

W dwóch wypadkach kiedy mi odjęto wszelką możność pracy kapłańskiej i obywatelskiej, w beznadziejnej walce z bezczynnością, wyzyskawszy wszystkie dostępne mi sposoby i środki, które nie doprowadziły do właściwego celu, przyznaję to dziś ze wstydem, „upokorzyłem się“ przed władzami świeckiemi zaborczego rządu.

Byłem wtedy w klasztorze w Zasławiu, gdzie mnie rząd trzymał w zamknięciu, pod bardzo ścisłym dozorem. Chciałem zostać zakonnikiem w tym samym klasztorze. Generał - Gubernator odmówił swej zgody.

Prosiłem o paszport zagraniczny, chcąc wstąpić do klasztoru w Małopolsce.

Odmówiono.

Prosiłem o pozwolenie wyjechania zupełnie na zawsze z Rosji.

Odmówiono.

Wtedy to, za zgodą biskupa Niedziałkowskiego, pojechałem do Kijowa, do Klejgelsa, ówczesnego generał - gubernatora.

Żeby prośba moja nie miała charakteru szablonowego podania, postanowiłem użyć fortelu i zmusić Klejgelsa, który lubił oryginałów, zainteresować się moją sprawą.

Na audjencji wywiązała się między nami taka rozmowa: JA. — Przyjechałem do Pana prosić o danie mi posady policjanta w Kijowie.

ON. — Zrobił duże oczy i zdziwiony pyta: Jak to tak w sukni, będziesz Pan policjantem?

JA. — Naturalnie, że sukni nie zdejmę. Przypaszę sobie rewolwer, przyszyję policyjne epolety do sukni, stanę na Kreszczatyku i będę krzyczał: „Osadi nazad".

ON — Niech mi ksiądz wytłómaczy o co chodzi bo ja nic nie rozumiem.

JA — Pan nie rozumie, a ja nie rozumiem was. Męczycie mnie już tyle czasu. Parafji dać nie pozwalacie. Wyjechać zagranicę nie pozwalacie, zakonnikiem w tym samym klasztorze, w którym mnie trzymacie nie pozwalacie a każecie mi siedzieć bezczynnie wśród warjatów i starców zdziecinniałych!

ON. — Bo ksiądz jest niemożliwy, wszędzie nawet w klasztorze, prowadzi polską agitację.

JA. — A czy pan, jako człowiek uczciwy i patrjota, będąc na mojem miejscu, inaczejby postępował?

ON. — (Pomyślawszy chwilę) mówi: No, dobrze. Skończmy kompromisowo. Niech mi ksiądz da słowo, że przynajmniej nie będzie zaczepiał popów bo ci mi spokoju nie dają.

JA. — Daję Panu słowo, że jeżeli popi nie będą zaczepiać moich parafjan ja za nimi tęsknić nie będę".

Uśmiechnął się Klejgels, bierze za rękę, prowadzi za szafę i pokazuje schowaną (!) tam fotografję jego jako policmajstra Warszawskiego, razem z ks. Chełmickim i mówi: „Widzi(?) ksiądz z tej fotografji, że nie jestem wrogiem księży!"

Rozmowa się skończyła.

Zanim pojechałem do Żytomierza, biskup miał już telegram od Klejgelsa, że zgadza się na danie mi parafji „raz na zawsze", z adnotacją, że nawet prywatnego stanowiska świeckiego w granicach południowo-zachodniego kraju zajmować nie mam prawa.

Sytuacja była beznadziejną.

Generał-gubernator i słyszeć nie chciał o udzieleniu mi audjencji.

Po naradzie z administratorem djecezji ks. prałatem Bajewskim, i uzyskawszy jego pozwolenie zdecydowałem się pojechać do Petersburga, do dyrektora departamentu, Mienkina.

* * *

Nie miałem wyjścia żadnego.

Albo zmarnować, siedząc zupełnie bezczynnie całe życie w klasztorze wśród warjatów i zniedo-

łężniałych starców, albo próbować ponownie, jakimś sposobem, uzyskać zgodę władz świeckich na otrzymanie parafji.

Dostać się do Mienkina było niezmiernie trudno. 3 dni chodziłem, robiąc starania bez żadnych rezultatów.

Trzeba było użyć niezawodnego w Rosji środka — łapówki.

Ale komu i ile dać?

Zacząłem od odźwiernego. Dostał rubelka i wskazał mi tego który bierze 3 rubelki i ma mi powiedzieć: w czyich rękach są moje losy.

Wynędzniały, oberwany urzędniczyna wskazał drugiego, który za 25 rubli zaprowadził mnie do referenta spraw djecezji Łucko-Żytomierskiej. Ten ostatni urzędowo zakomunikował że sprawa moja rozstrzygnięta już bezapelacyjnie, ostatecznie i Mienkin zapewne przyjąć mnie nie zechce.

Referent odszedł. Podchodzi woźny, który słyszał całą naszą rozmowę i mówi: „Niech ksiądz siądzie oto tu. Mienkin, idąc do gabinetu zobaczy księdza i sam zapyta w jakim interesie ksiądz przyszedł".

Rada okazała się bardzo trafna rozumna i kosztowała tylko 50 kop.

Wkrótce nadszedł Mienkin zapytał; kto jestem i w jakim interesie przyszedłem. Posłyszawszy moje nazwisko, wycedził przez zaciśnięte zęby ze złością: „Aha, to to pan"!

Zawołał tego samego referenta który ze mną rozmawiał i kazał mu przynieść wszystkie papiery, dotyczące mojej osoby: „Dieło" księdza Tokarzewskiego.

Kiedy wnieśli olbrzymią plikę papierów gru-

bości chyba z pół łokcia, Mienkin zjadliwie wskazując na nią, mówi: „Oto ile ma pan grzechów"!

Nie przypuszczałem nigdy, że tak dużo ponapisywano na mnie donosów!

Zrezygnowany odpowiadam: „Grzechów, jak grzechów, ale chyba będzie właściwiej nazwać kłamstw łapowników policyjnych".

„To pan niewiniątko"! odparł Mienkin.

Odpowiadam: „Ręczę, że 90% tego, co tu napisano, są to donosy fałszywe policyjnych urzędników, którzy w ten sposób chcieli się pożywić łapówkami".

Mienkin właśnie czytał jeden z tych tajnych (?) donosów, który był mi znany. Sprawdzał go na miejscu ten sam policjant, który był napisał donos, a po targach długich, zgodził się na 10 rubli, żeby dać odpowiedź pomyślną.

Opowiadam całą sprawę Mienkinowi, mówię jaka jest treść donosu, chociaż był ściśle tajny, i zakańczam rozmowę: „niech pan łaskawie zwróci uwagę, że ten sam policjant, który donos napisał, sam też i sprawdzał wiarogodność swego własnego donosu. Taka to polityka rządu w stosunku do polaków na Kresach! Potem wymagacie panowie od nas lojalności! W jaki sposób ten policjant mógł zaprzeczyć własnemu swemu donosowi, chociaż za to, żeby prawdę napisał, otrzymał odemnie 10 rubli"?

Mienkin wściekł się. Walił pięściami w stół, krzyczał, ale w końcu zapytał: „Czego pan wreszcie chce".

Odpowiedziałem: „Możności pracy".

„W Sybiri! w Jugozapadnom kraje nikogda!"

„Dobrze", odpowiedziałem, „zgadzam się pracować na Syberji byle zaraz i dla swoich".

Po tej rozmowie poraz drugi udałem się do ks. Arcybiskupa Cieplaka. Przyjął mnie, tak serdecznie tyle dał dowodów serca anielskiego, tak mnie upewniał, że Bóg dobry wszystko na dobre zmieni, a on Biskup ze swej strony wszystko zrobi, bym otrzymał pracę w djecezji, że pełen otuchy wyjechałem z Petersburga.

* * *

Po paru tygodniach Minister Spraw Wewnętrznych, w liście swoim do księdza Arcybiskupa Mohylowskiego, pod datą 27 czerwca 1913 roku Nr. 6394, tak pisał:

„Nie znajduję żadnych przeszkód na danie parafji kapłanowi Łucko-Żytomierskiej djecezji, księdzu Marjanowi Tokarzewskiemu w archidjecezji Mohylowskiej, jednak z wykluczeniem Petersburga, gubernji Petersburgskiej i zachodnich".

W kilka dni potem wyjechałem do Jarosławla nad Wołgą.

Koniec Części I-ej.

CZĘŚĆ DRUGA.

JAROSŁAWL.

I.

W lipcu, 1913 roku, przyjechałem do Jarosławla. Ładne, schludne miasto, z 160 tysięczną ludnością.

Miejsce to pobytu na wygnaniu biskupów: Felińskiego, Popiela, Hryniewieckiego i Szeptyckiego.

Katolików w całej gubernji było około 700 osób!

Zastałem parafię pod względem religijnym i narodowym w dobrym stanie.

Niektórzy moi parafianie już w drugiem pokoleniu byli stałymi mieszkańcami Rosji. Tu się urodzili i w rosyjskich szkołach wychowali.

Ta polska kropla, w morzu rosyjskiem, nie zatraciła jednak swego polskiego charakteru i wyższości kultury. Cenieni byli i przez władze cywilne, i wojskowe, jako ludzie pracy, wybitnej uczciwości i jako doskonali organizatorowie. Instynktownie w polakach odczuwali wyższość kultury.

Kościół był dla polskiej kolonji wszystkiem. Zgromadzał wierzacych i niewierzących. Każdy polak uważał za swój święty obowiązek bywać w kościele i w ten sposób wszyscy, łącząc się, tworzyli jedną rodzinę. broniąc się od zruszczenia.

Ale czas robi swoje spustoszenia! Niejedno trzeba było poprawić, lub nadać mu właściwy kierunek.

Prawdziwą plagą, dla uczciwych księży w Rosji, byli nieponie syndycy kościelni i... odwrotnie.*)

Z moimi poprzednikami były awantury stałe.

Dochodziło do tego, że jednemu z nich, zacnemu ks. Łoposzce, burdę zrobiono za to, że szybę wstawił w oknie bez wiedzy syndyka.

Coś podobnego i mnie spotkało, w pierwszych dniach pobytu w Jarosławlu.

Mój poprzednik ks. B., brudny niechlujny litwin, ale hardy, nie chciał prosić syndyka o pozwolenie oczyszczenia ustępów. Kiedy objąłem parafję, to w parę godzin dostałem wymiotów i szalonego bólu głowy. Takie były zapachy, nietylko w dziedzińcu, ale nawet w kościele!

Nikogo nie pytając o pozwolenie, zażądałem „obozu z więzienia".

Nazajutrz senjor kolonji, p. Z. pyta mnie: „A dlaczego ksiądz powywoził „nieczystoty" bez naszej wiedzy?"

Odpowiedziałem: „Bo śmierdziało. Na drugi raz

---

*) Syndycy, przy kościołach w Rosji, to coś w rodzaju dozoru kościelnego w Polsce. Pożytek z nich był bardzo mały, albo i żaden. Nietylko „interesowały" ich sprawy materjalne, związane z administrowaniem majątku kościelnego, o ile był, ale nieraz czuli się w obowiązku robić uwagi księdzu, jakie kazania ma mówić i dlaczego tę, a nie inną ewangelję przetał, dlaczego mniej lub więcej świec kazał zapalić na ołtarzu i t. p.

każę dla kontroli pod okna pańskie z każdej beczki wylać jedno wiadro".

Drugi parafjanin zapowiedział, że nie mam prawa nic robić bez ich wiedzy i podkreślił. że klucze od kasy muszą być tylko u syndyków.

Zwołałem ogólne zebranie parafjan i, po bardzo burzliwej dyskusji, zakończyłem: „Ja tu jestem przysłany, żeby was nauczać, a wy chcecie mnie pilnować! Wem, że mnie tu nikt nie zna, ale zaufanie musicie mieć, bo biskup mnie tu przysłał. Jeżeli zaufanie biskupa zdradzę i okaże się, że nie umiem szanować kasy kościelnej, to wtedy nie syndycy powinni na to reagować, ale prokurator. Mój pogląd taki ja tu w kościele — gospodarz! Wy powinniście słuchać, pomagać i radzić, jeżeli zapytam.

„Ja mam was uczyć uczciwości, ale nie wy mnie. Jeżeli zgadzacie się na mój pogląd, to dobrze, a nie to ja wracam, skąd przyjechałem".

Wyraźne postawienie kwestji ujęło wszystkich. Odtąd byliśmy, w ciągu prawie 5 lat, w najlepszej zgodzie i ani jednego nie było nieporozumienia z syndykami.

* * *

W mieście praca szła dobrze, ale co można było zrobić z tymi, którzy mieszkali daleko od kościoła, przyjeżdżali raz tylko do roku, do spowiedzi wielkanocnej, albo i zupełnie nie przyjeżdżali. Ci, niestety. całkowicie już stracili byli charakter polski. Łatwo łączyli się z prawosławnymi i bezwarunkowo w trzeciem lub czwartem pokoleniu będą straceni i dla kościoła, i dla Polski.

Co można wymagać od rolnika, który mieszka

o 300 wiorst od kościoła, kupił ziemi kawałek wśród moskali, czytać po polsku nie umie, raz do roku posyła dzieci do kościoła, a czasem i raz na kilka lat!

Bardzo dzielny element dawały miasta, ale mieszkańcy wsi, bez wyjątku, skazani wszyscy na zagładę polskości i wiary ojców.

Powtórzę to, com pisał wtedy w korespondencji do „Ludu Bożego".

„Kiedy te słowa piszę (24 marca), u was już dawno wiosna. Roboty w ogrodach i w polu zaczęły się, a rolnik nie jedno ziarnko zasiał.

„Wracam właśnie i ja od rolników, ludzi ubogich, wychodźców z Mińszczyzny, których zła dola, a bardziej jeszcze nierozwaga zagnały hen, daleko, pod samą granicę Wołogodzkiej gubernji.

„O robocie w polu, ani myślą, bo tu jeszcze grube warstwy śniegu leżą, ziemia zmarznięta.

„Mówią mi że w tym roku będzie wczesna wiosna, to znaczy, że zaczną orać i kopać w maju.

„Niegdyś były tu olbrzymie lasy dziewicze, ale, z chwilą przeprowadzenia kolei i połączenia Jarosławla i Wołogdy z Moskwy i Petersburgiem, zaczęła się rabunkowa gospodarka. Co lepszego sprzedano „Kułakam" (kupcom - lichwiarzom, wyzyskiwaczom ciemnoty ludu), i zostały gdzieniegdzie tylko ładne lasy. Rośnie brzoza, osika, sosna, jodła. Bardzo rzadko dąb. Klonów nie widziałem.

„Ze zwierzyny są lisy i zające. Czasem niedźwiedzia się spotyka, wilków nie ma. Gospodarz domu, w którym piszę te słowa mówi: „Niema wilków i złodziei, bo ani jeden, ani drugi nie ma tu co brać".

„I, istotnie, tak jest.

„Wśród błot na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst, mieszka kilkunastu gospodarzy polaków, szlachty herbowej wychodźców, jak już wyżej nadmieniłem, z Mińszczyzny.

„Herbowa to szlachta w „łapciach", — czytać nie umie!

„Przywieźli jednak z sobą dokumenta, że „dworzanie" i bardzo te dokumenty szanują.

„Zimą łączą się między sobą, odwiedzają jedni drugich. W lecie, jak ziemia rozmarznie, już wszelki stosunek ze światem zerwany, bo błota prawie nie do przebycia.

„Miejscowy lud prawosławny nie może jeszcze oswoić się z nimi. Jedni szanują ich za cichość, trzeźwość i umiejętność pracy na roli, inni znowu wyśmiewają, szydzą, nazywają „poganami", bo rzadko widzą ich kapłana sądzą że są to „nichrysty". Są siedzi ich, rosjanie, mężczyźni tylko są gośćmi w domu. Prawie wszyscy idą do Moskwy i Petersburga na froterów, dorożkarzy i „prikaszczyków" do magazynu. W domach zostają tylko kobiety, które fatalnie gospodarują na roli.

„Ziemi nie lubią i chętnie ją sprzedają.

„Stąd też daje się odczuwać ogromny brak rąk roboczych na wsi.

„Nasi katolicy dobrze gospodarują. Trzymają się ziemi i siedzą w tych błotach, siejąc żyto, pszenicę, kartofle. Mówią, że ziarno mają „dziesiąte". Ale to dlatego, że na nowinie.

„Przyjechawszy do nich, zatrzymałem się w chacie „najbogatszej, najwygodniej" urządzonej, u szlachcica p. Rzewuskiego, który ma swoje dokumenta i dowody, że jest szlachcicem Polskim, ale

mimo to już z niego moskale zrobili w dokumentach rosyjskich „Reuskij".

„Dom pana Rzewuskiego składa się z jednego pokoju i kuchni. Zbudowany z brusów drewnianych, osikowych na mchu. Tynku niema, ani wewnątrz, ani zewnątrz. Wchodowe drzwi, wysokości 2 metrów i okna po jednej czwartej metra wysokie, z wybitemi szybami, oklejone papierem. Okna pojedyńcze, podłoga bez podkładu.

„W pokoju tym urządziliśmy kaplicę, na czas mego pobytu i... tam spaliśmy wszyscy.

„Chociaż wentylatorów nie było i okna nie odmykały się, jednak powietrze dobre było bo... z pod każdego brusa wiało, z pod podłogi i z okien też.

„Gospodarstwo pana Rzewuskiego składało się z jednego konia krowy i 3 gęsi.

„Tak, u bogatego! Cóż więc musi być u biednych?

„Taki to stan materjalny **dla którego jedynie** przybyli tu! Ale, popatrzmy, jaki tu stan duchowy.

„Dzieci mówią tylko po rosyjsku. Pieśni polskie pobożne śpiewały 4 osoby, bo reszta (50) już zapomniała to wszystko.

„Do kościoła końmi paręset wiorst, a kolej za droga, więc **nigdy** w kościele nie bywają.

„Żadnej tęsknoty za krajem ojczystym, za braćmi, za kościołem i grobami ojców swoich już nie mają.

„Zatracili wszystko! Jeszcze tylko starzy trzymają młodych przy wierz Ojców, ale skoro ci, którzy pamietają kraj, umrą, młodzież zginie.

„Strój nosza miejscowy: „rubacha i boroda klinom rozczosana".



Kościół w Jarosławlu nad Wołgą.

„O ile mogłem zauważyć to tu, nad Wołgą, wychodźcy z kraju osiadają rodzinami. Więc przyjeżdża ojciec i 2, 3 synów żonatych.

„Kupują grunta bezpośrednio lub przez bank. A kiedy dzieci dorosną, to jako krewni w drugim stopniu, nie chcą się żenić jedni z drugimi, ponieważ zaś innych rodaków w pobliżu niema, żenią sę z obcymi, zaprzepaszczają swoją wiarę i narodowość".

Tak było na prowincji.

* * *

W miastach inteligencja i robotnicy bardzo chętnie garnęli się do kapłana. Każda inicjatywa w kierunku narodowym, lub religijnym znajdowała czynnych zwolenników i najdalej idące poparcie.

Najmilsze wspomnienia mam z czasów pobytu w Jarosławlu.

Tylko dwie rodziny, a raczej dwóch osobników, udających ateuszów, stroniło od kościoła.

Reszta stanęła razem do pracy, niosąc w ofierze nieraz bardzo znaczne, i ponad siły swoje, datki na cele narodowe i religijne.

Polacy zajmowali wysokie stanowiska urzędników państwowych. Byli bardzo cenieni i szanowani za swoją pracowitość i uczciwość.

Pamięć świątobliwych biskupów-wygnańców zachowała się wśród polaków, jak również i moskali, którzy nawet przechodząc koło domu, gdzie mieszkał był biskup Fliński, zdejmowali ze czcią czapki, bo mówili: „Tu mieszkał święty biskup polski".

Wkrótce po przybyciu do Jarosławla otrzymałem polecenie objęcia dodatkowo „czasowo", pod swoją opiekę, parafję Kostromską, a potem jesz-

cze Wołogodzką. Miałem więc przez pewien czas 3 gubernje. Wszędzie stwierdziłem zawsze jedno: stan parafji pod względem religijnym i narodowym był taki, jakim był kapłan w danej parafji.

Jeżeli Jarosławl wyjątkowo dobrze był urządzony, to dzięki temu, jak powiedziałem, że był tam biskup Feliński, który nietylko kościół stworzył z niczego, ale, co ważniejsze, utrwalił ducha katolickiego i polskiego w 3 pokoleniach.

Miałem tego dowody nieraz w ciągu kilkoletniego pobytu mego nad Wołgą.

? II

Duch rosyjski.

Jakże wyglądało to rosyjskie środowisko, w którem mieszkali, zagnani po chleb, lub ruble, moi parafjanie?

Przytoczę kilka faktów, a Ty, łaskawy czytelniku, sam sobie wnioski wyprowadź.

Na drugi dzień po przybyciu do Jarosławla, wziąłem dorożkę i pojechałem oglądać miasto. Proszę dorożkarza, żeby mi pokazał wszystko, co jest godne uwagi cudzoziemca.

Jedziemy i gawędzimy.

„Oto, masz, mówi mój cicerone, sobór, zbudowany, w 16 stuleciu, przez włoskich budowniczych i malarzy; oto liceum Demidowa, oto pomnik, postawiony jemu przez wdzięcznych ludzi, a oto, patrz prędko, na chodniku, po prawej stronie, widzisz tę panią wysoką, w czarnym kapeluszu“?

„Widzę“.

„To poszła uczciwa kobieta“.

I jakby to było zupełnie naturalne, dalej tym samym tonem mówi: „A oto teatr, imienia Wołkowa i t. d.

Kiedy opowiadałem o tem, jak sądziłem, dowcipie dorożkarza, memu parafjaninowi, nauczycielowi gimnazjum, który 35 lat mieszkał w Jarosławlu p. Z., odrazu mi powiedział, kto to szedł, bo każdy dorożkarz, wie, że to jedyna kobieta uczciwa w mieście z pośród inteligencji miejscowej rosyjskiej.

Taką jest powszechna rozpusta, według jego zdania w środowisku rosyjskiem i takie trójkąty małżeńskie, że, jeśli która kobieta niema kochanka, to o tem wie i mówi całe miasto.

Tak się przedstawiała moralność moskali.

A **wiara?**

Prześliczne, stylowe cerkwie, ze wspaniałemi malowidłami, piękną liturgiką wschodnią i prześlicznym śpiewem, stale świecą pustkami.

Jedne tylko „chramowyje prazdniki", coś w rodzaju naszych świąt z odpustami, w dniu patrona kościoła, zgromadzają do cerkwi licznych pątników, ponieważ uroczystość całą, wieś święci zwykle trzydniową pijatyką.

Jakie jest jednak zrozumienie treści wiary najlepiej scharakteryzuje następny przykład.

Jechałem parostatkiem z Kostromy do Jarosławla. W jadalni przy stole siedział jakiś pan i pani.

On czytał gazetę „Russkoje Słowo" co chwila miotał się i najpotworniej przeklinał popów. Kiedy sąsiadka zwróciła jego uwagę, że tak kląć nie wypada, bo przecież tu siedzi kapłan, popatrzył na mnie i najspokojniej mówi: „to nie ten" i dalej jeszcze gorzej klnie i złorzeczy duchowieństwu.

Oburzona niewiasta zapytuje go wreszcie: „Czy ty w Boga nie wierzysz, że tak klniesz potwornie sługi Boże"?

On wstał i mówi zły: „Ja, ja, ja w Boga, jakiego Boga, naturalnie, że nie wierzę, oto ci krzyż święty, że nie wierzę“, i na dowód, że w Boga nie wierzy, najpokorniej przeżegnał się.

Nie przeszło i 10 min., jak sygnały parostatku dały znać, że zatrzymujemy się koło przystani, przy słynnym daleko, w całej okolicy, klasztorze, we wsi — Babajewo.

Położony na górze u brzegów Wołgi, śliczny, nazewnątrz, bardzo schludnie i stylowo wyglądający, klasztor miał w murach swoich obraz św. Mikołaja, cieszący się wielką czcią ludu prawosławnego w kilku gubernjach.

Każdy parostatek ztrzymywał się koło klasztoru, mnisi wychodzili na przystań, wynosząc obraz, czy kopję, już tego dobrze nie wiem, i po odśpiewaniu modłów, bardzo krótkich, coś w rodzaju naszej modlitwy: „Pod Twoją obronę“, parostatek ruszał dalej

Wszyscy podróżni i teraz zeszli na brzeg. Kupowali „świeczki-ofiarki“ i „bili pokłony“.

Ja z parostatku przypatrywałem się temu, co się działo na brzegu w czasie nabożeństwa.

Jakżeż byłem zdziwiony, widząc tego, „nie wierzącego“ towarzysza podróży, jak, z wyjątkową gorliwością, „bił pokłony“ i starał się jaknajwięcej świec postawić.

Parostatek ruszył. Podchodzę do tego oryginała, przedstawiam się i proszę o wyjaśnienie, jak mam rozumieć to wszystko, co on mówił i robił.

„A co księdza tak bardzo zdziwiło“?

„To, że pan mówiłeś, że nie wierzysz w Boga, a na dowód tego żegnałeś się, a teraz widziałem,

jak bardzo gorliwie „biłeś pokłony“ przed obrazem św. Mikołaja.

Z niekłamaną szczerością roześmiał się: „A to pan dziwak jakiś jesteś, mówi mi, a cóż wspólnego ma Bóg ze św. Mikołajem? — Bóg co innego, a Mikołaj co innego. Naturalnie, że w Boga nie wierzę. Ale pewnie ksiądz obraził się, że tak kląłem duchowieństwo. To nie tyczyło się „was“, to nasi to robią“.

Pytam: „Co“.

„Proszę przeczytać artykuł Izmajłowa „Russju pachniet“ (Russkoje słowo z 19y4 r.).

Otóż pan Izmajłow opisuje poświęcenie „restoranszantanu z gabinetami“, właściwie domu rozpusty w Samarze, nad Wołgą.

Pop — kapelan z klasztoru żeńskiego odprawiał tam „molebien“, a chór.... mniszek śpiewał. Artykuł zakończa autor wspomnieniami Gogola, który miał swój ulubiony domek rozpusty na przedmieściu w Połtawie i opisuje, jak pewnego razu zastał tam popa, odprawiającego nabożeństwo.

Kiedy wszystko się skończyło, Gogol oburzony zapytał właścicielki, co to za komedje ona wyprawia. Zdziwiona odpowiedziała mu: „Przecież wiesz, że jedziemy do Niżniego Nowgorodu na jarmark. Jakże jechać bez błogosławieństwa. Żadnegoby zarobku nie było“. I Gogol dodaje, że widział, jak gorliwie i te nieszczęsne dziewczęta też biły pokłony! —

Cóż dziwnego, że dziś w Rosji tak łatwo idzie robota żydowsko-bolszewicka! Wiara wszak była tylko w „dzwonach i pokłonach“, ale nie w duszach, nie w życiu i zasadach!

To samo było i gdzieindziej.

W Nr. 88. Kurjera Nowego Petrogradzkiego, z dnia 2.15.X. 1916 r., czytam taką perłę:

„ODRODZENIE BAŁWOCHWALSTWA. Cerkown. Wiest. opowiada o wspaniałem odrodzeniu bałwochwalstwa wśród czeremisów, w gubernjach, Kazańskiej i Wiatskiej. Odbywają się modły publicznie i składane są krwawe ofiary. W roku ubiegłym zawrzało w 51 gminach wiejskich i w powiatach Kazańskim i Carewokokszajskim, gubernji Kazańskiej i w powiatach: Małmażskim, Jatańskim i Uczumskim, gubernji Wiatskiej.

Podczas nabożeństwa — zamierzano złożyć 69 ofiar, 3 konie, 10 byczków-roczniaków, 6 rocznych cieląt, 8 źrebiąt-jednolatek i konie przeznaczone były na ofiary „wielkim bogom“, źrebięta „puiriszom“ bogom drugorzędnym, cieliczki matkom „wielkich bogów“, byczki „tambarom“, prorokom wielkich bogów, zaś gęsi i kaczki „suksom“, to jest aniołom. Potrzeba było dla złożenia wielkich ofiar 27 kurtów (kapłanów) i 27 ussów (pomocników kapłanów.

3 października należało wybrać kapłanów, zaś 8-go miało się odbyć uroczyste wyprowadzenie ofiar z Unzy i spotkanie ich w gaju z zapalonemi świecami i grą na gęślach.

Wieczorem tegoż dnia ofiary miały być zabite; od rana zaś należało rozpocząć modły, by bogowie raczyli przyjąć ofiary, a potem — jedzenie mięsa ofiarnego.

Projektowane uroczystości doszły do skutku, chociaż w mnieszym zakresie, dzięki przeszkodzie ze strony policji i misjonarzy“.

* * *

Lud wiejski, dobry. Kobieta to prawdziwa niewolnica męża, a wpierw ojca, który nie pytając córki, nieraz dopiero przy ołtarzu, pokazuje jej poraz pierwszy przyszłego męża. Może też i to jest powodem wielkiej rozpusty śród ludu. Mąż z domu ucieka do miasta do roboty i po kilka lat nie widzi żony, ale bardzo regularnie co roku przysyła żonie na chrzciny.....

Sam byłem świadkiem, jak na letnisku, gdzie odwiedzałem moich parafjan, przyjechał na chrzciny, po kilku latach niebytności w domu, gospodarz, zastał 3 dzieci i.... przywiózł żonie w prezencie futro, kalosze i chustkę ciepłą.

Było to w lipcu. Baba ubrała wszystko na siebie i chodziła kilka godzin po wiosce, chwaląc dobroć męża.

— A patrjotyzm, jak wygląda?

Wyjaśnię to przykładem.

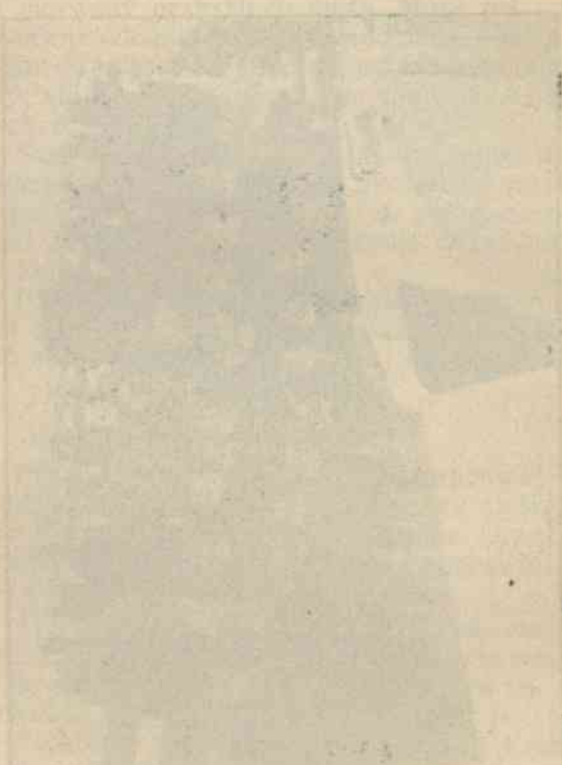
Przy kościele w Jarosławlu pracował cieśla, bardzo dobry robotnik i bardzo dobry cieśla. Lubił mnie i kościół. Uwagi moje zawsze przyjmował z wielkim szacunkiem i najchętniej poprawiał to, co było zepsutem w robocie.

Ale, pewnego razu, robota mu się nie udała. Rozgniewałem się więc na niego i mówie mu: „Ach ty, Jarosławiec, Jarosławiec, jak mogłeś tak robotę popsuć!“.

Poczciwy posiniał! Porwał siekierę i omal nie rzucił się na mnie. Ale opamiętał się i z wyrzutem, i z żalem zaczął prosić o zwolnienie go od robót natychmiast, bo powiada: „po co mnie łajesz (!) jaki ja ci jarosławiec, ja — kostromicz!“.



Ochronka w Jarosławlu № 5.



Dla tego rząd rosyjski umiał wyzyskać patrjotyzm lokalny i dla stłumienia rozruchów w jednej gubernji używał wojska z innej, które z najwyższem zadowoleniem szło i strzelało do ludu, bo to „nie naszi to ludi".

W czasie wojny japońskiej, a potem z niemcami nieraz słyszałem zdanie nawet inteligentów: „do nas jeszcze daleko, co to nas obchodzi, co tam robi się na Syberji, na Kresach i t. d.!".

Spostrzeżenia moje osobiste przy zetknięciu się z inteligencją rosyjską przekonały mnie, że ten naród nie ma, ani wiary, ani miłości ojczyzny.

Dla tego też na pierwszym zjeździe towarzystw pomocy uchodźcom w Moskwie, kiedy Lednicki, jako delegat Moskwy, a Żukowski — Piotrogrodu, zaczęli dużo mówić „o sercu Rosji, które przygarnęło (?) czule uchodźców", ja, jako delegat oddziałów z prowincji, zapytałem w mojej mowie: o jakiem sercu mówili, człowieka żyjącego, czy trupa. Bo naród bez wiary i miłości Ojczyzny, to trup chodzący!

Duszę rosyjską najlepiej charakteryzuje przysłowie, wytwór ich własny, na określenie godności osobistej moskali: „Pluj jemu w głaza, goworit Bożja rosa".

Cały przebieg rewolucji, mordowanie oficerów, niszczenie cerkwi, panowanie kliki żydowskiej nad 100 miljonami moskali, najzupełniej potwierdza słuszność tego przysłowia.

III.

Jak już powiedziałem wyżej, kapłan polski w Rosji był wszystkiem, i kapłanem, i organizatorem życia narodowego i społecznego.

U niego zbierała się zwykle cała kolonja polska na wszystkie posiedzenia, we wszystkich sprawach, dotyczących życia narodowego, jak w kraju, tak też i na miejscu.

W Jarosławlu czytelnię, bilbjotekę, towarzystwo dobroczynności, teatrzyk amatorski, musiałem wziąć pod swoją opiekę, ponieważ mój poprzednik — litwin nie umiał, czy nie chciał, a może nie mógł zdobyć zaufania a może wszystko to razem było powodem, że życie kolonji chwilowo zamarło było zupełnie.

Z prawdziwą przyjemnością wspominam te chwile pracy i tę gorliwość, i zapał z jakimi parafjanie w Jarosławlu wzięli się do wspólnej roboty.

Potem trzeba było organizować wykłady szkolne dla uczącej się młodzieży w kadeckim korpusie i w gimnazjach.

W korpusie było kilkunastu wyjątkowo zruszczonych chłopaków.

Tylko dwóch: ś. p. Prószkowski, który zginął w Polsce na wojnie w obronie Ojczyzny od bolsze-

wików, i drugi Okieńczyc, o którego losie nic nie wiem, z domu wynieśli ducha polskiego.

Reszta była udręką dla mnie.

W gimnazjach było lepiej.

W ośmiu szkołach było kilkunastu uczni i uczenic polaków.

Gromadziłem ich u siebie na probostwie dla wykładów religji, a potem historji polskiej. Z wyjątkiem jednego chłopca, były to bardzo dobre i chętne do nauki dzieci. zwłaszcza siostra kadeta Prószkowskiego, Ludka, wyróżniała się pod każdym względem w nauce i w życiu, jako wzorowa polska dzieweczka.

* * *

W KATORDZE.

Następną moją troską były więzienia.

Jarosławl miał więzienie na 3.000 osób na przedmieściu Karowniki. Była to „katorga".

Było też więzienie gubernjalne i trzecie powiatowe.

We wszystkich trzech więzieniach miałem parafjan prawie tyle, co i na wolności, w mieście!

W katordze było 162 przysłanych z Polski, politycznych przestępców i kilkunastu bandytów. W gubernjalnem i powiatowem — około 100 rozmaitych zbójów i rzezimieszków.

Podłe prawo moskiewskie nie pozwalało kapłanowi katolickiemu stale opiekować się więźniami. W Rosji jednak centralnej, w drodze łaski, mogłem raz na miesiąc przyjechać ze mszą do więźniów i mieć pogadanki z nimi.

Korzystałem z tych względów i starałem się możliwie jaknajczęściej bywać, zwłaszcza w katordze. Każdy mój przyjazd nietylko dla wierzących ale i dla niewierzących był ogromną ulgą. Najpierw dlatego, że mogli byli być na nabożeństwie i posłyszeć słowo Boże w mowie ojczystej, a potem i dlatego, że większość z nich była więźniami politycznymi, jako tacy zamknięci w celach, izolowani, całe lata nie słyszeli mowy ludzkiej.

Stosunek władz więziennych do tych nieszczęśliwych był okropny. Niemal co tygodnia wzywano mnie do więzienia dla wysłuchania spowiedzi umierających, ale częściej jeszcze dla pogrzebania zmarłych na suchoty, albo zamordowanych podstępnie przez dozorców.

Lekarz więzienny — łotr z pod ciemnej gwiazdy — pastwił się niemożliwie nad nimi. Nawet w czasie ciężkiej choroby nie pozwalał zdjąć kajdan. Kiedy pewnego razu spowiadałem konającego na suchoty więźnia i zobaczyłem przy udzielaniu olejów św. kajdany na nogach i rękach, sprowadziłem gubernatora i prokuratora sądu! Ale... sprawę przegrałem, bo sterroryzowani więźniowie, dali zeznania, że doktór dobry człowiek.

Głodówki, bicia więźniów były na porządku dziennym. Najpotworniejszą jednak karą to było ubranie więźnia w wyjątkowo zawszone ubranie, zakucie w kajdany, żeby nie mógł zdjąć tego ubrania i zamknięcie w wilgotnym lochu na kilka dni! Tego więcej bali się niż chłosty.

Pragnąc dać możność więźniom nagadać się między sobą, starałem się przede mszą i po mszy

prowadzić jaknajdłuższe rozmowy w pojedynkę z poszczególnymi skazańcami, a wtedy reszta oddawała sobie kartki, papierosy, pieniądze, śmieli się i... płakali.

Był to widok bardzo ciężki, ale też zarazem i miłe były chwile.

Czułem, że jestem im potrzebny, pożyteczny, a nawet konieczny.

Wiadomości ze świata, a zwłaszcza z Polski, przychodziły najpierw odemnie, ale też nieraz byłem zdziwiony, że wiedzieli o tem, o czem nawet w pismach nie było.

Ktoś w mieście czuwał nad nimi i dostarczał wiadomości.

Pierwszego roku na 168 więźniów politycznych przystąpiło do spowiedzi 165. Stary dozorca więzienny, który służył 35 lat, mówił mi, że to pierwszy wypadek w jego życiu, żeby taki procent przystąpił do sakramentów. Miało to ogromne znaczenie dla mnie i dla nich, bo od tego postu, już straż nie stała w pokoju, gdzie była msza, ale za drzwiami i mogłem częściej przyjeżdżać, bo jak twierdził naczelnik więzienia, przekonał się, że mam wpływ na więźniów i on nie chce mi przeszkadzać i mojej pracy krępować.

Zbliżała się wigilja Bożego Narodzenia. Pojechałem do nich z opłatkiem. Niektórzy po lat 8 — 10 nie widzieli opłatka.

Jakże żałowałem że tych dwóch z moich parafjan, niby ateuszów, którzy drwili sobie z wszelkich religijno - narodowych naszych polskich zwyczajów, nie widziało, jakie wrażenie opłatek zrobił na więź-

niów nie tylko politycznych, których było najwięcej, ale nawet na bandytów, udających politycznych przestępców.

Płakali, jak małe dzieci!

Jeden z nich rzucił mi się na szyję i jęcząc, mówił: „Ostatni raz przed 16 laty z matulą dzieliłem się opłatkiem".

Tak samo i na wielkanoc, dzięki dobroci nielicznych parafian moich, mogłem im zawieźć święcone. Każdy otrzymał 1 funt cukru, ćwierć herbaty, parę jaj, kiełbasę, a co najważniejsze babkę wielkanocną i po kilka mazurków.

Kiedy, po nabożeństwie i odpowiedniem przemówieniu, rozdałem święcone wszystkim, podeszło do mnie kilku z prośbą, żebym pozwolił im ich porcję oddać kilku innym.

„Dlaczego pytam — wszak oni otrzymali swoją porcję?"

„Tak, ale są to „wieczniacy", a nam już nie długo zostało siedzieć tu!"

„A ileż dni panowie siedzieć jeszcze macie,"

„Ja, mówi jeden, 8 lat, a ja 3 lata" i t. d.

Pozwoliłem oddać tamtym, ale po godzinie dostali i ci drugą swoją porcję.

Kajdany nie potrafią nigdy skuć serc polskich!

Więźniowie lubili moje przemówienia.

Mówiłem nietylko apologetyczne nauki, ale starałem się wpływać na podtrzymanie w nich ducha i rozbudzenie wiary, że jeszcze będą mogli służyć ojczyźnie.

Wyglądało to jakby na drwiny, kiedy mówiło się do ludzi skazanych na dożywotnie więzienie!

Bóg jednak pomagał mi działać kojąco na te zbolałe dusze, jak wiem o tem od nich samych.

Kiedyś mówiłem kazanie o Opatrzności Bożej. Słuchali bardzo uważnie. Jeden z nich Gryn z Częstochowy skazany za zabicie żandarma na dożywotnie więzienie, ironicznie drwiąco uśmiechał się. Po skończonej nauce powiedział mi: „A co mi Bóg i księża pomogą, kiedy ja skazany jestem niesłusznie na dożywotnie więzienie!“

„A jednak, odpowiadam mu, ja wierzę, że Pan Bóg może pomoc okazać“.

Zaśmiał się z pogardą i odszedł.

Tego samego dnia, czytając w domu pisma moskiewskie rosyjskie, znalazłem taką wzmiankę: „W katordze w Jarosławlu siedzi Gryn oskarżony o zabójstwo żandarma. Obecnie, przy procesie prowokatora Skrudlika, wydało się, że on fałszywie oskarżył. Prokurator zażądał ponownego rozpatrzenia sprawy Gryna“.

Była to dla mnie pomoc z Nieba! Zaraz na drugi dzień pojechałem do „katorgi“ i w odpowiedni sposób wykorzystałem ten zbieg okoliczności mego poprzedniego kazania, z jednoczesną wiadomością o ponownym procesie.

Wśród wszystkich tych więźniów szczególną moją uwagę zwrócił jeden, który robił wrażenie najinteligentniejszego wśród nich.

Był to towarzysz Piłsudskiego, pan S., skazany za zamach w Bezdanach na śmierć, a potem ułaskawiony na dożywotnie więzienie.

On to był pierwszy, który dużo mi opowiadał o Piłsudskim, przepowiadając, że w wolnej Polsce

będzie „ministrem wojny“.

Do p. S. miałem największe zaufanie i dużo bardzo korzystałem z jego rad jak trafić do serc nieszczęśliwych kolegów jego.

Do innych wielkiego zaufania nie miałem, tembardziej, że po jednym kazaniu, zbyt patrjotycznem, sami więźniowie prosili mnie, żebym był ostrożniejszy, bo jest między nimi szpieg, który wszystko donosi naczelnikowi więzienia.



Kościół w Kostromie nad Wołgą.

IV.

W Kostromie.

W Kostromie tak samo, jak i w całej gubernji kostromskiej, życie religijno-narodowe polaków mało się różniło od życia Jarosławskich parafjan.

Miasto gubernjalne, portowe, położone nad Wołgą, tak samo, jak i Jarosławl, nie miało tych prześlicznych widoków, bo rozłożone było na płaszczyźnie.

Parafjanie zdobyli się na kupno niewielkiego domku drewnianego, który przerobili wewnątrz na mały, ale schludny kościołek, w którym jeden z moich poprzedników prawie pod samym sufitem urządził był ambonę.

(Gdybym z niej chciał głosić kazania, musiałbym chyba klęcząc to robić).

Przezacny syndyk, pan Czarnecki, był duszą całej parafji. Dobry polak i katolik z ogromną gorliwością pomagał kapłanowi tak w kościele, jako też i po za kościołem.

Zajmując wysokie stanowisko urzędnika państwowego, miał ułatwiony dostęp do wszystkich

władz i do towarzystwa rosyjskiego, co ułatwiało niejednokrotnie pracę kapłanów tej miary, jak ś. p. ks. Zyskar i ks. Jóżwik.

W Kostromie założono bibljotekę parafjalną tak samo, jak w Jarosławlu. Osobny komitet, kierujący sprawami oświatowemi parafji, starał się uniezależnić od proboszcza. Klucz od bibljoteki miał u siebie i kiedy ludzie wiary szli na mszę św. do kościoła, gdzie sprawowała się Niekrwawa Ofiara, kilku „postępowych polaków“ prowadziło gawędy głośne w bibljotece.

Ksiażki wyraźnie występujące przeciwko wierze i moralności, sąsiadowały razem z pismem świętem i pod jednym dachem z przybytkiem Bożym! Drzwi wejściowe kościelne były wyzyskiwane dla najrozmaitszych ogłoszeń, nic wspólnego nie mających z chwałą Bożą. W przedsionku, między zakrystją, a kościołem, odbywały się najrozmaitsze pogawędki, a nawet raz jeden sprzedawano tam bilety do kina na jakiś cel dobroczynny.

Przekonałem się, że wszystko to było robione nie ze złej woli! Lekkoduchy, kościół uważali za środek dla celów innych, ale nie tych, dla których przedewszystkiem był przeznaczony.

Dzięki taktowi, rozumowi i głębokiej wierze syndyka Czarneckiego, przy jego pomocy czynnej i wielkich wpływach, jakie miał na parafjan, wszystko to udało się szybko usunąć.

Stosunki też syndyków z proboszczami w Kostromie były lepsze, niż w Jarosławlu **z moimi poprzednikami.**

Ja, osobiście, z prawdziwą przyjemnością i wdzię-

cznością wspominam moich syndyków: Majera w Jarosławlu, jak i Czarneckiego w Kostromie.

Kostromską parafją niedługo zarządzałem.

Nic nie mam tu do zanotowania, bo jak powiedziałem wyżej, stosunki były takie same, jak i w Jarosławlu. Jeden jednak wypadek bardzo charakterystyczny, który mi się przytrafił na Wołdze z pewnym „zimogorem", chciałbym tu opisać.

„Zimogor" nie ma sobie podobnego typu w Polsce. Coś pośredniego między andrusem, a pracowitym pijakiem i zawodowym żebrakiem a nędzarzem. Całe lato, jesień i wiosnę pracuje tak ciężko, jak u nas pojęcia i wyobrażenia o tem niema, 6 dni w tygodniu, a nieraz i noce, zajęty pracą ponad siły ludzkie, przy wyładowywaniu i ładowaniu parostatków, zarabia ogromne pieniądze, jedynie tylko na to, żeby w niedzielę wszystko doszczętnie przepić. I tak to trwa przez cały czas, póki Wołga nie zamarznie. A kiedy ostatni parostatek odejdzie, biedny, nieszczęśliwy, bez charakteru, zaczyna: „zimą klepać biedę — „zimoj gorjujet" i stąd nazwa, „zimogor".

— Odprawiwszy nabożeństwo w Kostromie, **musiałem** wracać na drugi dzień raniutko do Jarosławla, żeby zdążyć na sumę. O opuszczeniu nabożeństwa i mowy być nie mogło, ponieważ w świętą uroczyste zwykle ktoś z powiatowych miast, lub też odległych o kilkaset wiorst kolonji polskich przyjeżdżał. Jeśli księdza nie zastawał, wracał do domu zrażony i już kilka lat do kościoła nie przyjeżdżał. —

Musiałem więc za wszelką cenę dostać się do Jarosławla. —

Wołga oddzielała miasto od stacji kolejowej.

Parostatki już nie kursowały.

Przyjechawszy nad brzeg, zobaczyłem, że Wołga stanęła! Policja nie pozwala ani przejeżdżać, ani też przechodzić. Kilku śmiałków, przeskakując z jednej kry na drugą, przeszło w stronę dworca. Postanowiłem pójść ich śladem. Ubrany byłem w duże ciężkie futro.

Stojący opodal mały, chudy, ubrany w łachmany „zimogor" podchodzi do mnie i proponuje swoje usługi, że przeprowadzi mnie bezpiecznie na drugą stronę.

Pomimo mego protestu, że narażać go nie chcę i sam pójdę, poszedł naprzód pierwszy.

W połowie drogi spotkaliśmy staruszkę, która na pytanie: czy przejść można bezpiecznie?, odpowiedziała pocieszająco: „Można, można, tylko w dwóch miejscach będzie bardzo niebezpiecznie, jeśli to przejdziecie, to dojdziecie", i najspokojniej poszła dalej.

Doszliśmy do tych miejsc.

Olbrzymie kry, jakoś dziwnie zetknęły się ze sobą bardzo ostrymi końcami, że tylko mogła ta kobiecina lekka, jak dziecko i o małej, dziecięcej nodze swobodnie przejść.

Wokoło był świeży, tylko co przed paru godzinami ścięty lód.

Mój „zimogor" ze zręcznością akrobaty przeskoczył z jednej kry na drugą i dobrotliwie śmiejąc radził: „rzuć mi futro swoje, potem skacz, jeśli przeskoczysz, oddam futro, jeśli utoniesz wezmę sobie".

Iść naprzód i wracać, jednakowo niebezpiecznie

było. Ani tonąć, ani oddawać futra, nie miałem najmniejszej chęci.

Cofnąwszy się kilka kroków wstecz, przeskoczyłem z jednej kry na drugą i... niefortunnie..

... Szpic drugiej kry, na której stał „zimogor" złamał się. Gdyby nie heroiczny wysiłek „zimogora", poszedłbym pod lód wraz z tym odłamkiem lodu.

Czy żal mu było więcej futra, czy mnie, tego nie wiem, ale poczciwiec z narażeniem własnego życia na falującej krze, błyskawicznie złapał mnie za rękę w chwili, kiedy kra już się podsuwała jedna pod drugą.

V

Wygnańcy.

Zaczęła się wielka wojna światowa, a z nią przymusowa wędrówka ludu polskiego, wyrzuconego ręką rosyjskiego wodza z ziemi rodzinnej.

Pędzony na wschód, do obcych, znaczył drogę tysiącami mogił. W najlepszym (?) razie pchano te tłumy do wagonów i wieziono bezmyślnie, bezplanowo dalej i dalej, rozdzielając mężów od żon, i dzieci od rodziców.

Kiedy pierwszy transport wygnańców przyszedł do Jarosławla, patrzyłem bezradny, jak w wagonach trzymano trupy po kilka dni, jak chorzy na tyfus, a nawet na cholerę, leżeli razem ze zdrowymi, jak głodne dzieci, potem jechały dalej, i dalej bez końca i bez celu, bo nikt z władz nie wiedział gdzie je trzeba wyładować!

Każdy gubernator „odżegnywał się“ od wygnańców, a społeczeństwo rosyjskie, z cynizmem właściwym tylko moskalom, wręcz mi mówiło: „Po co tu jadą, my ich nie prosiliśmy wcale, żeby do nas przyjeżdżali“.

Tak odpowiadała władza, tak mówili panowie radni miasta i w końcu wydawano nakaz wysłania pociągu „dalej".

I biedacy jechali nieraz przez całą Rosję, aż do Władywostoku na to, żeby potem wracać znowu do Rosji centralnej.

Kilku tych biedaków z transportu, który przejechał przez Jarosławl do Władywostoku na początku wojny, w roku 16-tym, spotkałem nad morzem Kaspijskiem, w Krasnowodzku.

Mówił mi z goryczą, ironicznie, pewien staruszek: „Zatrzymal śmy się tu, bo pociąg nie mógł iść po wodzie".

Przyszedł, wreszcie, nakaz z Piotrogrodu, że Jarosławska gubernja musi przyjąć 10 tysięcy uchodźców, a potem liczbę tę zwiększono do 40 tys.

Zaczęto pociągi wyładowywać na dworcu.

Zajęliśmy się najpierw dziećmi.

Doraźna pomoc kolonji, w rozdawnictwie mleka, długo trwać nie mogła, dla braku funduszów, bo dzieci było więcej, niż miałem parafjan i dla tego że coraz więcej ich przybywało.

Wkrótce przyszedł z pomocą C. K. O. i P. T. P. O. W.

Ja zostałem prezesem jednego i drugiego towarzystwa. Potem, po reorganizacji, prezesem tylko P. T. P. O. W.

Do pracy stanęła cała kolonja, zwłaszcza, rodziny: Latkowskich, Prószkowska, Pomorskich, Pawłowskich, Jabłońskich.

Najgłówniejszem naszem zadaniem było zorganizowanie ochronek.

Nędza nietylko materjalna, ale i moralna za-

częła robić wszelkie spustoszenia. Epidemje tyfusu, szkarlatyny, zapalenia płuc pochłaniały dziesiątki ofiar, zwłaszcza, dziecięcych.

Wszystkie mieszkania wolne na probostwie oddałem dla dzieci.

W moim saloniku i gabineciku malutkim było biuro komitetu.

Najważniejszą i najpilniejszą pracę, otwarcia ochron, uniemożliwiał brak mieszkań.

Napróżno kołatałem do serc moskali!

Żaden nie chciał wynająć mieszkania, chociaż wolnych było poddostatkiem.

A dzieci marło coraz więcej z głodu, chłodu i chorób rozmaitych!

Zdecydowałem się na zrobienie manifestacji żałobnej w mieście. Zebrałem w kościele trumienek dziecięcych 10 i ustawiwszy je w poprzek ulicy od ściany do ściany iżby ruch zatamować, z procesją, otoczony licznym tłumem, ruszyłem na cmentarz.

Śpiew głośny, przerywany płaczem matek, ściągnął tłumy prawosławnych. Policja, zdaleka dojrzawszy jakiś niezwykły pochód ze sztandarami, wśród których były i czerwone, zaalarmowała wojsko, sądząc, że to pochód rewolucyjny. Skończyło się na sprezentowaniu broni... i wojsko poszło dalej, a my na cmentarz.

Zaszły jednak „wypadki niespodziewane", które przerwały śpiew.

Koło domu p. D., magnata i fabrykanta, umyślnie dłużej zatrzymałem kondukt, ponieważ on i drugi p. W. nie chcieli mi wynająć mieszkań pod ochronki. Na ganku stał olbrzymi przepiękny St. Bernard —pies, własność tego fabrykanta.



Ochronka w Jarosławlu № 2.

Czy to śpiew żałosny, czy zapach trupi był powodem, tego nie wiem, ale poczciwe psisko zaczęło tak rzewnie wyć, że ani głos, nawołującego pana jego, ani popa, który tuż stał, nie mógł go uspokoić.

To samo przy drugim domu p. W. zrobił malutki seter.

Na drugi dzień wysłałem do redakcji pisma miejscowego list tej treści: „List otwarty polskich dzieci z tamtego świata do psów jarosławskich". W liście był opisany powód wyjazdu z Polski, pobyt w Jarosławlu, przyczyna śmierci i w końcu pogrzeb.

Na zakończenie dzieci dziękują st. Bernardowi i seterowi za wyrażenie współczucia ich rodzicom przy pogrzebie, kończąc tak: „Cześć wam i sława wy arystokraci psiego rodu, niech wam pozazdroszczą czułego waszego serca wasi panowie".

List w odbitkach został rozesłany do wszystkich moskali w mieście. Dostał się do prasy w Moskwie i w Piotrogrodzie.

Na drugi dzień już miałem zupełnie wystarczającą ilość propozycyj na wynajem domów pod ochrony.

Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że moskal jest bez serca. Ale jak wszystkie przymioty tego narodu, dziś tak nieszczęśliwego, tak i serce przejawia się zależnie od fantazji humoru, nastroju.

Raz gotów garścią sypać złoto to znów grosza żałuje.

Karmi gołębie na rynku, a ubogiemu chleba kawałka nie da.

Widziałem, jak, w dniu uroczystości Zwiastowania N. M. P., wykupują na rynku ptaki z klatek i chwilkę pogładziwszy po główkach, żegnają się i poetycznie mówią: „leć ptaku Boży pod niebiosa i śpiewem nieś modlitwy do Pana za mnie grzesznika.

I ci sami, których rozczulała niewola ptaków, dzieciom polskim, wygnanym z gniazda ojczystego, nie chcieli wynająć lokali pod ochronki!

Do rozumu i do serca tych ludzi trzeba umieć trafić, dobierając niemal dla każdego człowieka, inne argumenta.

Dlatego też, w pracy organizacyjnej, nigdy nie rachowałem na ich pomoc, ani rządu, ani społeczeństwa rosyjskiego.

Przy udziale parafjan i ewakuowanych z Polski urzędników polaków zrobiłem tyle, iż w końcu, widząc wysiłki nasze nadludzkie, ale też i rezultaty nadspodziewane, moskale zaproponowali, żebym oddał dzieci polskie na wieś do klasztoru prawosławnego, gdzie będą mieli: „i wikt dobry, i powietrze".

Wysłuchawszy tej propozycji, dodałem: „i prawosławie. Polaku eto nie goditsia".

W półtora roku potem, z ogromnem zadowoleniem słuchałem sprawozdania specjalnej komisji, która jeździła do tego samego klasztoru zbadać skargi, jak dzieci tam katują. Między innemi sposobami, jak bicie, głodzenie, był jeszcze bestjalski sposób na chłopców, chorych na pęcherz, (którego opis nie nadaje się do druku). I kiedy jedno dziecko, omal nie umarło, a rewizja wykazała wszystkie dowody czułego serca mnichów prawosławnych, try-

umfowałem, że ani jednego polskiego dziecka tam nie dałem.

Całe to piekło rosyjskie, które przebyły polskie ochronki w Jarosławlu, prześlicznym opisał wierszem, w poemacie „Jaskółki", Eugenjusz Popoff).

Dzięki niezwykle ofiarnej pracy całej kolonji, a zwłaszcza ideowego personelu nauczycielskiego i rodzin: Pomorskich, Prószkowskiej, Jabłońskiej Haliny, nauczycielki Eugenji Dubowskiej, Jakóba Marka, ochrony nasze zasłynęły, jako wzorowe.

Zorganizowaliśmy warstaty! Szewcki, stolarski, krawiecki, koszykarski: mieliśmy własny szpitalik dla dzieci, przytułek dla starców i staruszek, własną pomoc lekarską i porady prawne.

Pan Jabłoński stale wygłaszał odczyty. Panna Halina Jabłońska pisała utwory sceniczne, wykazując wielkie zdolności, a Dubowska urządzała teatry dziecięce z nadzwyczajnem uzdolnieniem.

* * *

W SZPITALACH.

W Jarosławlu, w czasie wojny, było **kilkadziesiąt szpitali wojskowych.** Trzeba było chodzić i szukać swoich, żeby ich bronić od fałszywej gorliwości popów. Prawie w każdym szpitalu odnajdywałem jednego, lub dwóch polaków rannych, chorych, albo jeńców.

Odwiedzałem ich często, według możności.

W czasie jednej wizyty, po rozmowie ze swoimi, kiedy już odchodziłem, posłyszałem jęczący

głos jakiegoś moskala, który prosił, żeby podejść do niego. Podchodzę i pytam: „Czem mu mogę służyć“?

„Siadaj, mówi rozkazująco, coś ci powiem“.

Słucham. — —

Prześliczna opowieść! Powtarzam ją w streszczeniu:

„Było to, mówi, w Lubelskiej gubernji. Stałem z moją rotą w jakiejś wiosce, gdzie był dwór pański. Rozlokowaliśmy się na dziedzińcu i czekamy, aż wróg będzie nas atakował.

„Dali znać, że już podchodzą, że prędko zacznie się walka.

„Obywatelka zabrała dzieci ze dworu i poszła z nimi do lochu. Do drugiego wprowadziła krowę. Służba wszystka rozbiegła się dawno.

„Walka trwała dwa dni. Nasi uciekli, niemcy ich popędzili dalej, a ja zostałem na placu ranny w brzuch.

„Leżę i prawie konam.

„Słyszę, z lochu wychodzi pani z dziećmi. Dzieci płaczą: „Mamusiu, jeść“.

„No i cóż myślisz, co ona zrobiła?

„Poszła po krowę, bardzo niezgrabnie wydoiła i mlekiem nakarmiła.

„Myślisz może, że najpierw dzieci?

„Otóż nie, najpierw dała nam, ciężko rannym. Mnie obandażowała brzuch. Potem dopiero dzieciom dała mleka“.

Po co mi to opowiadasz, pytam wzruszony?

„Bo ty dbasz o swoich braci, ciągle ich odwiedzasz, a to moi towarzysze, tyś polak taki sam, jak i ona była. Chciałem ci zrobić przyjemność opo-

wiadając o tej dobrej polce, której życie zawdzięczam".

Na drugi dzień przyszedł inny transport jeńców austrjackich ciężko rannych. Było dużo polaków, rusinów, niemców i czechów, rumunów i włochów. Spowiadałem wszystkich, mając pod ręką odpowiedni podręcznik w 5 językach.

Wychodząc, spostrzegłem jeszcze jednego konającego.

Pytam lekarza: „kto to"? Odpowiada: „Żyd, umiera już". Wtem słyszę jego szept po polsku: „Proszę księdza do mnie. Mam interes. Niech ksiądz zapisze sobie mój adres".

Piszę.

„Czy mam napisać do żony pańskiej". Nie, po co? Ja chcę, żeby ksiądz miał mój adres, bo ja jestem bardzo dobry stolarz meblowy. Może kiedy ksiądz będzie we Lwowie, to u mnie co kupi!".

VI

Do Krasnowodzka.

W 1916 roku 1.V., usiadłem czytać gazetę wieczorową. Było to w niedzielę. Z gazety tej dowiaduję się, że z Moskwy, we wtorek wyrusza do KRASNOWODZKA oddział sanitarny.

Jedzie lekarz, kilka sióstr, kilku felczerów i kilkunastu sanitarjuszów, bo szalona tam epidemja dziesiątkuje wygnańców.

Korespondencja zakończona była wyrzutem pod adresem duchowieństwa, że nikt z księży nie zgłosił się, żeby razem jechać z oddziałem.

Połączyłem się zaraz telefonicznie z Moskwą, z p. Marjanem Lutosławskim i zaproponowałem swoje usługi.

We środę już wyjechaliśmy z Moskwy przez Baku i morze Kaspijskie do Krasnowodzka.

Żal mi było porzucać pracę, zaczętą w Jarosławlu, ale myślałem, że w Krasnowodzku więcej będę potrzebny.

Po moim, niespodziewanym dla parafjan, wyjeździe, robota zaczęła szwankować.

Jaką była współpraca parafjan, niech świadczy treść listów, wysyłanych do biskupa i centrali, do Piotrogrodu. Ile serca, ile wielkiej i podniosłej duszy w tych zacnych słowach moich towarzyszy pracy!

Nie mogli oswoić się z tą myślą, że mnie nie będzie razem z nimi. Nie upłynęło i 3 tygodni, jak wysłali, dnia 26.V., list do biskupa Cieplaka, następującej treści:

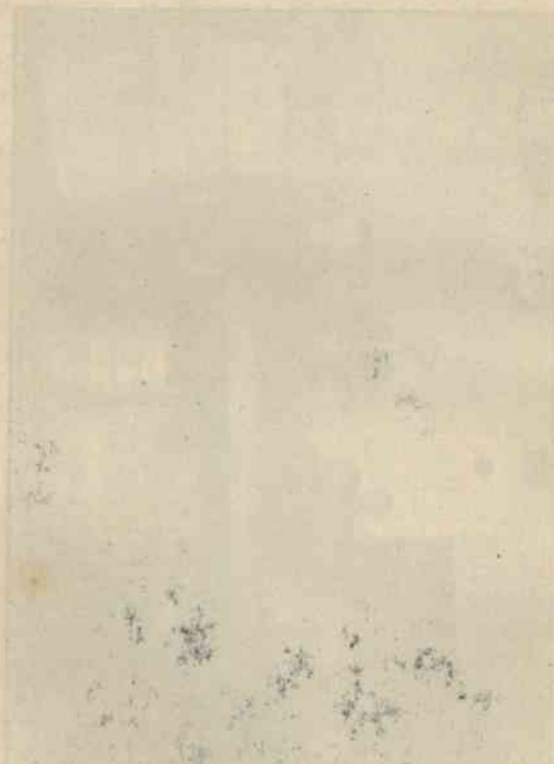
„Wasza Ekscellencjo! Niżej podpisani, członkowie parafji Jarosławskiej, w imieniu wszystkich swoich współwiernych, ośmielamy się zanieść do Ekscellencji Waszej niżej wyłuszczoną prośbę. Jarosławska, katolicka parafja, licząca obecnie katolików narodowości polskiej, litewskiej i łotyskiej około 10,000 w czem samych polaków do 8.000. Potrzeby religijne naogół wskutek tego są olbrzymie, a powiększają się jeszcze przez to, że poza zwykłymi, kościelnymi obrządkami i czysto religijnemi potrzebami, katolicka polska ludność naszej parafji, złożona przeważnie z wygnańców o średniej i niższej kulturze ze sfer robotniczych, fabrycznych i rolnych, wykazuje ogromną potrzebę skutecznego, moralnego oddziaływania, aby w warunkach nad wyraz nieprzyjaznych mogła być podtrzymaną i ukrzepioną w czystości świętej wiary naszej i gorliwości w wykonywaniu jej wskazywań. Wpływ takiej moralnej siły iść może tylko od kościoła, tylko od kapłanów, którzy oprócz głębokiego przywiązania do zasad wiary świętej, posiadaliby w dostatecznym stopniu umiejętność wczuwania się w narodowościowe potrzeby i w narodowościową obyczajność owieczek swoich.

„Otóż, w imię takich znamiennych powodów,

Wasza Ekscellencja, zacny Książe Biskupie, w powyższy sposób motywujemy pokorną prośbę naszą, którą, ku wysłuchaniu przez dobrotliwe serce Twoje,, ślemy do Waszej Ekscellencji. Dotychczasowy proboszcz parafji naszej, ks. Marjan Tokarzewski był osobistością, której dzialalność nadzwyczaj gorliwa w świątyni Pańskiej promieniowała wpływami swemi poza kościół. Osobistość księdza Marjana Tokarzewskiego zawsze dawała inicjatywę i silnie łączyła się ze wszystkiemi dobroczynnemi poczynaniami w imię narodowości. obyczajowości i kultury polskiej, do takiego stopnia, iż z jednej strony wywoływała wielką siłę dobrej woli ku takim szlachetnym poczynaniom w ogromnej większości parafjan, (dla organizowania przytułków, ochronek, szkół, warsztatów, a nawet organizacji rozrywkowych), a z drugiej strony tak wyraziście uwydatniała konieczność podkładu religijnego, świętej wiary naszej, że całkowite życie ludności parafji katolickiej w Jego uczuciach i działalności odźwierciadlało ową, prawie religijną nastrojowość. A ta stawała się silnym puklerzem przeciwko zupełnie naturalnym anty-katolickim wpływom atmosfery nas otaczającej. W obecnej chwili, ks. Marjan Tokarzewski, w imię głęboko-religijnych zasad miłosierdzia i wzniosłych, szlachetnych wskazań działalności społecznej, opuścił parafję naszą na czas pewien, bliżej nie określony, aby stanąwszy na czele organizacji sanitarnej, nieść pomoc religijną katolikom w kraju Zakaspijskim. Opuszczenie parafji swojej przez ks. Marjana Tokarzewskiego z racji zupełnie zrozumiałej a wyżej wyjaśnionej, wywołało smutek i żal parafjan. A co najważniejsze



Jeden z pięciu warsztatów przy ochronkach w Jarosławiu.



zupełnie uzasadnione obawy, że brak takiej osobistości, którąby wpływami swemi umiała regulować nasze życie katolickie i umiała zniewalać wiernych do dobrowolnego poddawania się rygorom i przepisom świętej wiary katolickiej, może przyczynić dużo rozluźnienia w obowiązkowości katolickich parafjan, a nawet zrobić duże szczerby w samej liczebności rzeczywistych wyznawców naszej wiary świętej. Przepełnieni troską o takiego rodzaju dolę katolików w parafji Jarosławskiej ślemy do Waszej Ekscellencji pokorne prośby nasze, abyś w uznaniu motywowanych obaw, Wasza Ekscellenjo zacny Książe Biskupie, dobrotliwie wysłuchać raczył próśb naszych, a dzieląc serdecznie troski nasze, raczył wpłynąć na to, żeby czasowe opuszczenie nas przez ks. Marjana Tokarzewskiego mogło, według uznania Waszej Ekscellencji trwać o ile można najkrócej a to dla dobra, wszystkich nam bliskiej, sprawy wiary naszej".

Tego samego dnia wysłali drugi list do Centrali.

„Do Głównego Komitetu Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny w Piotrogrodzie.

„My, niżej podpisani, członkowie Zarządu Oddziału Jarosławskiego Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, upoważnieni przez ogólne zebranie członków kolonji naszej zasyłamy do Głównego Komitetu niżej wyłuszczone podanie. Wychodząc z zasad takiej działalności naszej, jaka wskazaną jest z mocy ustawy nas organizującej, a także z podstaw czysto narodowych, i kulturalnych obowiązków naszych w sposób następujący formujemy motywy, skłaniające nas do niniejszego podania. Blizko 8.000 ludności, narodowości polskiej,

zamieszkującej obecnie Jarosławl, składa się przeważnie z polaków — wygnańców, wśród których przeważają robotnicy fabryczni i rolni, oraz wszelkiego rodzaju niższych oficjalistów służby folwarcznej. Są to, naogół biorąc, ludzie bardzo średniej lub małej kultury, dla których czas, spędzany na wygnaniu, przy nieodpowiednich warunkach wpływów narodowo-kulturalnych, może decydować o zupełnem zaprzepaszczeniu tych osobników, a, bądź co bądź, niemało wartościowych wykonawców twardej pracy, i o zupełnej zagubie ich dla narodowości polskiej. Wskazana przez organizację naszą działalność narodowo-kulturalna być musi naszą pierwszorzędną troską, najważniejszym obowiązkiem, którego przestrzeganie pod każdym względem stanowić będzie o konieczności, albo zupełnej bezpożyteczności naszego istnienia. Gorliwie rozumiejąc wskazywane nam i przez każdego z nas wyznawane w życiu kolonji Jarosławskiej prawdy, stworzyliśmy cały szereg organizacji narodowo-kulturalnych, jakie według rozumienia naszego, najwięcej mogły sie dopasować do charakteru niedoli naszej tutejszej i najskuteczniejszą w takiej niedoli dawać pomoc. Powstały, więc w Jarosławlu kolejno po sobie, w miarę rodzących się potrzeb, przytułki, ochrony, warstaty, a nawet kulturalno-rozrywkowe organizacje, które miały na celu ratowanie przedewszystkiem życia i bytu nieszczęśliwych wygnańców, a następnie zorganizowanie całego życia polskiej kolonji Jarosławskiej na taką modłę, aby ono mogło samo w sobie znaleźć dość odporności przeciwko zupełnie naturalnym wpływom atmosfery, nas otaczającej. Ten to, mianowicie, wzgląd

natury czysto kulturalnej mógł być urzeczywistniony ze względu na ogromną różnorodność kultury, pojęć, przekonań i obyczajów wygnańców, składających się z najrozmaitszych warstw mało lub wcale niewykształconych, a to przeważnie mało, lub wcale nieuświadomionych pod względem narodowym. Po prostu brakowało takiego społecznego łącznika, za pomocą którego związać możnaby było tak różnorodną rzeszę dla wzniosłych celów narodowości naszej.

Jedynym łącznikiem, jedynym owocnym czynnikiem dla takiej sprawy mogła się stać wyznawana przez wszystkich wiara katolicka. Apostolstwo w tym duchu narodowo - społecznym, urabiającym moralny grunt dla społeczno-kulturalnej roboty jedynie mogło wyjść z kościoła. Decydujące niejako znaczenie w tym razie musiała mieć tylko osobistość kapłana, bo tylko on mógł urabiać, za pomocą odpowiednich wpływów, usposobienia wiernych do tej roboty, jako obowiązującej ich w imię wskazań wiary, i w imię cnót przez wiarę ukoniecznionych. Otóż, kolonja polska w Jarosławlu wobec trudnego narodowo-społecznego zadania znalazła się w bardzo szczęśliwym położeniu, gdyż osobistość proboszcza Jarosławskiego ks. M. Tokarzewskiego kapłana, oddanego wierze, a zarazem zdającego sobie sprawę z takich obowiązków, jakie obciążać powinny każdego polaka na każdem stanowisku jego hierarchji społecznej, wspaniale nadawała się do takiego szlachetnego apostolstwa. — Ks. M. Tokarzewski, jako kapłan i jako obywatel polak, umiał z odpowiednią godnością połączyć w sobie obowiązki, poglądy i uczucia, wypływające z obu

tych stanowisk i stał się też apostołem uczuć, obowiązków i czynów. — Z jego szlachetnej inicjatywy bez opóźnień i w należnej postaci wyrastały w miarę potrzeby kolejno po sobie wyżej wzmiankowane organizacje. — Dla tych organizacji, ks. M. Tokarzewski wpływami swymi z kazalnicy i przykładami osobistymi służenia tej pracy, umiał podtrzymywać, ani na chwilę niesłabnące zainteresowanie i prawie serdeczne współczucie ku tej robocie w usposobieniu swych parafjan. — Pomimo nad wyraz trudnego położenia przy odnajdywaniu ludzi do tej, nie zawsze sympatycznej dla egoizmu ludzkiego pracy, umiał jednakże ks. M. Tokarzewski koniecznych dla takiej roboty ludzi podniośle natchnąć i zapalić do niej. — Więc robota szła i do tej chwili idzie w należnem tempie i raduje się możliwie dodatnimi rezultatami. — Obecnie wszakże nastąpił ewenement, kóry może okazać bardzo poważne, a wcale nie dodatnie wpływy na naszą dotychczasową narodowo - kulturalną działalność. — Ks. M. Tokarzewski, proboszcz parafji naszej, ze względów wskazanych mu przez religię, jako kapłanowi, i przez obowiązek społeczny, jako polakowi przyjął stanowisko przewodnika komisji sanitarnej, udającej się do kraju Zakaspijskiego dla ratowania tam nieszczęśliwych wygnańców i jeńców, katolików i polaków, nieznajdujących zupełnie pociechy religijnej. — Opuścił więc Ks. M. Tokarzewski parafję naszą na czas bliżej nieokreślony. — Z wyjazdem jego zabrakło organizacjom naszym tego opiekuńczego ducha, który budził i zapalał jednoczył usposobienia wszystkich ludzi dla wielkiej jednej sprawy naszej narodowo - kulturalnej.

Osobistość ks. Tokarzewskiego, narazie, nie może być zastąpioną przez nikogo, ktoby również wszechstronnie posiadał cnoty i przymioty jako przewodnik w sprawach tej natury. — My, niżej podpisani posiadając zupełnie uzasadnione obawy, że brak takiej osobistości, w niedługim czasie, może dać odczuć bardzo niekorzystnie dla roboty naszej, i odziałać na dusze, zobojętnieniem parafjan ku tym sprawom, którego niedopuszczały religijno - moralne wpływy ks. Tokarzewskiego, ślemy niniejsze podanie do Piotrogrodzkiej Centrali naszej, aby za sprawą odpowiedniej osobistości, oddziałać można było na ks. Biskupa, iżby, Ten, stosownie do podania, zrobionego przez parafjan Jarosławskich, bezpośrednio do Jego Ekscellencji, zechciał się dobrotliwie przyczynić ku temu, aby nieokreślona bliżej co do terminu nieobecność ks. M. Tokrzewskiego w Jarosławlu, mogła trwać jaknajkrócej.

„Śląc niniejsze podanie do Centrali naszej z prośbą o okazanie nam pomocy w jej uskutecznieniu, mamy zaszczyt załączyć odpis podania naszego do Ekscellencji Biskupa Cieplaka i oczekiwać będziemy rychłego powiadomienia nas o skutkach wstawiennictwa Cenralnego Zarządu w imię prośby naszej“.

Przytoczyłem oba te listy, jako najlepsze świadectwo pracy odziałów Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, oraz tego związku ścisłego jaki zachodził między kapłanem, a całą kolonją. —

Muszę tu sprostować, iż nie stałem na czele

oddziału sanitarnego, nie byłem przewodnikiem, ale „kapelanem w oddziale".

* * *

W Krasnowodzku zastaliśmy już jeden oddział sanitarny Czerwonego Krzyża, drugi księżny Tatjany, a nasz był trzeci.

Jako główne zadanie mieliśmy niesienie pomocy wygnańcom polakom i ich rejestrację. Na parostatkach odtransportowywaliśmy ich przez morze Kaspijskie do Astrachania i dalej w głąb Rosji centralnej. — Z 22 tysięcy wygnańców, jeńców zostało przy życiu tylko około 3.000. Reszta wymarła w Turkiestanie.

Niezwykłych tragedji byłem świadkiem. — Widziałem starca zgrzybiałego, któremu wymarła cała rodzina skadająca się z dorosłych dzieci i wnuków. — Sam wracał!

Małe dzieci sieroty, które straciły wszystkich swoich!—

Byli też i tacy, kórzy po rozstaniu się w wiosce, w Polsce, przy wypędzeniu ich przez moskali, po dwuletniem błąkaniu się po Rosji i Syberji wypadkowo spotykali się dopiero na Mszy Świętej, przed wsiadaniem na parostatki.

Upał, dochodzący do 55 stopni, brak wody do picia, tęsknota do kraju „inny świat i inni ludzie", brak pracy i środków do życia, wszystko to, razem zebrane, zabijało naszych uchodźców i jeńców.

Tyranja moskali, nieludzkość i dzikość w postępowaniu, zwłaszcza z jeńcami, przechodziły wszelkie granice.—

Nie mogłem ubłagać, odnośnych władz, żeby

jeńcom pozwolono bywać na mszy św. i bardziej po ludzku ich traktowano. — Widziałem, jak przy temperaturze 40 st., stali, na otwartym placu, godzinami w pozycji na baczność, za byle głupstwo.

Naturalnie ginęli najpierw dziesiątkami, a potem setkami. — Ani prośby, ani groźby nic nie pomagały! —

Przy wyprawieniu pierwszego transportu, który odchodził z Krasnowodzka, był obecny „najwyższy" zwierzchnik policyjny. — Tęgi, bardzo przystojny mężczyzna, zapytał mnie, czy może być na nabożeństwie, które mam odprawić na parostatku.

. Kilkuset polaków, zebranych na pokładzie, po 2-ch latach, poraz pierwszy zobaczyło kapłana swego, który do nich przemówił po polsku i razem z nimi zaśpiewał litanję: „Pod Twoją Obronę i Anioł Pański", za zmarłych! Czy mam się kusić opisywać wrażenia i uczucia tych ludzi? — Czy potrafię przelać na papier ten szał radości, w potoku łez?

Najwięcej płakał i najdłużej ten olbrzym policjant o pięknej rasowej twarzy. — Po skończonej modlitwie, kazaniu i błogosławieństwie, kiedy parostatek miał już odjechać, podszedł do mnie, pocałował w rękę i przez łzy mówi: „Pierwszy raz w życiu tak się modliłem, bo pierwszy raz widziałem tak modlących się! —

Moja babka była katoliczką..."

Dalej mówić nie mógł, ręką machnął i odszedł!

Potem stale mnie unikał. — Mówił, że nie może mi w oczy patrzeć. —

Jakaś tragedja kryła się w duszy jego.—

Po powrocie do Jarosławla zaczęliśmy tworzenie nowych placówek polskich. — Chodziło o zdobycie własnego gmachu pod „dom polski" i o średni polski zakład naukowy. —

Dzięki pomocy ś. p. Antoniego Jabłońskiego uzyskałem pozwolenie na otwarcie gimnazjum. —

Zorganizowaliśmy odczyty dla młodzieży i dla ludu.—

Po moim liście, wystosowanym do „Psów Jarosławskich", w imieniu zmarłych dzieci polskich, jeden z magnatów, znanych paskarzy jarosławskich, wynajął kilka will podmiejskich na ochrony dla dzieci To dobrodziejstwo swoje paskarskie, kazał sobie opłacić komornem niezmiernie wygórowanem. Robiąc umowę na piśmie i wiedząc o tem, że paskarz handlować będzie nadal willami i zechce odprzedać je komu innemu do umowy wstawiłem warunek, że termin dzierżawy upływa po zlikwidowaniu wszyskich skutków wojny wszechświatowej".

Przewidywania moje sprawdziły się. — Paskarz ziemię wraz z willami sprzedał towarzystwu fabryki „Treugolnik". — Zaproponowano mi, żebym natychmiast zrzekł się kontraktu dzierżawnego, ponieważ nowy właściciel ma zamiar rozpocząć budowę fabryki i przystąpi do rozbierania, zajętych przezemnie domów. —

Pełnomocnik Towarzystwa proponował z początku kilka tysięcy rubli odszkodowania na wynajęcie innych mieszkań pd ochronkę w mieście. —

Ze swojej strony, po naradzie z Zarządem Oddziału w Jarosławlu i Głównym Zarządem P. T. P. O. W. w Piotrogrodzie, postawiłem warunek, że



Ochronka w Jarosławiu № 4.

gotów jestem opróżnić mieszkanie, o ile w centrum miasta kupią nam dom, w którymbym mógł umieścić 300 dzieci uchodźców.—

Znaleźliśmy dom przy ulicy Iljińskiej, pod Nr. 19.

Towarzystwo „Treugolnik“ obiecało zapłacić wszystkie pieniądze. — Kiedy przyszło już do robienia aktu kupna wypłacili mi gotówką na ten cel 32.000 rubli, 23 lipca 1916 r. — Zabrakło nam jeszcze 5.000 rubli, których znikąd dostać nie można było.

Pan W., rejent miejscowy, polak, poradził mi udać się do znanego lichwiarza w Jarosławlu, jednocześnie wyraził jednak wątpliwość, czy ten zechce „księdzu katolickiemu“ pożyczyć. (Pan W. był to jeden z tych dwóch „ateuszów“ - polaków, którzy księży nienawidzili, i stale bojkotowali). — Zaprosił do swojej kancelarji tego lichwiarza i mówi mu: „Ksiądz ma zamiar kupić dom, jutro robi akt kupna, potrzebuje 5.000 rubli, możebyś pan mu pożyczył“. —

Lichwiarz zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy to ja jestem „polski pop“ i czy to ja się opiekuję temi dziećmi, które w amarantowych chusteczkach spacerują po Jarosławlu.

Posłyszawszy twierdzącą odpowiedź, wyjął 5.000 rubli, położył na stole i powiada: „Masz, idź i kupuj. A po zrobieniu aktu kupna wydasz mi odpowiednie dokumenta“.—

Dom kupiłem, urządziliśmy bardzo dużą salę zebrań i teatralną, miejsce dla bibljoteki parafjalnej i umieściliśmy wszystkie dzieci, zabrane z willi.

Oprócz P. T. P. O. W. na terenie Jarosławskim

działało jeszcze inne towarzyswo, w osobie swego delegata pana S.—

Człowiek rozumny i zacny, ale zasadniczo różnił się ze mną i z większością członków zarządu P. T. P. O. W. w zapatrywaniach, w jaki sposób należy pomagać wygnańcom.

Myśmy byli tego przekonania, że trzeba opiekować się dziećmi i młodzieżą, izolując ich zupełnie od wpływów rosyjskich. —

Dla starszych tworzyć warsztaty i wyszukiwać pracę. — Zapomogi zaś bezzwrotne wydawać tylko chorym i niezdolnym do pracy.

Pan S. był innego zdania — wręcz przeciwnego. — Miał to być pogląd ober - patrjotyczny, że trzeba wydawać zapomogę wszystkim, że uchodźcy nie powinni zupełnie pracować, bo są ofiarą rządu rosyjskiego. — Według tego poglądu i postępował, co naturalnie w najwyższym stopniu demoralizowało uchodźców, z których wielu piło, kradło, a pracować nie chciało. —

Dziewczęta polskie, nawet z pośród ludu wiejskiego, nie umiejące czytać, ani pisać miały ogromne powodzenie. —

Kiedyś przyszedł do mnie urzędnik z Izby Skarbowej i prosił o pozwolenie (!) dla jednej z takich dziewcząt na zawarcie z nim ślubu w cerkwi i z całą naiwnością mówił mi: „Chociaż ona „bieżenka", ani czytać ani pisać nie umie, jednak jest zgrabniejsza i ładniejsza od naszych pań, a co najważniejsze przecież to polka, dlatego chciałbym się z nią ożenić!" —

— Komitety rosyjskie, miejski i gubernjalny, a nawe żydowski były z nami w stałym kontakcie,

wzajemnieśmy sobie pomagali. — Komitet litewski, na czele którego stał ksiądz G. był zakałą i w kościele, i poza kościołem. — Kiedyś ten doktór teologji, ksiądz G. powiedział mi w zakrystji: „My, litwini, wolelibyśmy zostać dotąd poganami, niż od was polaków wiarę brać“. —

VII.

Metropolita Szeptycki.

W Jarosławlu spotkałem się poraz pierwszy z metropolitą unickim, Księdzem Arcybiskupem Szeptyckim, wywiezionym przez wojska rosyjskie ze zdobytego Lwowa. —

Niedaleko od kościoła wynajęto dla księdza Arcybiskupa bardzo przyzwoite mieszkanie, składające się z kilku pokoji. —

W jednym z nich ks. Arcybiskup urządził sobie prowizoryczną kapliczkę i tam odprawiał mszę św. — Otoczony strażą wojskową i policyjną w pierwszych dniach pobytu w Jarosławlu, nie mógł się nigdzie oddalać. — Ponieważ władze nie miały wyraźnego rozkazu z Piotrogrodu, jak mają uważać Metropolitę, czy jako jeńca wojskowego, czy cywilnego, i jedni, i drudzy z początku stawiali swoją straż.—

Po tygodniu pobytu w Jarosławlu ks. Arcybiskup zażądał, żeby mu pozwolono pójść do kościoła do spowiedzi. —

Pozwolili.

Ale, otoczyli strażą 4 policjantów w uniformie i 2 tajnej policji, przyprowadzili do mnie, do kaplicy. —

W czasie spowiedzi stali tak blizko koło nas, że musieliśmy bardzo cicho rozmawiać. —

Protesty nic nie pomagały. —

Po skończonej spowiedzi, nie mogliśmy ze sobą zamienić ani jednego słowa. —

Pojechałem, natychmiast, po spowiedzi do pana gubernatora ks. Oboleńskiego i w formie ostrej wypowiedziałem swe oburzenie. — „Pan, mówiłem mu, dałeś zgorszenie swoim własnym współwyznawcom, kiedy pozwoliłeś, a może i nakazałeś wodzić po ulicach metropolitę chrześcijańskiego w otoczeniu zgrai policji, jak gdyby jakiego zbrodniarza.—Pan uczysz swoich współwyznawców, jak oni mają postępować ze swoimi archirejami". — Nie przypuszczałem, że moje przepowiednie spełnią się, i że potem miejscowy „archirej", w czasie rewolucji bolszewickiej będzie prowadzony przez całe miasto do więzienia, by tam podzielić los tego samego gubernatora księcia Oboleńskiego. —

O naszej rozmowie pan gubernator napisał do Petersburga do ministerstwa i straż została natychmiast przy Metropolicie zamieniona i jeden tylko tajny policjant odtąd stale towarzyszył księdzu Arcybiskupowi. —

Mogliśmy się często widywać i dłużej ze sobą rozmawiać o kwestjach nadzwyczaj ważnych, dotyczących wyłącznie tylko spraw kościelnych. — Ksiądz Arcybiskup rozmawiał ze mną zawsze po polsku, ale ze służącym swoim zawsze po rusińsku. — Kiedy ja zacząłem rozmawiać z tym sa-

mym służącym również po rusińsku. Metropolita zachwycał się, że bardzo ładnie mówię po rusińsku, że widocznie doskonale znam ten język. —

Zachwyty swoje wypowiedział... prześliczną polszczyzną. —

Z długiego obcowania mojego z Arcybiskupem Szeptyckim, odniosłem wrażenie, że człowiek to głęboko wierzący, całą duszą oddany kościołowi, i gotów na wszelkie ofiary, żeby tylko nawrócić rosjan. — Nie waham się twierdzić, że ustalona opinja o Nim w Polsce daleką jest od prawdy istotnej. —

Kiedy w swoim czasie wyjdzie tom drugi powiększony, będę mógł i o tej sprawie jak i o wielu innych, z konieczności pobieżnie teraz traktowanych, znacznie więcej podać do ogólnej wiadomości. —

Wkrótce po awanturze mojej, zrobionej gubernatorowi Oboleńskiemu w obronie Arcybiskupa Szeptyckiego otrzymałem od biskupa Cieplaka pismo urzędowe za Nr. 807 z dnia 13 II 1917 r., treści następującej:

„Zwalniam księdza od obowiązków, które dzisiaj zajmuje i mianuję „kuratorem" kościoła w Taszkiencie, wkładając na księdza obowiązek zaspakajania potrzeb religijnych katolików całego Turkiestańskiego kraju". —

W kilka dni potem nadszedł list, w którym biskup pisał: „Proszę, Księdza, w Imię Chrystusa, ażeby jaknajprędzej wyjechał do Taszkientu i zrobił tam porządek". —

W pierwszych dniach marca 1917 roku, wyjechałem z Jarosławla.

VIII.

„Omnia mea mecum porto".

Spakowawszy dwa kuferki, wyruszyłem w drogę do Taszkientu. —

Poraz który to już była zmiana miejsca, pomyślisz?

Służę odpowiedzią. —

Oto wykaz parafji i kościołów, którymi zarządzałem, krócej lub dłużej, albo byłem wikarjuszem.

Kopajgród
Łuczyniec
Bracław
Szarogród
Czerniowce
Mukarów
Smotrycz
Mińkowce
Żwańczyk
Zasław (w klasztorze)
Antoniny
Zasław (w klasztorze)
Chwastów
Zasław (w klasztorze)

Nieśwież
Skurcze
Zasław (w klasztorze)
Chwastów
Zasław (w klasztorze)
Piatyhory
Szulaki
Niewirków
Ludwipol
Wiszenki
Sokól
Rożyszcze
Pików
Żytomierz
Zasław (w klasztorze)
Jarosławl
Kostroma
Wołogda.

Jeden raz tylko w ciągu tego czasu prosiłem biskupa, żeby mnie przeniósł na inną parafję! Tamte zmiany były, jak wyżej o tem już mówiłem, na żądanie władz świeckich.

Kiedy teraz Ksiądz Biskup Cieplak, mogąc rozkazywać, prosił mnie „w Imię Chrystusa", ażebym pojechał do Taszkientu, bo chociaż już wolno mi było wracać do rodzinnej mojej djecezji, nie mogłem odmówić życzeniu Biskupa.

W pierwszych dniach marca, już po wybuchu rewolucji i obaleniu caratu, jechałem przez Moskwę i Samarę, do Taszkientu.

W Moskwie musiałem się zatrzymać kilka dni w hotelu, ponieważ do żadnego pociągu nie mogłem się dostać.



Szpitalik dla dzieci w Jarosławlu.



Zbuntowani żołdacy, pijani wolnością i wódką, zapełniali wszystkie wagony pierwszej i drugiej klasy, a nawet na dachach wagonowych pełno ich było. Dopiero czwartego dnia, kiedym przyszedł na dworzec, tragarze mi powiedzieli, że rzeczy moje już są w wagonie, pociąg za parę minut odchodzi i muszę natychmiast wsiadać.

Dosłownie siłą wcisnęli mnie w tłum żołdaków, stojących w wagonie.

Kiedy pociąg ruszył, spostrzegłem, że nietylko podręczny bagaż, ale, co najważniejsza, wszystkie dokumenta moje zostawiłem w hotelu.

Stojąc cztery dni w jednem miejscu wagonu II klasy, nie mogąc dosłownie ani kroku ruszyć, dojechałem do Samary zupełnie chory.

Poiwedziano nam, że dalej pociąg nie pójdzie, wszyscy więc wysiadać musieli.

Jakiś poczciwy tragarz, widocznie katolik, zobaczył, że jestem chory i, dowiedziawszy się dokąd jadę, zabrał moje rzeczy i, zaprowadziwszy w sam koniec stacji. na tor zapasowy, gdzie stał tylko jeden wagon II klasy, zamknął mnie w przedziale, upewniając, że ten wagon dopiero po 24 godzinach zostanie dołączony do kurjerskiego pociągu, który wyruszy do Taszkientu.

Bez namysłu zgodziłem się na wszystko, byleby tylko móc wyspać się, bodaj choć kilka godzin.

Obudziłem się po 24 godzinach, kiedy wagon już był w ruchu, a pociąg szybko dążył w kierunku Taszkientu.

Obudził mnie, właściwie nie ruch pociągu, ale hałas w przedziale i wstrętny zapach tytoniu.

Otwarszy oczy, zobaczyłem kilkunastu żołnierzy. Jeden z nich coś opowiadał z wielkiem zajęciem. Kiedy skończył, odezwał się głos inny: „Nu, Smirnow, rozpowiedz no jeszcze raz, jak to było". — „A oto tak, powiada Smirnow, przywiązaliśmy mu sznury do głowy, rąk i nóg, i każdy zaczął w swoją stronę ciągnąć, a to bydlę przeklęte, wrzeszczało w niemożliwy sposób. Stanąłem koło głowy i biłem go w pysk, żeby nie krzyczał. Tak się zmęczyłem, ażem spotniał".

Toś głupi, my swemu dowódcy inaczej zrobiliśmy. Kazałem mu stanąć na baczność, nożem go po gardle, nogą w brzuch, ten się przewrócił i zdechł, a ja się nie zmęczył i nie spotniał".

„Ba, mówi Smirnow, aleś nie widział, jak to wygląda, kiedy odrywają po kolei ręce, głowę, potem nogi i jak takie bydlę wreszczy". Tu, po chwili dodaje: „Trzebaby zrobić tak niemcowi, który jedzie w wagonie z nami i podsłuchuje nasze rozmowy".

W pierwszej chwli nie przypuszczałem, że te słowa ostatnie stosują się do mnie. Ale, kiedy raz i drugi, i trzeci kazano powtarzać Smirnowowi jedną i tą samą historję i zawsze zakańczano opowiadanie groźbą pod adresem „niemca-tłuściocha", zrozumiałem, że to się stosuje do mnie, jednego, obcego wśród nich.

Kiedy już zdecydowałem się zabrać głos i powiedzieć kim jestem, Smirnow, tęgi brunet, brutalnie szarpnął mnie za rękę i w powodzi najordynarniejszych, wyszukanych złorzeczeń i wymyślań, nazywając mnie szpiegiem-niemcem, zażądał pokazania dokumentów.

Błyskawicznie usiadłem po turecku i zmierzywszy groźnie oczami Smirnowa, również nie salonowymi wyrazami, wypełniwszy wstęp mego przemówienia, zaczynam wmawiać w Smirnowa, że on przecież mnie doskonale zna i wie, kto ja jestem, bo ja go doskonale znam, że on się nie nazywa Smirnow, a Johan Faber. Wmawiam w niego, że jest mieszkańcem wsi Niewirkowa, Rówieńskiego powiatu, Wołyńskiej gubernji, że ja, kiedyś, u niego kupowałem krowę.

Smirnow, który był już zdążył wyjąć nóż i wzniósł go z okrzykiem: „Wypatroszyć tołstopuzawo niemca", kiedym mu w ślepie huknął: „Ty jesteś niemiec-kolonista, sam szpieg niemiecki, zobaczyłeś, żem ciebie poznał i dla odwrócenia oczów od siebie na mnie rzucasz takie hańbiące podejrzenie", Smirnowowi nóż z rąk wypadł, zwraca się do kolegów, żegna się i zaczyna przysięgać i zaklinać, że mnie w życiu nigdy nie widział. Do mnie zaś wystąpił z pretensją: „dlaczego ja do niego prydrał się" — przyczepił się.

Widząc efekt fortelu, wymyślam coraz inną historję, wmawiając w Smirnowa rozmaite fakta naszych wspólnych spotkań, kórych naturalnie nigdy nie było. Jednocześnie przez drzwi spoglądam na korytarz wagonowy, szukając raunku w beznadziejnej sytuacji.

Wreszcie, zobaczyłem przechodzącego oficera.

Krzyknąłem do niego: „Panie oficerze proszę wejść ja tu złapałem szpiega niemieckiego". I żołnierze zaczęli krzyczeć, że oni **mnie** złapali i ja to właśnie jestem szpiegiem niemieckim. Groźnie doma-

gali się od oficera, żeby zeżądał odemnie pokazania dokumentów.

Dokumenta wszystkie zostały w Moskwie!

Miałem tylko list prywatny biskupa Cieplaka, pisany do jednego z wyższych wojskowych do Taszkientu.

W liście było na początku zdanie tej treści: „Okaziciel niniejszego listu jest naznaczony na administratora kościołów w Turkiestanie“. Oficer, moskal, jak mi potem sam mówił, wyobraził sobie, że administratorem kościołów tak wielkiego kraju, może być tylko Metropolita. Stanął przedemną na baczność i z najgłębszą pokorą wyrecytował: „Wasze wysoko-preoświaszczeństwo“, przepraszam za naszych żołnierzy“.

Smirnow, słysząc taki tytuł, nachyla się, i z błyskawiczną szybkością głową swoją wali w brzuch oficera....... wyskakuje z wagonu i ucieka.

Za chwilę wszyscy opuścili przedział, a jeden z nich, wychodząc powiedział: „I któżby to myślał i przypuszczał, że kolega Smirnow, to nie Smirnow, a Johan Faber“!

IX.

Jak widziałeś, czytelniku, Bóg tak kierował, że nie jedną parafję miałem pod swoim zarządem dłużej czy krócej. W rozmaitych warunkach zastawałem je, jak na Kresach tak też i w Centralnej Rosji. Ale to, co zobaczyłem w Taszkiencie, było najgorsze ze wszystkiego, na com patrzył.

Ksiądz Pranajtis, mój poprzednik, już nie żył. W czasie 13-letniego pobytu swojego i misjonarskiej działalności wśód sartów nawrócił jednego tylko sarta.

Człowiek ogromnej nauki, wielkiej świątobliwości życia.

W całym Turkiestanie potworzył komitety dla budowy kościołów i kaplic mniejszych, albo większych.

Wielka to jego zasługa!

Ale jak prędko stworzył, tak też jeszcze prędzej ze wszystkimi komitetami był na stopie wojennej. Przyjechawszy do Taszkientu, dowiedziałem się, że budowę kościołów, lub kaplic już rozpoczęto:

w Taszkiencie
„ Aschabadzie,

w Kizilarwacie,
„ Skobielewie,
„ Wiernym,
„ Krasnowodzku,
„ Kopalu,
„ Samarkandzie,
„ Termezie,
„ Czardżuju i
„ Merwie.

W niektórych tych miejscowościach, jak naprzykład w Krasnowodzku, istniał tylko komitet i kaplica..... na papierze.

Parafja miała 1700 wiorst koleją w jedną stronę, a w stronę Wiernego 1017 — końmi, albo na wielbłądach.

Do pomocy miałem tylko jednego wikarego.

Planów na budowę kościoła żadnych!

W parafji anarchja! W kościele nikt nie bywa! Podzielili się wszyscy na partje i partyjki, nawzajem zwalczające się, ku zgorszeniu nietylko prawosławnych, ale nawet sartów.

Ksiądz Pranajtis kierował budową kościoła sam

Ostatni projekt jego był taki: front kościoła podziemnego miał wejście ozdobione płaskorzeźbami, przedstawiającemi Adama i Ewę w raju, nawet bez listków figowych. Na krużganku miały stanąć figury patrjarchów i proroków, wyżej apostołowie potem męczennicy. A na szczycie 3 krzyże. Pod krzyżem Chrystusa miał klęczeć ksiądz Pranajtis a na dwóch innych, krzyżach — łotrów, miały wisieć..... podobizny dwóch syndyków, którzy prowadzili wojnę z proboszczem.

Według takiego fantastycznego projektu na dalszą budowę kościoła zgodzić się nie mogłem.

Ogłosiłem w pismach, że objąłem parafję i zwołuję wiec parafjalny.

Zaprosiłem imiennie przedstawicieli wszystkich partji, kłócących się ze sobą. Wykorzystałem też, że wśród jeńców, internowanych w Taszkiencie, było 8 architektów, a między nimi, znakomity architekt wiedeński, Frank. Rozpatrzyliśmy wszystkie jakie tylko były szkice budowy kościoła i jednogłośnie przyszliśmy do przekonania, że żaden z nich nie nadaje się.

Kiedy poraz drugi zebrali się panowie architekci, zaaprobowali szkic architekty Pańczykiewicza.

Najważniejszem jednak zadaniem moim było pogodzenie, kłócących się między sobą, parafjan.

Rzymsko-katolickie towarzystwo dobroczynności, założone przez ks. Pranajtisa, rozpadło się na 2 obozy, nawzajem zwalczające się, bez przebierania w środkach i sposobach.

Ks. Pranajtis wystąpił ze skargą sądową przeciw opozycji, która mu była zabrała gwałtem pieczęcie i książki towarzystwa, opozycja zaś zaskarżyła ks. Pranajtisa do gubernatora, czyniąc mu najpotworniejsze zarzuty.

Dwa samozwańcze komitety budowy kościoła tak się między sobą kłóciły, że w rezultacie roboty wstrzymano. Robotnikom nikt nie chciał płacić; za wzięte materjały na budowę nie zapłacono %% za długi, zrobione na budowę kościoła, w czas nie uregulowano i lada dzień trzeba było się spodziewać, że kościół wraz z placem zostanie wystawiony na licytację.

Zrozumiałem, dlaczego to ks. Biskup tak mnie naglił, w „Imię Chrystusa“, żebym jechał „jaknajprędzej zrobić porzadek!“

Ku chwale moich parafjan taszkienckich, muszę tu zaznaczyć, że, po odbytym wiecu parafjalnym, całkowicie poddali się kierownictwu kapłana.

Jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej, zamilkły wszystkie spory i swary!

Bardzo byli wdzięczni i zadowoleni, że olbrzymią salę na probostwie oddałem do ich dyspozycji. 5 kwietnia odbył się tam wiec polski, dla wyboru zarządu „Domu Polskiego“; 6 kwietnia wybrano komitet budowy kościoła; 9 kwietnia nastąpiła zgoda w łonie towarzystwa dobroczynności i wybrano nowy zarząd, a mnie, jako prezesa; 8 kwietnia wiec wojskowych polaków; 12 kwietnia — inteligentnych pracowników polaków; 13 kwietnia wiec jeńców — polaków.

Z zachwytem patrzyłem, jak, na wszystkich tych zebraniach, biedni moi bracia, wymęczeni długoletnią walką, z największą uległością poddali się wszystkim moim żądaniom, stawiając jeden tylko warunek, żebym został w Taszkiencie na stałe.

Przyznaję, po ludzku sądząc, wszystko przemawiało za tem, żebym został. Biskup pisał, że jest dla mnie z zupełnem zaufaniem i, że jeżeli zostanę, to mi przyszle do pomocy kilku księży.

Parafjanie, na samym początku, wykazali mi tyle serca i życzliwości, że więcej nad to od nikogo, nawet ludu Podolskiego, który tak kocha swoich kapłanów, żądać nie mogłem.

Pod względem materjalnym było świetnie! Ksiądz Pranajtis dla swego następcy zostawił pro-

bostwo kompletnie umeblowane. Prześliczne perskie dywany, zdobiły salon i gabinet proboszcza, była też olbrzymia bibljoteka. Bardzo to mnie zachęcało zostać, ponieważ w tułaczem mojem życiu, nigdy nie mogłem się zdobyć, ani na meble, ani tembardziej na większą bibljotekę.

Głos jednak sumienia mówił, że na takie poważne stanowisko, po człowieku tak wielkiej nauki, jak ks. Pranajtis, ja nie nadaję się.

W dodatku, niezmiernie gorący klimat działał ogromnie na moje serce. Już w końcu kwietnia musiałem siedzieć, od 9 do 5-ej godziny popołudniu, w swoim gabinecie, przy zakrytych mokremi prześcieradłami oknach.

Napisałem o tem do ks. Biskupa Cieplaka, prosząc o jego rezolucję. Jednocześnie biskup Łucko-Żytomierski, Dubowski zażądał mego powrotu do rodzinnej djecezji.

W początkach maja wyjechałem z Turkiestanu.

Dwa miesiące pobytu w parafji taszkienckiej, ustawiczne obcowanie z parafjanami, wykazały mi najdobitniej, jaki był nikły rezultat pracy kilkunastoletniej, missyjnej księdza Pranajtisa w Turkiestanie. Jak wyżej powiedziałem, nawrócił tylko jednego sarta.

Mieszane małżeństwa były na porządku dziennym. Kłótnie i swary w kolonji polskiej, dosłownie — bojkot kościoła i nienawiść do kapłana, oto rezultaty, po 13 latach pobytu w Turkiestanie działalności księdza Pranajtisa.

Kto temu winien?

A raczej co tego przyczyną było?

Ksiądz Pranajtis, były profesor akademji Pe-

tersburgskiej, człowiek olbrzymiej wiedzy i wielkiej świątobliwości życia, zdawałoby się, że miał wszystkie kwalifikacje ku temu, żeby i miłość ludzką i zaufanie parafjan zdobyć, a wpływem swoim, nauką i świątobliwością rozszerzyć ideę kościoła katolickiego w Turkiestanie.

Dlaczegoż mu się to nie udało?

Że chciał szczerze i uczciwie to zrobić o tem nie wątpię.

Ksiądz Pranajtis popełnił błąd ten sam, który popełniali i popełniają do dzisiaj i w Polsce księża, którym się zdaje, że budowa kościoła — budynku jest najgłówniejszem zadaniem kapłana. Zabierają się do pracy, nie mając grosza w kasie; dnie i noce myśl zajęta, skąd dostać pieniędzy na budowę. Ciągłe wojny toczą z parafjanami, o ofiary, a oddawszy się całkowicie i niepodzielnie sprawie budowy kościoła materjalnego, zaniedbują kościół duchowy.

Zrażają w ten sposób do siebie wierzących, od których domagają się składek i wierzących, dla których bardzo często brak im czasu.

Dzieje się to, zwłaszcza, tam, gdzie ponad siły miejscowej parafji, chcą budować „bazyliki".

Błąd ten zrobił i ksiądz Pranajtis. Wspaniała bazylika, którą zaczął budować w Taszkiencie, i ciągle według coraz nowszych kilkunastu własnych koncepcji, przebudowywał, począwszy od fundamentu, pochłaniała olbrzymie, zbierane wśród parafjan, jak też i nadsyłane ze wszystkich stron świata.

Nie poprzestając na tem, ksiądz Pranajtis, jednocześnie zaczął budowę kilku kościołów w innych miejscowościach Turkiestanu, mając do po-

mocy zwykle tylko jednego bardzo młodego, niedoświadczonego w tych sprawach, wikarjusza.

Drugim powodem, były olbrzymie przestrzenie na tysiące wiorst, gdzie rozrzuceni polacy po kilka, a czasem po kilkanaście, lat nie widzieli kapłana.

Oto były powody, dla których praca ks. Pranajtisa pod względem duchowym i moralnym przyniosła słabe rezultaty, chociaż zostawiła pamiątki materjalne w postaci kilku rozpoczętych kościołów.

Niezmiernie madrą rzecz stworzył, ale mało wykorzystał ks. Pranajtis.

Była to kaplica — wagon.

Mając do swego rozporządzenia, na każde zawołanie, kaplicę — (wagon) i drugi wagon II klasy z własną nawet kuchenką, ks. Pranajtis rzadko objeżdżał swoją parafję, najczęściej wyręczając się młodym wikarjuszem.

W mojem jednak przekonaniu przedewszystkiem trzeba było jaknajczęściej wykorzystać kaplicę — wagon, przy kórej powinienby był być stały kapelan, a drugi wikarjusz powinienby mieć za zadanie jeździć na wielbłądach do m. Wiernego i z powrotem co najmniej 4 razy do roku.

Gdyby życie parafjalne w Taszkiencie i w całym Turkiestanie było tak zorganizowane, nie byłoby, takich wypadków, jaki naprzykład ja tam miałem przed swoim wyjazdem.

Hen, gdzieś daleko o 700 wiorst, z zapadłego kąta, z nad traktu pocztowego, idącego z Taszkientu do Wiernego, przyjechała do mnie młoda, inteligentna panienka, która po polsku bardzo dobrze

mówiła, ale księdza katolickiego w życiu swojem widziała, raz tylko przy chrzcie, kiedy była malutką

Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości w gimnazjum, przyjechała do Taszkientu do.... pierwszej spowiedzi.

Chyba święci się tak modlą, jak to biedne dziewczę modliło się, słuchając pierwszej w życiu mszy świętej!

Przed odjazdem zwróciła się do mnie z prośbą: „czy nie mogłaby poraz drugi jeszcze się wyspowiadać... za matkę swoją staruszkę, która jej powiedziała wszystkie swoje grzechy i upoważniła, żeby w jej imieniu wypowiedziała te grzechy kapłanowi, otrzymała rozgrzeszenie....... i przywiozła jej Komunję Świętą“.....

Gdyby proboszcz więcej zajęty był budowaniem kościoła w duszach ludzkich, niż budową bazyliki, która i do dzisiejszego dnia nie jest skończoną, nie byłoby takich wypadków.

Winni też byli i parafjanie, którzy, osiadłszy, gdzieś daleko od kościoła, nietylko nie poczuwali się do obowiązków bywać w parafjalnej świątyni, ale i niejeden adresu swego nie przesłał, ażeby ułatwić proboszczowi nawiązanie jakiego bądź kontaktu.

Wszystkie wiadomości o miejscu zamieszkania katolików trzeba było zbierać przy pośrednictwie policji, która nie spieszyła wcale z nadsyłaniem spisów.

A kiedy, wreszcie, ksiądz, pożądany tak bardzo, wykaz swoich parafjan otrzymał, to się rychło przekonywał, że był albo niedokładny, albo wpisani już zdążyli przenieść się do innej miejscowości

Tak było nietylko w Turkiestanie, ale prawie w całej Centralnej Rosji.

Zdawało mi się, że życie parafjalne potrafiłbym był zorganizować w Turkiestanie, lepiej od ks. Pranajtisa, ale dorównać mu ani w tej świątobliwości życia, którą się wyróżniał tak wybitnie, ani też w tej głębokiej nauce, którą wszystkim imponował, nie potrafiłbym i ta okoliczność przedewszystkiem wpłynęła na to, że w pierwszych dniach maja 1917 roku, wyjechałem z Turkiestanu do swojej djecezji Kamienieckiej, po 5-cioletniej tułaczce w Rosji.

Koniec Części II-ej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

BAR.

I

Podole.

W pracy mojej kapłańskiej i społecznej starałem się postępować w myśl słów Mickiewicza: „Potem poznasz wielkiego człowieka w tłumie, że się bierze do tego, co wykonać umie".

Uważałem to sobie za punkt honoru osobistego w ciągu całego życia starać się o **ile tylko odemnie** to zależało, „być wielkim" wedle tej mądrej rady Wieszcza.

Kiedy, po moim powrocie z Rosji, do rodzinnej djecezji, ks. Biskup Dubowski zaproponował do wyboru, albo probostwo św. Ignacego w Kijowie, albo kościół Dominikański w Kamieńcu, podziękowałem i prosiłem o parafję ludową.

Zostałem mianowany proboszczem w Barze na Podolu.

Podole! Drogie, kochane strony!

Ileż to razy, chodząc nad brzegiem Wołgi, patrzyłem na mewy, latające za parostatkami, jak z mętnej wody czerpały żer dla siebie. Ich krzykom wtórowały dzikie śpiewy: „Wołga, Wołga mat' rodnaja!"

Serce się krajało z bólu, że tylu polaków, braci moich, na wzór tych mew, czerpie chleb dla siebie wśród mętów życia rosyjskiego.

Tęsknota za krajem przygniatała duszę, a w uszach brzmiała inna pieśń melodyjna:

„Gdyby orłem być,
I lot sokoli mieć.
Skrzydłem orlem, lub sokolem,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć!“

Marzenia spełniły się!

I kiedy łany podolskie pokrywały się złotym kobiercem, dojrzewających zbóż, a sady ozdobiły się kwieciem, jechałem na Podole: „tamtem życiem żyć!“

Jakże mi tęskno było i spieszno do tego gniazda rodzinnego — starego wiejskiego dworu, który poważnie się rozłożył u brzegów Niemii.

Jak pragnąłem stanąć znowu pod starą lipą stuletnią, co rosła koło ganku, chroniąc od promieni słonecznych pod konarami swoimi małego przedstawiciela już 5-ej generacji....

Dziś.... żydowskie bachory Komitetu bolszewickiego tam harce wyprawiają!

A może, na opał ją ścięto wraz ze stuletniemi alejami grabowemi i drzewami owocowemi!

Tak byłem pewien, że obalenie caratu tylko na dobre wyjdzie wszystkim, zwłaszcza, nam, polakom, że barbarzyńskie czyny rewolucji rosyjskiej nie znajdą podatnego gruntu w duszach ludu, że mi i przez myśl nie przeszło, że rodzinne gniazdo trzeba będzie tak prędko na zawsze opuścić!....

* * *

Propozycja biskupa objęcia parafji Barskiej dogadzała mi bardzo.

O 22 wiorsty od miasta mieliśmy niewielki mająteczek, Szepinki, gdzie mieszkała matka moja ze starszym chorym bratem.

24 maja 1917 r. byłem już na stanowisku w Barze. Jakże się czułem szczęśliwy, że znowu jestem w kraju, w swojej djecezji wśród kolegów i ludu, który tak dobrze znałem.

A jeszcze szczęśliwszy, że otwierało się pole do pracy dla sprawy kościoła i narodowej.

* * *

W BARZE.

Do parafji należało kilka domów obywatelskich. W Wojnaszówce Ostolscy, w Iwanowcach, trzej bracia Rożałowscy i Hałuszczyński.

W fabryce cukru, w Barze, wszyscy officjaliści byli żydzi, z wyjątkiem urzędnika Sokołowskiego.

W miasteczku 2 aptekarzy i 2 lekarzy — żydów. Potem przybył lekarz, cioteczny brat mój, doktór Łążyński. Adwokat, Or. ożeniony z moskiewką, urzędniczka na poczcie panna Sozańska, dzierżawca sąsiedniego majątku, Starorypiński Stanisław, półinteligent pewien, mówiący po polsku, ale prawosławny i określający swoją narodowość stosownie do potrzeby i chwili, jak adwokat Or. i blisko 8,000 rozrzuconych w kilkunastu wioskach, katolików, mazurów, rolników.

W mieście było gimnazjum żeńskie, szkoła realna, dwa wyższe początkowe zakłady naukowe, szkoła rzmieślnicza, 3 cerkwie, klasztor prawosław-

ny żeński i stara synagoga żydowska, a nad nimi górował piękny, nowy kościół katolicki.

Inteligencja rosyjska składała się z wyższych urzędników i popów.

Dla nikogo już strasznymi nie byli. Sami bali się wszystkiego, oczekując z dnia na dzień zmian politycznych, zwłaszcza popi, których podpora — car, nie istniał.

Prawosławia nie bronił, ani policjant, ani żandarm! Odrazu stracili wszelki autorytet, wpływ i znaczenie, tak poza cerkwią, jak i w cerkwi.

Wręcz odwrotnie było z duchowieństwem katolickiem.

Ani w kościele, ani poza kościołem, nikt nie szpiegował, nie donosił, nie psuł roboty i nietylko nie przeszkadzał w pracy, ale przeciwnie ci, którzy dawniej prześladowali, chcąc zamanifestować swoje przekonania postępowe, starali się kapłanowi katolickiemu okazywać wyjątkowy szacunek i wyróżniać go wobec własnego duchowieństwa prawosławnego.

Niestety, ta sielanka trwała zbyt krótko, bo, zaledwie, tylko 3 miesiące.

Parafja Barska znana była z tego, że lud, własnym kosztem, zbudował olbrzymią piękną, murowaną świątynię. Kapłanów szanował i słuchał.

W takich warunkach rozpocząć pracę nie było trudno.

* * *

Przeszłe tułacze życie pozwoliło mi dobrze poznać duszę moskala, dla wielu pełną zagadek i niespodzianek.

Jasnem było dla mnie, że stan taki, jaki wytworzył Kiereński długo nie potrwa. Powiedziałem więc sobie: „Carpe Diem — korzystaj z chwili! Do roboty! Anarchję w państwie, wszechstronnie wykorzystać dla sprawy kościoła i narodowej!".

Za czasów cara nigdy z moimi przekonaniami nie ukrywałem się, ani w życiu prywatnem, ani w publicznych wystąpieniach, tembardziej więc teraz, po rewolucji.

Nietylko roztropność i serce mówiło: śpiesz się ale przemawiały do mnie, jak gdyby żywym głosem, walące się mury zamku Królowej Bony i ruiny klasztoru ks. Marka, z których rusini cegiełkę po cegiełce wyciągali, na budowę pieców u siebie.

Świątynia i klasztor bazyljański, gdzie niegdyś było gimnazjum polskie, a teraz siedziały mniszki prawosławne, wołały: „Tu Polska była i być musi". Sąsiednia o miedzę cerkiew, przerobiona z klasztoru i kościoła dominikańskiego, biała nazewnątrz, jak gdyby prosiła o biały habit dominikański.

A więc do roboty!

* * *

ORGANIZOWANIE PRACY

W Barze zastałem dwa domy plebanjalne: stare probostwo i drugi dom nowy, brdzo obszerny. We wrześniu, 17 roku, szkółkę początkową przekształcam w przygotowawczą do gimnazjum. W rok potem 10.IX.18 r. w tym samym domu na probostwie zakładam gimnazjum polskie.

60 dzieci z ludu i 4 chłopaków inteligencji miejscowej zajmują ławki szkolne.

Na poczekaniu tworzę personel gimnazjum z ludzi pełnych dobrej woli.

Doktór Łążyński, Stella i Ludmiła Kloor, Stanisława Sokołowska, Stanisława Newen i ja, jako założyciel i dyrektor gimnazjum, wystarczaliśmy najzupełniej, by we wstępnej i pierwszej klasie gimnazjalnej można było prowadzić wykłady według programu polskich szkół.

Uczniom przy otwarciu gimnazjum uroczyście ponaszywaliśmy galoniki na kołnierzykach, które, chociaż nie bardzo pasowały do postołków, ale wbijały w dumę i wzbudzały zazdrość u tych, którzy egzaminów nie zdali.

Do dziś przed oczami mi stoi dwóch dzielnych chłopaków wiejskich, z których jeden 6, a drugi 8 wiorst codziennie, w czasie najokropniejszej nawet pogody i zamieci śnieżnej, przychodziło z wiosek swoich bardzo regularnie na lekcje.

Zupełnie się nie ukrywając przed władzami, w krótkim czasie, zorganizowałem 11 szkółek początkowych, dzięki kursom dla nauczycieli, które w czasie wakacji urządziłem na probostwie.

W mieście powstało koło „Macierzy Szkolnej" i oddział „Stronnictwa pracy narodowej na Rusi". Oba jednak te towarzystwa wiodły żywot suchotniczy dla braku odpowiednich sił i środków materjalnych.

Kto mi w pracy pomagał?

Na obywatelstwo sąsiednie dużo rachować nie mogłem. Jeden tylko dom nigdy nie zawiódł, to dom Mieczysława Różałowskiego.

Kilka pań: Łuckiewiczowa, Brzezińska, Dobrowolska, Jadwiga Rożałowska, S. Sokołowska i trzy



Uczniowie i ciało nauczycielskie gimnazjum polskiego w Barze.

oh f

KL.

panny Kloor, robiły, co mogły, a nieraz więcej niż mogły. Nadto nikt nic robić nie chciał. Pan O., obywatel z W. otwarcie występował przeciwko organizowaniu szkół polskich i nawet 1 rubla na szkołę dać nie chciał.

* * *

POCZĄTKI MASOWEGO OBŁĘDU.

Zaledwie zacząłem organizować życie religijne i narodowe w parafji, po kilku miesiącach, jedynych spokojnych, w ciągu całego życia kapłańskiego (maj, czerwiec, lipiec 17 r.), w pierwszych dniach sierpnia doszły do nas, do Baru, wiadomości, że wojska rosyjskie opuściły front. Idą w stronę Baru, po drodze palą zboża w stertach i niszczą dwory. Zabijają obywateli, gwałcą kobiety i że żadna siła nie jest w stanie powstrzymać tej strasznej nawałnicy zbuntowanego, pijanego żołdactwa.

Pułk gwardji zdążył już spalić kilka dworów i kilkaset stert zboża i, idąc od Zbrucza do Baru, zatrzymał się pod Zamiechowem. Zrabowawszy sąsiednie majątki, dobrali się do składów wódki w gorzelni.

Pito do utraty przytomności. Niektórzy w kadziach z wódką kąpali się, inni znowu, dla zabawy, oblewali siebie wiadrami wódki.

Zwołano chłopów z całej wsi, mężczyzn i kobiet i rozpoczęły się orgje pijanego tłumu.

Zapewne ktoś z obecnych w gorzelni chciał zapalić papierosa, bo z niewiadomej przyczyny, nastąpił straszny wybuch.

Ilu ludzi zginęło tego już nikt się potem nie

dowiedział, bo nawet kości popaliły się. Tylko kilkaset ostróg kawaleryjskich, znalezionlych w popielisku, świadczyło o tem ilu zginęło żołnierzy.

Za gorzelnią stały ogonki chłopstwa z wiadrami pełnemi wódki; bawili się, urządzając sobie śmigusa. Kiedy nastąpił wybuch, jednocześnie zaświeciły straszne, żywe pochodnie. Kobiety, stojące najbliżej wsi, wyjąc z bólu zaczęły uciekać do chałup. W progu padały na to, by zginąć w palącej się chacie.

Ta straszna katastrofa, zapewne, musiała wpłynąć uspakająco na cały pułk, bo kiedy przyszedł do Baru, zachowywał się względnie przyzwoicie. Wielkich rabunków nie było. Widziałem jak żołnierze wynosili po kilkadziesiąt butelek wódki, ze składów monopolowych, i sprzedawali żydom za 10, 20 kopiejek, albo też manifestacyjnie, z przekleństwami, rzucali na ziemię. Ale też widzałem, jak jeden z żołnierzy postawiwszy na murze butelkę z wódką, żegnał się przed nią i bił pokłony, obejmował jakby główkę własnego dziecięcia i tkliwie ją całował.

Dowódca tego pułku, człowiek z wyższem, akademickiem wykształceniem użalał się przedemną, że niema możności wywierać żadnego wpływu na żołnierzy, bo nie wie dnia, ani godziny, co go samego czeka.

Wszystkiem rządzi komitet.

Przeczucie go nie omyliło. Na wiecu ogólno-żołnierskim postanowiono dokonać wyboru dowódcy pułku.

Rozpoczęły się mowy. Wszyscy zgadzali się,

że dowódzcą pułku musi zostać ktoś, kto najlepiej jest obeznany ze sprawami pułkowemi.

Po długich debatach przyszli do przekonania, że jedynym człowiekiem, który się nadaje na to stanowisko i który musi być najlepiej obeznany ze sprawami pułkowemi jest.... ordynans pułkownika.

Nie pomogły prośby i przedstawienia ordynansa, że on nie chce i nie może zostać dowódcą pułku, bo ani czytać, ani pisać nie umie. Komitet kazał! Musiał przyjąć „zaszczyt". Wtedy podszedł do niego pułkownik, stanął na baczność i oświadczył publicznie, że się oddaje pod rozkazy byłego swego ordynansa!

Komitet chciał pułkownika naznaczyć na ordynans do nowego dowódzcy pułku, ale, że ordynansów skasowano, został odesłany do kuchni: „stawit samowary".

W 3 dni potem, sprytny ordynans, któremu godność dowódzcy pułku nie imponowała, porozumiawszy się z pułkownikiem, zabrał kasę pułkową i uciekł.

* * *

W okolicach Baru rozpoczynał się sądny dzień. Nie mieli jeszcze pełni bolszewickiego tupetu niszczycielskiego, ale już było widać, że nabierają wprawy.

Byliśmy gotowi na wszystkie niespodzianki. Codzień na horyzoncie świeciły łuny, a poczta pantoflowa, żydowska, przynosiła coraz gorsze wiadomości. Pod Latyczowem wymordowano całą rodzinę polską, kobietom odcięto piersi, powycinano

brzuchy, pod Mohylowem zmasakrowano w bestjalski sposób rządcę folwarku. Co chwila oczekiwałem hiobowych wieści o rodzinie i parafjanach moich.

Matka moja kazała jaknajprędzej wymłócić zboże, złożone w stertach na toku. — Stała, właśnie, przy młocarni, kiedy podeszło dwóch żołnierzy z karabinami i zobaczywszy, że młócą groch, wpadli we wściekłość: „Co to, znowu groch! tyle nam go dawali na froncie ciągle, tyleśmy go spalili w stertach, a on jeszcze jest! Znowu nas grochem karmić będą.—Dawaj zapałki! Zaraz spalić!"

Robotnicy struchleli.—Matka moja, staruszka, typowa kresowa niewiasta polska, zawsze odważna i pełna poświęcenia, podchodzi do tych bandytów i spokojnie im mówi: „Dam wam zaraz cały worek grochu, sprzedacie go żydowi i kupicie sobie wódki, jeśli spalicie, wam nic się nie dostanie, i ludzi pozbawicie zarobku przy młóćbie".—Trafiło to do przekonania.—

Wzięli worek grochu i odeszli.

W parę dni potem jadę do Iwanowiec, do majątku obecnego dowódzcy 6 pułku ułanów, Mieczysława Rożałowskiego.

Dowiaduję się; że pani domu jest na toku przy młoćbie.

Idę tędy.

Przedemną kilkunastu podpitych żołnierzy z karabinami w ręku idzie i tak głośno rozmawiają, że całą rozmowę ich słyszę.

Opowiadają sobie o „bohaterskich" czynach.

ile to dworów już spalili i z ilu to kobietami się zabawiali. W zakończeniu decydują: „A ta jeszcze tutaj młóci zboże! Trzeba z nią „skończyć“.

Przyspieszam kroku, żeby uprzedzić o grożącem niebezpieczeństwie. Podchodzimy niemal równocześnie. Żołnierze złapali parę dziewcząt, i jednocześnie słyszę energiczny głos pani Jadwigi: „Precz stąd. A wy, ruszajcie do roboty“.

Od tej chwili przeszło już lat 8, nie mogę zrozumieć psychiki żołnierzy-bandytów! Co, właściwie, było powodem, że, jakby na komendę dowódcy, bez żadnego sprzeciwu wyszli z toku. Chyba tylko nadprzyrodzonej łasce Bożej i opiece Matki Najświętszej nad tą rodziną całą, przypisać należy, że, jak pani domu, tak też i obecne na toku dwie jej siostry nie padły ofiarą rozbestwionego żołdactwa.

Do Pana Otolskiego w Wojnaszówce przyszli do dworu pijani żołnierze. Pan O. schowawszy się za drzwiami, musiał wysłuchać dłuższej ich rozmowy ze starszyzną, zakończonej kategorycznym żądaniem „wydać burżuja“, bo oni chcą zaraz „zarznąć“.

Niezwykła przytomność umysłu jednego, byłego oficera, wyratowała pana Os. od niechybnej śmierci.

Zaproponował dowcipnie żołnierzom, że bezporównania praktyczniej będzie, jeśli zamiast obywatela, zabiją jego wieprza, którego głowa przecież, przedstawia większą wartość dla nich.

Argument poskutkował.

Pan Os. uszedł śmierci, ale odtąd ciągle chodził wystraszony i więcej okazywał tchórzostwa od własnych swoich dzieci.

Taki był początek w mojej parafji tego masowego obłędu, który stopniowo ogarniać poczynał całe Podole.

II

Trzy odmiany bolszewików.

Bar zmieniał swoich „władców“ bardzo często. Byli: Kiereński, centralna Rada, dyrektorjat, Skoropadzki, bolszewicy, Petlura, wojska węgierskie, galicyjskich ukraińców Petruszewicza, Denikin, znowu bolszewicy, znowu Petlurowcy.

Bolszewicy z Petlurą tańczyli kontredansa w Barze kilka razy.

Według moich obliczeń w ciągu 3 lat w Barze zmieniły się przygodne rządy 14 razy.

Można było dosłownie, pomieszania dostać przy tych ustawicznych zmianach, nietylko wskutek obcowania z wojskami, które, nie pytając o pozwolenie, zajmowały probostwo i domagały się, ażeby ich karmić i przyodziewać, ale przedewszystkiem wskutek ciągłego oczekiwania, kto kogo zmieni, jak ta się zmiana odbędzie i jak z tymi nowymi gośćmi, nieproszonymi, mówić.

Zwykle bowiem tak w dzień, jak też i w nocy, a najczęściej właśnie w nocy, odbywała się zmiana nowych władz w Barze.

Banda oberwańców, nie mówiąc wcale czyimi są wysłańcami, wpadła na probostwo, od progu klnąc i wymyślając, i stale jako powód tego przekleństwa i złorzeczeń, tak bolszewicy, jak też Petlurowcy i inni przedstawiali: — dlaczego „tamtych“ przyjąłem na mieszkanie i karmiłem!

Kończyło się szablonowo: rewizja, podział bielizny, szukanie karabinów w biurku i kieszeniach ubrania, a jako finał rozkaz: „dawaj żrat“!.

* * *

Wojska Denikina, składające się z jednego oficera, który nawet nie miał ordynansa, zajęły Bar bez walki.

Adjutantem tego oficera został policjant.

Zdążyli wydać tylko jeden rozkaz Nr. I dla garnizonu (?) miasta.

Rozkaz ten przytaczam dosłownie, w tłómaczeniu z języka rosyjskiego.

Rozkaz Nr. 1 do garnizonu miasta Baru.

„Dzisiaj wojska, armji ochotniczej, zajęły miasto Bar. Armja ochotnicza, to armja narodu rosyjskiego, która przynosi wam porządek, umocnienie obywatelskich wolności i obronę od tyranów, bez różnicy wiary i narodowości. A dlatego, objąwszy dzisiaj, z rozkazu władz wojskowych, urząd naczelnika garnizonu, rozkazuję:

Par. 1.

Natychmiast wszyscy mieszkańcy miasta Baru i jego przedmieści mają oddać oręż komendantowi miasta (Hotel „Szwajcarja“).



Absolwenci kursów nauczycielskich w Barze.

Par. 2.

Wojska galicyjskie, które są w mieście, są to wojska sojusznicze.

Par. 3.

Wszystkie prawa wydane do chwili rozplakatowania tego rozkazu uważać za nieistniejące, a kierować się prawami, które były do 27 lutego 1917 r., aż do zmiany tych praw w drodze ustawodawczej.

Par. 4.

Wszystkim oficerom i ochotnikom, którzy nie służyli w armji Petlury, zameldować się dla regestracji u Komendanta miasta.

Par. 5.

Wszystkie magazyny mają być otwarte.

Par. 6.

Wszystkie państwowe i społeczne instytucje mają natychmiast rozpocząć swoje czynności.

Par. 7.

Milicja i naczelnik milicji podlegają władzy komendanta miasta i mają nadal pełnić swoje obowiązki.

UWAGA: rozkz oddania oręża nie stosuje się do wojsk galicyjskich i milicji.

Winni nie spełnienia tego rozkazu, zostaną oddani pod sąd polowy!

Nawołuję wszystkich obywateli, do zachowania zupełnego spokoju i porządku, a o wszystkich gwałtach natychmiast donosić komendantowi miasta".

NACZELNIK GARNIZONU
(—) Ppułk. Niebogatikow.
p. o. ADJUTANTA (—) Chorąży Denisow.

Jedyny ten rozkaz wydany został bez daty, ale rozklejony 15 listopada 1919 r.

Jaka była anarchja, jaki bezład, najlepiej świadczy par. 3 tego rozkazu, gdzie poczciwy jakiś podpułkownik, jednym pociągnięciem pióra, kasował wszystkie zdobycze rewolucji wśród których, wszak każdy przyzna były niektóre niezmiernie ważne dla życia katolików i polaków na kresach.

* * *

Wojska węgierskie, względnie przyzwoicie zachowywały się, a nawet w uroczystościach kościelnych przyjmowały udział, zachowując się poprawnie. Nic szczególnego niemam o nich do napisania; przyjdę więc do wspomnień o bolszewikach rosyjskich, galicyjskich ukraińcach — sieczowikach i Petlurowcach.

Wszyscy oni mieli u mnie, na probostwie, swoich przedstawicieli.

Byli oficerowie i żołnierze.

Za bardzo zblizka patrzyłem na ich życie, bo musiałem codziennie z nimi obcować i nieraz zadawałem sobie pytanie, **który z nich, z tych moich „gości" był lepszy..**

Dzielę ich na 3 kategorje.

1) To duchowe dziatki Trockiego i Lenina.

2) To „dity, batky Petlury".

3) To bolszewicy „w białych, ale brudnych rękawiczkach“ wychowańcy ducha **Petruszewicza.**

Wszystkich tych 3 nieproszonych opiekunów, którzy nieśli „szczęście ludom ukrainy, bez różnicy wiary i narodowości“, ludność nienawidziła.

Wszyscy trzej zostawiali po sobie jedno i to samo: ruinę duchową, moralną i materjalną; moc pieniędzy w papierkach bezwartościowych, wszy i pchły, tyfus plamisty i powrotny, oraz głód.

Który z nich jednak był lepszy....

Boć różnica między nimi była!

Bolszewik pierwszej kat. przychodził i mówił: „Towarzyszu w imię komuny dawaj pieniądze ubranie, konie i zboże i t. d. To mi potrzeba dla armji“. Bierze otwarcie i zaraz jawnie sprzedaje żydowi, lub chowa do własnej kieszeni.

Bolszewik II kat., Petlurowiec, robił to samo, ale używał pretekstu przy rekwizycji i mówił, że szuka „kaziennyja obrazcy“, bo takie muszą być skonfiskowane, jako wzory ubrań wojskowych.

I nic mu nie przeszkadzało „wzorami wojskowych ubrań“ nazwać suknie i futra damskie, fraki, zegarki i t. d. Nie „biorą“ lecz „rekwirują“, dając kwity o których doskonale wiedzą, że żadnej wartości nie mają.

Bolszewik III kat. galicyjski-ukrainiec, zwłaszcza oficer, czasem bardzo grzecznie prosił o wypożyczenie na pół godziny koni, wozu, ubrania, naczyń, lampy zegarka i t. d. i.... nie oddał, bo.... „ktoś mu zabrał, gdzieś zginęło“.

Bolszewik I kat. dwory polskie okradał i palił, bolszewik II kat. „podpalał gniazdo, żeby ptak nie wracał“, bolszewik III kat. zniszczenia dokańczał.

Bolszewik I kat. dla rozpusty sprowadzał do mieszkania ulicznicę, bolszewik II kat. gwałcił żydówki, bolszewik III kat. przywoził ze sobą cały tabor „żynoczych sył", niby kancelaryjne pracownice, a de facto, w większości wypadków, kochanki i utrzymanki wojskowych rozmaitych rang, dla których rekwirował najlepsze pokoje i płacił im rzeczami gospodarzy domów, w których mieszkał.

Bolszewik I kat., oficer i żołnierz, wiedzą dlaczego walczy, żeby kraść i rabować.

Bolszewik II kat., odgrywał komedje, że walczy dla idei, ale wcale nie starał się, żeby kto w to uwierzył.

Bolszewik III kat., nie wierzył w żadną ideę, lecz stale wmawiał w otoczenie, że dla niej walczy.

Najmniej nakradli bolszewicy oficerowie II kat. najwięcej oficerowie — bolszewicy III kat., najmniej bolszewicy-żołnierze III kat.

Wszyscy jednak zeznawali, że polak przewyższa ich kulturą. Reagowali na to, każdy po swojemu.

Bolszewik I kat. mówił: „chytry polak", rób sobie co chcesz, mów, jak chcesz, bylebyś oddał mi wszystko i służ mi wiernie, za to ci pozwolę być ukraińcem".

Bolszewik III kat. kategoryczny był w decyzji: „podły lachu, precz z Urainy!"

Który z nich był lepszy... pozostawiam twemu sądowi, czytelniku!

Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że, tak wśród bolszewików jak też petlurowców, a zwłaszcza galicyjskich ukraińców (oficerów i szeregowców), byli ludzie przyzwoici i uczciwi.

Stanowili jednak tak nikły odsetek, że właściwie i wspominać o tem nie warto.

Tak było w Barze i okolicach.

Gdzieindziej były bardzo zasadnicze zmiany w postępowaniu każdej z tych trzech kategorji bolszewików.

III

Wieś i rewolucja bolszewicka.

Wielka rewolucja rosyjska, przewyższająca francuską w swojej krwiożerczości, będzie miała historyków którzy badając duszę moskala znajdą istotne powody tej rewolucji, a w szczególności barbarzyńskich jej przejawów.

Wielkie czyny niszczenia wszystkiego, co miało najmniejszą styczność z kulturą, począwszy od szczoteczek do zębów, jako „burżuazyjnych wymysłów", a kończąc na bibljotekach, muzeach, świątyniach, a nawet szpitalach; tortury o jakich nawet nie śniło się najfantastyczniejszym paszkwilistom inkwizycji hiszpańskiej, już dzisiaj znane są całemu światu, bo działy się przeważnie w wielkich miastach.

Ale jak na to reagowała, i jaki w tem udział brała „cicha wieś" i „głuche miasteczko", w tej lub innej dzielnicy państwa barbarorum, świat wie jeszcze za mało, a prawdy istotnej nie prędko się dowie.

Nieco faktów i ja dołożę do tego smutnego skarbca historji.

Chłop podolski, zanim nie zabrano się do jego

kieszeni, drwił i kpił ze wszystkiego. Wyśmiewał język ukraiński, literacki, który mu chciano narzucić, przekręcając lub też ohydnie tłumacząc słowa

Każdą władzę sprytnie umiał wydrwić po swojemu.

O Skoropackim mówili: „Skoro — pade" — prędko upadnie.

O Petlurze śpiewali: „szcze ne wmerła Ukraina, ałe musyt wmerty, bo i Petlura dowede do smerty".

O batce Titiuniku mówili, że „bude znym jak z titiunom" — będzie z nim jak z tytoniem.

Dyrektorjat wydrwili w słowach: „w wahonie dyrektorja, pid wahonom teritorja".

Tak samo drwili z Denikina, bolszewików i galicyjskich ukraińców.

* * *

W gimnazjum polskim w Barze, w klasie I-ej miałem ucznia, nazywał się Jan Mały.

Typowe dziecko chłopskie.

Zdradzał wyjątkowe zdolności do rysunków.

Ten samouczek umiał instyktownie wybierać do kopjowania z pism ilustrowanych dzieła mistrzów.

Po każdej swojej pracy przyjrzawszy się wzorowi mówił: „źle zrobiłem".

To samo robił w masie i chłop podolski, kiedy kopjował francuską rewolucję, wzorując się na mistrzach których mu usłużnie dały do skopjowania agitacyjne broszury, lub mowy żydowsko-bolszewickie.

Porównując „swoją robotę" z „mistrzami" chłop

czuł, że źle zrobił. Coraz częściej i częściej mówił „tak dalej być nie może“.

Kiedy w stolicach rywalizowano o rolę Robespierów, Pettionów, Brissotów, Dantonów, nawet rzeźnika Le-Cendre i piwowara Santer‘a; miasteczka i wsie dostarczały obficie innych typów kopjujących takie „wielkości“ rewolucji francuskiej, jak syn stróża Manuel Werlet, złodziej Carra, Waster-man lub syn kucharza Tallien.

Ich czyny kopjowali synowie dworskiej służby, zawodowi koniokrady, pijacy i wychowańcy więzień.

Liczni pokątni doradcy, plaga wsi i miasteczek, nawet za czasów carskich, chcą przywdziać togę Huguenin‘a, bodaj choć w małej mieścinie lub przy prezydjalnym stole „komitetu gminnego“.

Kajdaniarz, zbrodniarz, złodziej, gwałciciel, ulicznik, pijak, byli to w małych miasteczkach i wioskach jedyni „komuniści z przekonania“. Oni to gorliwie starali się za wszelką cenę, najczęściej cenę cudzej krwi, wybić się wyżej. To znaczy dostać posadę w miejscowości, gdzie będzie można więcej kraść-rekwirować.

Lud długo trzymał się odpornie, ale kiedy wszystkie władze, począwszy od komitetu wiejskiego, a kończąc na rozmaitych komisarzach, wmawiały w chłopa ciągle: „Chłopie, tyś teraz pan i car, jeśli nie weźmiesz, sprowadzimy kacapów i im oddamy“, chłop, chociaż niechętnie z początku — brał co było pod ręką, jednak odczuwał i odczuwa do dnia dzisiejszego, że postąpił, niesprawiedliwie.

Podburzony przez żydów, niszczył wszystko, ale czuł po wytrzeźwieniu, że źle zrobił.

Dlaczego?

Bo trzeźwy umysł chłopa prędko spostrzegał, że władza jest w ręku wyrzutków, a armja to zbiorowisko zbrodniarzy, trzymających terrorem przy sobie nie zbrodniarzy, i że kiedyś przecie musi ich zmienić jakaś legalna, uczciwa władza.

Kiedy zrabowano i zniszczono dwory, szkoły, szpitale, popów, w niektórych miejscach pogromami żydów, a w końcu i księży, chłop z całą otwartością, zapytał swoich nauczycieli: „kogo teraz macie zamiar niszczyć“.

I posłyszał to, co mu podszeptywał niejednokrotnie instynkt samozachowawczy: „wieś“.

I doczekali się tego!

Wyszedł rozkaz: „Uporządkować wieś“!

Żeby to łatwiej można było zrobić, bolszewicy zaczeli się posługiwać w agitacyjnej swojej robocie zupełnie niezrozumianem i nieznanem na Podolu, zapożyczonym z Rosji wyrazem „kułak“, określającym chłopa lichwiarza, zdziercę, żyjącego cudzą krzywdą.

I na Podolu każdy chłop uczciwy, pracowity, mający jakiebądźkolwiek zasoby, czy w groszu, czy w ziarnie, lub inwentarzu, albo też chociaż domek murowany, a nawet tylko nie słomą kryty, został nazwany „kułakiem“.

Tych to kazano rabować!

Lud zaczął otwarcie sarkać.

Zwłaszcza wtedy, kiedy się dowiedzieli, że idą wojska polskie.

Bolszewicy małpując fortel Dantona (który 2-go września 1792 roku ogłosił, że burżuje sprowadzili prusaków, żeby wyrżnąć lud) zaczęli na wiecach i w pismach głośno krzyczeć, że burżuje prowadzą wojska polskie, składające się tylko z panów, żeby wyrżnąć lud.

Agitacja mało skutkowała.

W Kopajgrodzie i Iwanowcach, kiedy chłopom powiedziano: „polacy niosą dla was pańszczyznę“, chłopi odpowiedzieli: „za czasów pańszczyzny ojcowie nasi robili 3 dni dla pana, a 3 dni dla siebie, a teraz my robimy tylko dla was, a nic dla siebie“.

„Kiedy wymyślano na polaków, odpowiedzieli głośno: „Coście wy warci, widzimy, a co będą warci polacy, zobaczymy“!

Ludność nietylko polska, ale i rusini, a nawet i żydzi z ogromną życzliwością i upragnieniem oczekiwali przyjścia wojsk polskich na Podole.

Mam to głębokie przekonanie, że jeśli do wojska polskiego nie dołączyły się tysiące ludności miejscowej na Podolu to **przedewszystkiem** dlatego, że dowiedzieli się, że 1) polacy idą **razem** z Petlurą, 2) że to się robi **niby dla Petlury,** którego już dość miano i nie mogli mu zapomnieć tych **„figli“**, jakie urządzał z carskiemi pieniędzmi, a potem ze złotem, rozkazawszy to wszystko wymieniać na bezwartościowe karbowańce i wreszcie, 3) że żadnej Ukrainy lud nie chciał.

Chciał ziemi, ładu, spokoju!

Chciał widzieć wojska, któreby wreszcie nie rekwirowały, albo za wszystko co zarekwirowały płaciły!

Niestety, wojska polskie, pod tym względem, oczekiwanie ludu zawiodły!

* * *

Jaki był stosunek ludu Podolskiego w pierwszych miesiącach do dworów, scharakteryzuję paru przykładami.

Najpierw to, co spotkało matkę moją i co było w wielu innych miejscach, gdzie stosunek dworu do ludu był mniej więcej poprawny.

Przed Świętami Bożego Narodzenia 1917 roku, przyszli do mojej matki delegaci ze wsi i ucałowawszy ręce prosili, żeby matka wyjechała z majątku do mnie do Baru, ponieważ... „wyjechała z majątku majątki już dawno zrabowano, a nasz jeszcze nie“, ponieważ „starsza generacja nie ręczy za młodzież, która świeżo z wojsk powracała“ i że nakoniec sąsiednie wsie odgrażają się, że jeśli oni, chłopi z Szepinek, sami nie zrobią porządku w majątku, to tamci przyjdą i „na swój rachunek“ zrobią.

Pamiętam z lat moich dziecięcych, a było to przed 45 laty, kiedy to dom nasz nawiedziły straszne plagi: ojciec leżał nieuleczalnie chory w jednym pokoju, brat w drugim, babka w trzecim, nas trzech starszych było w szkołach, a nieurodzaj od kilku lat uzupełniał klęski tak dalece, że nie było za co kupić nasienia na zasiewy i opłacić robotników, matka zdecydowała się była majątek wydzierżawić.

Dowiedziała się o tem wieś.

Zebrali się wszyscy przed dworem i najstarszy gospodarz Onufrej, pamiętający jeszcze pańszczyźniane czasy, w imieniu wsi całej przemówił do mat-

ki, czyniąc jej wyrzuty, że zapomniała o tem, że przecież oni.... są przyjaciółmi, sąsiadami, że nie pozwolą matce wydzierżawić majątku, gdyż od 200 lat ojcowie ich i nasi mieszkali tu razem, a oni obcych nie chcą wpuścić do majątku. Zapowiedzieli, że własnem zbożem zasieją, sami zbiorą, a za robotę matka dopiero po żniwach zapłaci.

Stawiali jeden tylko warunek, żeby matka z majątku nie wyjeżdżała.

Tak też i stało się.

Pół wieku przeszło, wnuk tego samego Onufreja radził matce wyjechać z majątku do którego już i nie wróciła......

* * *

Ale bywało i inaczej, tuż zaraz w sąsiedztwie, gdzie obywateli wypędzano brutalnie, tak że ledwie z życiem pouciekali.

W Mytkach tacy sami chłopi, jak Szepinieccy, zrabowawszy doszczętnie pałac Czichaczowa i rozebrawszy wspaniałą galerję obrazów. porobili z nich w chlewach przegródki dla cieląt: „patrzyły na te obrazy oczy panów, niech teraz popatrzą na nich cielęta nasze“, mówili mi.

Z satanizmem niszczyli młocarnie parowe, francuskie grabie, siewniki, jako „burżuazyjne przesądy“, apoteozując tylko „mozolnyja ruki“.

Katolicy w całej tej robocie przyjmowali bardzo mały udział. Ale, kiedy zaczęto dzielić ziemię dworską, wtedy i nasz katolicki lud polski, zachwiał się.

Raz po raz przybiegali na poradę do mnie, zapytując jak mają postąpić, brać ziemię, czy nie brać.

Co ja mogłem radzić? Jeśli poradzę, żeby samowolnie brali, stanę się uczestnikiem bezprawia, jeśli powiem, żeby nie brali, ziemi przeznaczonej dla nich, komitety oddadzą „kacapom" — przybyszom z Rosji, a lud polski — rolników pozostawię w nędzy, bo wobec zniszczenia dworów, nawet nie będą mieli gdzie zarobić na kawałek chleba.

Chciałem zasięgnąć rady biskupa, ale odcięty od całego świata, całymi miesiącami byłem, w ścisłem tego słowa znaczeniu, „sam".

Pozwoliłem moim parafjanom wejść w posiadanie ziemi, którą im nadadzą komitety, ale pod warunkiem, że będą się uważali za dzierżawców, postarają się wejść w układy z właścicielem lub jego sukcesorami i przyjętą zwyczajem tenutę dzierżawną mają mu opłacać, **zanim ta sprawa rolna przez rząd legalny, nie zostanie ostatecznie, tak lub inaczej uregulowana.**

IV.

„Dobrodziejstwa“ bolszewików.

Lud polski i rusiński w wielu miejscach bardzo niechętnie brał ziemię dworską. To „dobrodziejstwo, na każdym kroku, wypominały chłopowi, władze bolszewickie tak cywilne, jak też i wojskowe. Każdy żołdak domagał się, by mu za to „dobrodziejstwo“ płacono niemal codziennie w ten, lub inny sposób.

Nietylko na Podolu, ale i w innych miejscowościach wielu włościan powstrzymało się od brania ziemi. Rząd bolszewicki zaczął sprowadzać z centralnej Rosji i Syberji rozmaitych włóczęgów, dla nich rekwirował mieszkania w izbach włościan i im nadawał ziemię, a kiedy i to nie wiele pomogło, zmusił chłopów, na każdego członka rodziny, wziąć pewną ilość ziemi dworskiej, obracając ją, i, wzamian za to, oddać rządowi określony z góry podatek w zbożu.

Najczęściej tak wypadało, że rolnik oddał nietylko zboże zebrane z łanów dworskich, ale musiał jeszcze dopłacić zbożem, zebranem i ze swego

ojczystego kawałka. — System podatkowy jako wynik „reformy" rolnej najwięcej wrogów przysporzył bolszewikom na wsi. —

W 1919 roku, w mojej parafji Barskiej na Podolu, chłopi płacili podatek zbożem:

1) ogólno państwowy
2) dla wojska
3) na komitet gubernjalny
4) „ „ powiatowy
5) „ „ gminny
6) „ „ wiejski
7) „ „ oświatowy
8) „ „ agitacyjny
9) „ „ drogowy
10) „ „ głodnych

I to jeszcze nie wszystkie wyliczyłem rodzaje podatków! —

We wsi Szersznie i Okładne zbierano podatek z górą 20 razy.—

Oburzało lud i to, że bolszewicy natworzyli moc najrozmaitszych urzędów. —

Biurokratyzm zapanował taki o jakim za czasów carskich nikt nie słyszał. — Widział to dobrze chłop, że na miejsce jednego urzędnika, który był za czasów carskich, bolszewicy kazali mu „wybrać" dziesiątki innych, płatnych z kieszeni chłopa.

Biorę, jako przykład, Bar. — Za czasów carskich był tam jeden wszechwładny policjant, tak zwany „nadzyratiel". —

W roku 1917 i 18 było 16 „ministrów", noszących skromne miano „komisarzy". —

Co prawda pan komisarz pracy, ślusarz z miej-

scowej fabryki cukru, nie umiał czytać i pisać, ale potężną pięścią walił w stół i do swoich kolegów, zmęczonych wyzyskiem bolszewickiem, krzyczał, dosłownie:

„Milczeć i słuchać mnie, ja minister, rozumiecie“!

Był minister zdrowia publicznego, stolarz, żydek, później zmieniła go drogistka — żydóweczka.

Minister kultury i oświaty, pół warjat, nauczycel szkółki ludowej, minister handlu i t. d. —

Wszyscy oni chociaż nosili urzędowo tytuły komisarzy, nachętniej nazywali jednak siebie ministrami, a mieli bez porównania większą władzę, niż minister za czasów carskich w całej Rosji. —

Potworzyli zaraz sobie kancelarje, zamianowali „dyrektorów departamentów“, urzędników i urzędniczki. —

Zaczęły się rekwizycje dla tych wzniosłych celów nie tylko domów, ale łóżek, mebli, zegarków i... ubrań dla urzędniczek. —

A kończyło się jak każda robota bolszewicka, nałożeniem kontrybucji dla utrzymania siebie i swoich kancelarji. —

I nie mało na to potrzeba było! W jednym miasteczku, w Barze, dla tych łotrów trzeba było zbierać 500.000 rubli miesięcznie w 1918 roku!

Tłomaczyli się panowie komisarze, dlaczego tak dużo potrzeba. — Muszą opłacać mówców i agitatorów, którzy uświadamiają ciemny lud.

Pan „minister oświaty“, fabryczny robotnik, (który zmienił nauczyciela szkółki) — nie pospolitował się. Przemawiał tylko w mieście i to w cza-

sie nadzwyczajnych jakichś uroczystości, „kiedy trzeba było rozjaśnić ciemne umysły zbałamuconego przez burżujów i duchowieństwo ludu“.

Przyznać mu muszę, że mówił bardzo dobrze.

Wymowa świetna. — Umiejętność trafienia do przekonania chłopa znakomita. — A jaka treść, to wskaże wyjątek z mowy jego.

Na moje pasyjne kazania, które głosiłem w poście 1918 roku, o męce Chrystusa, on odpowiedział na rynku, na wiecu publicznym: „Nie wierzcie księdzu, że Chrystusa żydzi umęczyli. — Chrystusa umęczyli burżuje żydowscy i rzymscy w Rzymie!“

Z taką też mądrością i logiką działali i inni komisarze — ministrowie. — Wszystko pod hasłem: „dla dobra ludu“. — „Dobroczyńców“ lud prędko zrozumiał, odczuł na własnej skórze i kieszeni, a kto wie, może i godności osobistej ludzkiej, i większość wołała: „Kto nas wybawi z niewoli dobroczyńców naszych!“ —

V.

Żydzi i bolszewicy.

Jak zachowywali się żydzi na głuchej prowincji, po wybuchu rewolucji?

Zorganizowani byli świetnie. — Do najlichszego miasteczka przyjeżdżali stale gońcy z rozmaitych stron, ze wszystkich „frontów", przywożąc zawsze dobre, dokładne wiadomości. — Wiedzieli, kiedy, który pułk przyjdzie do Baru, kto stoi na czele, jakie ma poglądy, jak się zachowa wojsko w stosunku do żydów. — Podziwiałem, jak nieraz na parę tygodni zapowiadano kolejne zmiany władz.

Z zazdrością i upokorzeniem patrzyłem na to, jak u żydów, jakieś komitety, partje czuwały nad prowincją, informowały stale umysły, uprzedzały w czas, dawały dyrektywy, wtedy kiedy o nas nikt nie myślał i byliśmy jakby wyklęci ze społeczności ludzkiej.

Po każdej krzywdzie zrobionej bodaj choć jednej rodzinie żydowskiej, jak z pod ziemi wyrasta-

ła jakaś komisja, robiła protokół, spisywała szkody. — Trupy zabitych były fotografowane i gońce we wszystkie strony rozwozili rzeczowe dokumenta.

Każdy kto skrzywdził żyda, musiał ponieść karę. — Jeżeli to byli zwykli bandyci, prędko ich łapano i pierwszej lepszej władzy, która była wtedy w Barze, oddawano. — Bolszewicka czerezwyczajka ceremonji sobie żadnej nie robiła z bandytami, krzywdzicielami sojuszników swoich — żydów, — zwłaszcza jeżeli to byli Petlurowcy. — Sądy Petlurowskie, dla przypodobania się żydom, skazywały też na śmierć i wyroki wykonywano na tych ,którzy urządzali pogromy, a nie należeli do armji „regularnej“ Petlury. — Na jednych tylko bolszewików, żydzi nie narzekali, że ich mordują. — Bo nie oni żydów, a żydzi ich za łeb trzymali.

Były jednak i na prowincji wśród żydów „ideowe“ niesnaski i niby walki.

Odrazu podzielili się na dwie, nie tyle partje polityczne, ile raczej grupy: starsze pokolenie i żydzi zamożniejsi stanowli jedną grupę a do drugiej należała młodzież żydowska, studenci, sklepikarze, subjekci, rzemieślnicy i wszelkiego rodzaju hołota.

Pierwsi bali się bolszewików. — Drudzy całą duszą byli im oddani. — Z pośród tej to grupy rekrutowali się komisarze, urzędnicy bolszewiccy, i nawet przewodnicy band (nie naczelnicy), którzy wskazywali zamożniejszych współobywateli, bez różnicy wiary i narodowości, gdzieby można było ukraść to, co ich ojcowie, należący do I grupy, mogliby z zyskiem kupić.

Petlurę i jego wojsko nienawidzili, jak starsi tak też i młodsi, za pogromy i rabunki.

W Barze były dwa pogromy. — Zabito 17 żydów. Ale tak zwanych uprawnionych rabunków — rekwizycji było bez liku i wykonywano je ze sprytem i wrodzoną rusinom bezczelnością.

Naprzykład jeden oddział kazał żydom dostarczyć sobie w ciągu 2 godzin kilka tysięcy metrów sukna i zapowiedział, że jeśli do godziny 2 wszystko nie będzie złożone, to po drugiej, rozpoczną rzeź.

I kiedy nikt w mieście przedtem nie był w możności wyszukania dla siebie jednego metra sukna za pieniądze, Petlurowcy w ciągu 2 godzin dostali bez pieniędzy tysiące metrów. —

Drugi raz znowu zagrożono, że trującymi gazami zniszczą całe miasto. — Wystraszeni żydzi zrobili wszystko, co im kazano.

Ale wywdzięczali się Petlurze i Denikinowi szpiegostwem na korzyść bolszewików i rozpuszczaniem najgłupszych baśni, które podrywały autorytet wszystkich innych władz, oprócz bolszewików.

Stosunek żydów, zwłaszcza starszej generacji, do obywateli Polaków i do mnie był znośny.

Bolszewik, K., zachowywał sie całkiem poprawnie i okazał przy obronie interesów zniszczonych obywateli, moich parafjan, pewne, dość znaczne usługi, kiedy nałożono olbrzymią kontrybucję na utrzymanie rozmaitych instytucji bolszewickich.

Młodzież żydowska z cynizmem, naśladując swoich praojców, którzy na Kalwarji pod krzyżem

Chrystusa, wołali: „Jeśliś jest Bogiem, zstąp z krzyża“, bluźnili najohydniej publicznie (naturalnie tylko w towarzystwie krasnoarmiejców) i obrzucając najordynarniejszemi wyzwiskami Chrystusa, zwłaszcza Matkę Najświętszą tryumfująco kończyli: „A widzicie nic wasz Bóg zrobić mi nie może“.

Żydki to najczęściej w miastach i w wioskach robili rewizję w kościołach.

Oni zwoływali wiece, na których, chcąc na przykładach nauczyć lud, co to znaczy komuna, radzili, w jaki sposób dla użytku „wszystkich bez róznicy wiary i narodowości“ wykorzystać kościoły i cerkwie.

Zwykle proponowano uchwalić: kościół zamienić na kino, bo jest tam organ, a cerkiew na klub, a wtedy dla wszystkich bez różnicy wiary i narodowości przydadzą się.

I dziwna rzecz, na takich wiecach (w Barze, Zmierzyńce, Koziatynie, Starokonstantynowie) zawsze znalazł się ktoś taki, który zaraz proponował dla ogólnego też użytku wykorzystać synagogę! Zrobić z niej publiczny dom, lub ustęp.

Zawsze po tej propozycji, pierwszą zdejmowano z porządku dziennego.

Stosunek żydów do religji staszthe jątrzył lud miejscowy, a rozmaite bandy, swoje wystąpienia, najczęściej motywowały obroną pohańbionej religji.

* * *

W Barze nie tylko ja, ale i popi, a nawet mniszki prawosławne zwykle starały się uspaka-

jać rozjuszone bandy i zapobiegać rozlewowi krwi żydowskiej.

Ale bezczelność i arogancja nawet najlepszych żydów z pośród I grupy przechodziło wszelkie granice.

Kiedy się rozpoczął w Barze pogrom żydów, wbiegł do mnie na probostwo, mój sąsiad, stary żyd, bardzo bogaty kupiec, który jeszcze z ojcem moim miał interesa (nb. zawsze ojca oszwabił i lichwiarskie procenta brał) upadł na kolana i błagał, żeby go schować. Zaprowadziłem go do ogrodu i tak go dobrze schowałem, że własny syn jego który również schował się w moim ogrodzie o kilka krokroków dalej, ojca nie widział. Coprawda, jak jeden był się poruszył, to drugi ze strachu umierał, myśląc, że idą Petlurowcy.

Nosiłem żydowi, z narażeniem życia do skrytki jedzenie. Okryłem go własną burką na noc. Kiedy po trzech dniach banda wyszła, Pan Mosienkis wyprowadzony z kryjówki czynił mi wymówki dlaczego na noc nie przysłałem fotela leżącego!

Potem, jako najbliższy mój sąsiad stale skierowywał do mnie na nocleg najgorszych łotrów. Mam też uzasadnione podejrzenie, że urządzenie u mnie na probostwie koło mojej sypialni, szpitaliku dla chorych na tyfus plamisty, żołnierzy bolszewickich było zasługą również tego pana Mosienkisa.

* * *

Nigdy żadnego żyda o nic nie prosiłem. Ale wyczerpany do najwyższego stopnia, ustawicznem czuwaniem dzień i noc, ażeby krzywda nie stała się mojej matce, siostrze rodzonej i innym paniom, któ-

re się schroniły od pogromów chłopskich na probostwo, raz jeden prosiłem żyda komisarza wojskowego Bohuńskiego pułku, żeby mi na probostwo przysłał „przyzwoitych“ lokatorów.

Przysłał kilku furmanów ze „starszym furmanem“ też żydem.

Rozlokowawszy się na probostwie, kazali sobie dawać jeść i pić i nas zmusili, żebyśmy z nimi siedzieli przy stole.

Przy pierwszej takiej wspólnej biesiadzie ten starszy furman przechwalał się w jaki sposób zamordowali oni księżnę Szczerbatową, czy kogoś z jej rodziny, w Niemirowie na Podolu.

Z predylekcją i szatańskim uśmiechem opowiadał nam niejednokrotnie następującą historję: „Jadąc tutaj po drodze do was, zatrzymaliśmy się na parę dni w jednym dworku, gdzie była obywatelka staruszka taka, jak ty i miała również taką ładną córkę, jak ty. Postanowiliśmy zabawić się z córeczką, po naszemu... Staruszka upadła na kolana, zaczęła nogi nasze całować, prosząc, żebyśmy nie okrywali hańbą jej córki. Zgodziliśmy się na to, ale pod warunkiem, że staruszka sama się rozbierze do naga, my grać będziemy na bałabajkach, a ona tańcząc skakać będzie przez nałożone ognisko na dziedzińcu. Nie wahając się ani chwili staruszka się rozebrała. Wyszliśmy na dziedziniec. Myśmy grali, a ona tańczyła i skakała przez ognisko.

Przeskoczyła raz i drugi, ale potem wpadła w ognisko i wstać już nie miała siły Wtedy podciągnęliśmy pod ognisko córkę jej i każdy z nas robił z nią, co chciał.

Ach żebyś ty zobaczyła, jak ta stara, piekąc się w ogniu, fikała nogami, jeszcze lepiej, niż jej córeczka w rękach naszych".

Po pauzie zwykle zakończał: „Nu burżujka, do jutra możesz jeszcze pożyć".

W ciągu dwóch tygodni każdego dnia powtarzał tę opowieść.

VI.

„Regularne wojska“ Petruszewicza.

Bolszewicy, Petlurowcy, Machnowcy, Tiutiunikowcy, Szepelowcy i inni rozmaici bandyci, tak już nas byli zmęczyli moralnie, tak zniszczyli materjalnie, objedli; taki był ciągle niepokój i anarchja, że gdyby był przyszedł sam Lucyper z piekła, bylibyśmy go przyjęli z honorami, byle tylko tamtych nie widzieć! Nic więc dziwnego że kiedy w lecie 1919 roku doszły do nas wiadomości, że z za Zbrucza wkroczyły na Podole „regularne wojska“ Petruszewicza czekaliśmy zaciekawieni jak też to wyglądać będą te „regularne wojska“ i co to za ludzie stoją na ich czele.

Przez Bar, kilka godzin szły ich obozy. Setki podwód, wśród nich nowiuteńkie karety, prześliczne landa, zaprzęgi w krakowskich chomontach. Kawalerja sieczowików na pięknych rasowych koniach, które po raz pierwszy niosły wojskowych na swoich grzbietach.

W karetach i powozach jechały „panie“ strojnie ubrane, zdradzające ruchami swoimi i głosem, a też kształtami, że przyodziały się w cudze piórka.

Na wozach siedzieli rusini — chłopi, a gdzieniegdzie tylko była postać kobieca przyodziana w chustkę.

Egzamin zdali!

Nie trudno było odgadnąć skąd te bogactwa: karety, konie i co to za „panie", strojnie ubrane, siedziały w landach i karetach!

Nie łudziłem się, że i tymi „gośćmi" będzie niewiele lepiej, jak z tamtymi

Naturalnie zaraz zajęli probostwo.

Mówili tylko po rusińsku, ciągle podkreślając, że są bardzo „kulturalnymi".

Kilku oficerów, wśród nich ksiądz unicki, (który ze mną ani słowa nie zamienił) matka i siostra moja, zasiedliśmy do obiadu.

Pytam oficerów, dokąd idą. Odpowiadają: pójdziemy do Kijowa, bo nam droga do Lwowa przez Kijów. Wracając, wyrżniemy was polaków wszystkich".

Przenocowawszy, na drugi dzień raniutko, panowie oficerowie, zabrawszy ze sobą moją pościel i naczynia, wyjechali.

Przyszła druga partja wraz z kochankami swoimi.

Na probostwie zarekwirowali dla bab najlepsze pokoje i urządzali orgje.

Oficer, pan K... dobrał klucz do biurka, wybrał stamtąd co tylko mu się podobało, zabrał też i zegarek. Inny „pożyczył" naczynie, widelce, noże, łyżki i mówił potem, że „gdzieś mu to zginęło".

Zobaczywszy jak są „kulturalni", wyprawiłem jaknajprędzej do Polski, do brata, który już był w wojsku polskim, jego żonę. Na stacji w Wołko-

wińcach oficer nie chciał dać przepustki i brutalnie powiedział: „Wracaj i czekaj, aż was wyrżniemy“.

W mieście gospodarował pan komisarz. Ciągle czegoś odemnie wymagał. Raz żądał, żebym mówił w kościele kazania po rusińsku, to znowu chciał koniecznie bym zamknął polskie szkoły, potem przysłał odezwę archijereja prawosławnego, napisaną po rusińsku, żebym ją odczytał w kościele.

Ostry mój sprzeciw i wystąpienia perafjan trochę ochłodziły zapały pana komisarza.

Jedną tylko miałem przysługę od nich. Komendant miasta był tak uprzejmy, że oddał mi trzech „jeńców“ polaków — uczniów gimnazjalnych, którzy z Kijowa przekradali się do Polski. Oddał, coprawda dlatego, że jeden z nich już dogorywał na tyfus plamisty, a dwaj drudzy gorączkowali.

* * *

Dlaczego nie urządzili rzezi, jak to ciągle obiecywali? Tylko dlatego, że wśród miejscowego włościaństwa nie cieszyli się żadnym autorytetem i sami też nie wiedzieli, jaki ich los spotka, bo z jednej strony mieli przed sobą bolszewików, z drugiej Denikina, którego siły jeszcze nie znali, a za sobą — Polaków.

W dodatku wybuchła szalona epidemja czerwonki i tyfusu plamistego. Były dnie, że grzebałem, na cmentarzu po 60 do 70 trupów.

Uciekając z Baru, przed bolszewikami, pp. oficerowie lekarze niegodnie postąpili ze swoimi chorymi.

Przepełnione szpitale pozostawili bez opieki, bez apteki, bez środków żywności i bez pieniędzy.

Pozostał jeden tylko ksiądz Korowec, siostra miłosierdzia i kilku rekonwalescentów. Nie było komu nawet dołów kopać na cmentarzu dla trupów, które składano jak drwa na wozach i wywożono na cmentarz.

Jako proboszcz musiałem zająć się chorymi i umarłymi. W życiu nigdy nie widziałem tak okropnego widoku, jak te setki chorych, leżących na podłogach w salach szkolnych, razem chorzy na czerwonkę, tyfus plamisty i powrotny.

Okropne to było!

Kiedy w ostatnich dniach grudnia 1919 r. nadchodzili bolszewicy, rekonwalescenci wszyscy uciekli.

Na probostwie został chory oficer K. . . . młody, inteligentny, szowinista. Nigdy do nas słówka po polsku nie przemówił. Koledzy zostawili go bez pieniędzy i bez opieki. Po ich odejściu zmienił ton, poprawnie zachowywał się i mówił stale po polsku.

Zdziwił się bardzo, że nietylko nie odesłałem go do kolegów, do szpitala, ale przeciwnie matka moja gorliwie pielęgnowała chorego.

Dobre wspomnienia z pobytu tych wojsk pozostawili tylko dwaj księża: prefekt Złoczowa, kapłan bardzo pobożny, rozumny i taktowny. Stale msze odprawiał w kościele i drugi, ks. Korowiec, całą duszą oddany swoim chorym, prawdziwy sługa Boży, i trzeci braciszek zakonny, bazyljanin quasi felczer, czwarty żandarmski pułkownik Krasicki, który wiedział o tem, że na probostwie mieszka w przebraniu major wojsk polskich Mieczysław Rożałowski, który przyjechał był po żonę i dzieci,

żeby zabrać ich do Polski. Krasicki nietylko nie przeszkadzał, ale przeciwnie dopomógł, a... nawet, w ostatniej chwili, poufnie doradził mi, żeby prędzej wyjeżdżali, bo mówi: „jak się moi chłopcy dowiedzą kto to, to będzie katastrofa".

Reszta, tak księża uniccy, (zwłaszcza księża), którzy przeszli przez Bar, jak i oficerowie, zaszczytu, ani kościołowi, ani narodowi swojemu, nie przynosili.

VII.

System rabunków.

Wojska Petlurowskie i bolszewickie, miały jeden i ten sam system rabunków.

Po zajęciu miasta, natychmiast rabowano zamożniejszych.

W kilka godzin potem, zaczynały się „rewizje". Szukano niby broni, lub ubrań „wojskowych", w istocie zaś, co tylko cenniejszego, wpadło do rąk. zabierano.

W parę dni potem wychodził rozkaz urzędowy, że, rekwirować i robić rewizje bez „orderu" — nakazu komendanta, nie wolno. I... rabowano z „orderami" w ręku *).

---

*) Zmęczyły mnie były te ciągłe rewizje i rekwizycje ubrań i bielizny, „prawne" i bezprawne.

Ułożyłem resztki bielizny tak, by na wierzchu była najbardziej podarta.

Spodnie własne, jedyne, umyślnie tak podarłem, że materjał naokoło kawałkami zwisał. Jak tylko przychodzili żołnierze rekwirować ubranie lub bieliznę manifestacyjnie podejmowałem suknię i zaczynałem zdejmować spodnie. Zawsze prawie wprowadzało to tych łotrów w świetny humor. Z wyrazami: „A nu tiebia k'czortu z takim bogactwom" — wychodzili z probostwa. W ten sposób uratowałem resztki belizny i ubrań swoich.

Żałuje mocno, że tylko dwa oryginalne rozkazy bolszewickie pozostały mi. Przytaczam je w dosłownem tłomaczeniu. Ile tam przewrotności i łotrowskiej manipulacji.

Tłomaczenie z rosyjskiego.

„Rozkaz Nr. 3.

Dla miasta Baru i jego przedmieści 20 stycznia 1920 r.

Par. 1.

Otrzymałem skargi od obywateli miasta Baru i jego przedmieści, że na rynku nie chcą przyjmować pieniędzy, o których było w rozkazie Nr. 1, dla tego rozkazuję: osoby, które nie zechcą przyjmować pieniędzy, o których było w rozkazie Nr. 1, par. 4, będą aresztowane i ukarane grzywną 15.000 rubli, na korzyść czerwonej armji, lub też podlegać będą karze więziennej do 6 miesięcy.

Par. 2.

Zauważyłem, że z chwilą wejścia wojsk sowieckich do Baru, zostały podwyższone ceny na produkty żywnościowe i towary, pozbawiające w ten sposób ludzi biednych możności zakupienia dla siebie produktów najkonieczniejszych, rozkazuję wszystkim bez wyjątku handlującym sprzedawać wszystkie towary i produkty podług cen, które były do przyjścia władz sowieckich.

Za niespełnienie tego rozkazu winni będą bez śledztwa i sądu rozstrzelani, a towary ich będą skonfiskowane.

Par. 3.

Wszystkim obywatelom miasta Baru rozkazuję w przeciągu 2 dni zrobić porządek koło swoich domów i magazynów, powywozić śmiecie i gnoje, które wywołują epidemiczne choroby.

Par. 4.

Zauważyłem również, że w Barze i w jego przedmieściach, jest bardzo dużo chorych na tyfus, którzy są rozlokowani w prywatnych mieszkaniach, skąd zaraza rozszerza się na wojsko i również na spokojną (mirnoje) ludność. Rozkazuję właścicielom, u których są chorzy na tyfus i inne zakaźne choroby, a także i tych, którzy gorączkują, odesłać do starszego lekarza Czerwonego Krzyża miasta Baru, któremu będą wydane rozkazy.

Winni niespełnienia tego rozkazu będą ukarani grzywną 3.000 rubli lub też 3 miesiącami więzienia.

Par. 5.

Rozkazuję, żeby na rynku niesprzedawano żadnych rzeczy (?) prze zręce spekulantów. O ile u takich osób będzie to spostrzeżone, rzeczy zostaną skonfiskowane, a winni będą sądzeni według prawa wojenno - rewolucyjnego trybunału.

Par. 6.

Wszystkim krasnoarmiejcom, którzy są rozlokowani w garnizonie Baru, zabraniam robić rewizje i rekwizycje bez pozwolenia naczelnika garnizonu i bez mojej wiadomości. Winni będą oddani pod sąd wojenno - rewolucyjnego trybunału.

Komendant (—) **Koszkin.**
Adjutant (—) **Wasiluk.**

Na drugi dzień ten sam komendant wydał rozkaz Nr. 4 w którym par. 4 brzmiał tak:

„Niejednokrotnie otrzymywałem skagi od lekarzy Czerwonego Krzyża, że niektórzy krasnoarmiejcy niepokoją chorych, galicyjskich żołnierzy, i sami od nich zarażają się, i niosą zarazę wojsku i spokojnej ludności, dlatego rozkazuję zostawić chorych w spokoju“.

* * *

Dzisiaj każdy zrozumie, kto się wczyta uważniej w te rozkazy, jakie to szalone pole otwierało się do nadużyć dzięki rozkazowi Nr. 3.

Myśmy to naturalnie zrozumieli, jako najbezczelniejsze naigrawanie się, do którego, coprawda, jużeśmy byli przyzwyczajeni.

W jaki bowiem sposób można było odsyłać chorych do Czerwonego Krzyża, kiedy nietylko szpitale, ale nawet wszystkie budynki szkolne były przepełnione chorymi żołnierzami na tyfus plamisty.

Rozkaz Nr. 4 był bezczelną drwiną z nieszczęścia oszukanych chłopów z Małopolski Wschoniej, którzy, setkami leżąc na podłogach i korytarzach szkolnych, umierali z nędzy, głodu i braku lekarskiej opieki, już obdarci do naga natychmiast po wejściu do miasta, przez żołnierzy bolszewickich. W kilka dni potem, wtedy kiedy się ubrali w zrabowane, zawszone ubranie i buty, żołnierze bolszewiccy zaczęli również gorączkować, pan Koszkin wydał rozkaz: „pozostawić żołnierzy galicyjskich w spokoju“. Jak wyglądała ta opieka bolszewicka i Czerwonego Krzyża, (który naprędce przekształciliśmy w „oddział międzynarodowy“ świadczyć może list, księdza unickiego, który tu bez zmian przytaczam:

„Wielebny Księże Proboszczu! Około 10 dni temu zdarzył się w chirurgicznym szpitalu następujący wypadek. Leżą obok siebie, w sali, dwaj ranni: galicjanin i Petlurec. Po przyjściu bolszewików i po wiadomych księdzu ich rabunkach, w naszych szpitalach, wspomniany Petlurec raptem ogłosił się też bolszewikiem. Na tej podstawie zaraz zciągnął z sąsiada, galicjanina płaszcz i zabrał buty. Galicjanin, zresztą ciężko chory, przedstawił zajście siostrze. Ta starała się sama załatwić sprawę, ale trafiła na energiczny opór ze strony Petlurca. Zirytowana, poleciała do komendanta bolszewickiego o interwencję. Komendant przyznał jej rację i posłał „3 krasnoarmiejców" dla złagodzenia zajścia. Ci sprawili się naogół dosyć oryginalnie: buty, mimo rozpaczliwego protestu siostry, zabrali sobie, a płaszcz, zresztą i tak nie dużo wart, oddali z powrotem świeżo - upieczonemu bolszewikowi (dawniejszemu Petlurowczykowi). Siostra zdziwiona i przerażona tego rodzaju wynikiem śledztwa republikańskich sędzi, prawie płacząc przyszła do mnie i przedstawiła mi całą sprawę, zaznaczając zupełnie słusznie, że w takich warunkach trudno jej będzie pracować nadal w szpitalu.

Gdybym ja już nie był u komendanta bolszewickiego w sprawie zrabowania depozytów po nieboszczyku i gdybym nie nabrał odpowiedniego przekonania, co do wartości tych panów, względnie towarzyszów, możliwie, że sam bym osobiście poszedł jeszcze raz do komisarza i wniósł zażalenie.

Mając jednak, jak już wspomniałem, pewną praktykę, odmówiłem sobie tej przyjemności i wniosłem formalne zażalenie do Czerwonego Krzyża. Tu

przedstawiłem sprawę dokładnie, tak, jak teraz księdzu ją przedstawiam i prosiłem o interwencję u komendanta bolszewickiego. Dotychczas jednak nie widzę żadnych skutków".

Łącząc wyrazy najgłębszego szacunku, pozostaję z pełnym poważaniem.

(—) **Ks. Korowiec.**

Bar, dnia 2 lutego 1920 r.

VIII

W obliczu śmierci.

Ile razy groziła mi śmierć w ciągu trzechletniego pobytu w Barze, ile razy bolszewicy lub ukraińcy przychodzili „pokończit z księdzom“, tego na prawdę nie pamiętam. —

Od czasu do czasu, ktoś przybiegał i uprzedzał, że był świadkiem rozmowy tych lub innych łotrów, którzy o naznaczonej godzinie mają przyjść „zabić“ lub „aresztować“ mnie.

Parafjanie dzień i noc czuwali na probostwie albo w gimnazjum.

Nieraz ze łzami, na klęczkach prosili, żebym się bodaj chwilowo ukrył, lub nawet uciekł z Baru.

Ani razu, dosłownie, ani razu, rady nie usłuchałem.

Postanowiłem użyć innej taktyki.

Na oznaczoną godzinę było gotowe dla zbójów obfite jedzenie (zawsze bez napojów) i duży samowar. Czekałem przybycia zbirów w domu. — Jeżeli przychodzili w nocy, posłyszawszy najmniejszy szmer, natychmiast ze świecą w ręku wycho-

dziłem na spotkanie, udając, iż nie wiem o ich zamiarach.—

Spokojnie, ale stanowczo zapytywałem: „zapewne głodni jesteście? — Samowar i jedzenie gorące jest, chodźcie do pokoju“.

Przezacny zakrystjan mój, Walenty Woźniak z Polski, przynosił samowar i zaczynał łgać jak najęty o tem, jak mnie car nienawidził. — Służąca matki, sierota, opowiadała o dzieciach biednych, które utrzymuję. (Jeżeli to było w dzień, to istotnie widzieli dzieci ze szkółki i gimnazjum).

Ta ostatnia okoliczność ogromnie dużo mi pomagała, bo rozbrajała tych łotrów.

Kiedy żołnierze bolszewiccy leżeli na probostwie w gorączce, w tyfusie plamistym, nietylko jako kapłan, ale jako człowiek, litość miałem nad tym nieszczęśliwym narodem, tak bezczelnie oszukanym. — Niejednego z nich własną ręką karmiłem.—

Zdrowi widzieli to i opowiadali swoim następcom, moim nowym lokatorom. —

Miałem u tych łotrów opinję „dobriaka“ — dobrego człowieka, a nawet uchodziłem za mądrego człowieka, co mi 2 razy oświadczyli, co prawda w dziwnych okolicznościach.

Raz, kiedy palili w piecu bibljoteką moją, a ja ich za to zbeształem, starszy powiedział: „Ech towariszcz (?) — ksiądz, ja myślałem, że ty rozumny człowiek, a ty dureń, wszak powinieneś wiedzieć, że książki napisali burżuje „biełoruczki“. — Dlatego żadna z nich nie przedstawia najmnejszej wartości. Wszystkie powinny być spalone. — Bibljoteki mogą

być składane tylko z książek. które napiszą ludzie „mozolnych ruk“ (mający odciski na rękach)!“

Drugi raz taki sam komplement powiedziano mi za to, że moja matka i ja żałowaliśmy ogromnie prześlicznej, rasowej krowy, premjowanej złotymi medalami na kilku wystawach, którą zabili bolszewicy. —

Była to własność sąsiadek naszych mniszek prawosławnych. —

Moi lokatorowie, kilkunastu żołnierzy bolszewickich, kiedy objedli doszczętnie spiżarnię moją, tak że ja sam nie miałem co jeść, ani oni, a w mieście nie można było dostać, ani jednego funta mięsa, dla zdobycia kilkunastu kilo mięsa zabili taką ładną rasową krowę. —

Chłopi miejscowi, chcąc uratować ten śliczny okaz, dawali za nią na wagę dwa razy tyle mięsa. Pomimo tego krowę zastrzelono. — Żołnierz pałaszem odciął kawał mięsa, przyniósł mi do kuchni, rzucił na stół: „Na, powiada, będzie tobie i nam“.— A kiedy zwymyślałem, dlaczego taką prześliczną rasową krowę zabili, jeden z nich powiedział mi: „Myśmy myśleli, że ty madry człowiek a tyś głupiec, właśnie dlatego, zabiliśmy ją, że była to krowa rasowa, wszak to prawdziwa burżujka. — Po co chłopu tyle mleka. — Co on kąpać się będzie w nim, czy co“. —

Śmierć dwa razy zajrzała mi w oczy, już za bardzo blisko!

Raz jeden 6 grudnia 1918 roku o godzinie 12-ej, w biały dzień, wtedy, kiedy w mieście odbywał sie roczny jarmark, przyjechało kilku żołnierzy z od-

działu Petlurowskiego, stacjonowanego o kilka kilometrów na dworcu kolejowym po zrobieniu rewizji, zabrawszy, co im tylko pod rękę wpadło, znaleźli rewolwer. —

Tuż zaraz na miejscu chcieli mnie rozstrzelać. —

Prosiłem, żeby wyrok wykonano za miastem, ale nie w pokoju, ze względu na obecność Matki — staruszki. — Powiedziałem tym łotrom, że każdy z nich przecie ma swoją matkę starą, której by było przykro patrzeć na to, jak jej syna mordują.

Niech wyprowadzą za miasto i tam wyrok wykonają.

Wyszliśmy z domu.

Łotry, sami siedli na konie, a mnie kazali iść i tak prowadzili przez miasto. —

Jak powiedziałem wyżej, był jarmark roczny.

Jarmarkowicze zobaczywszy, że kilku konnych oberwańców z karabinami prowadzili za miasto księdza, zaczęli na rynku grupować się i, złapawszy do rąk, co kto miał, otaczać moich konnych towarzyszy. —

Byłaby się krew polała. —

Role zmieniły się.

Musiałem przekształcić się w obrońcę moich niedoszłych katów. — Powiedziałem im to wyraźnie, radząc rozkazująco: „po jednemu, nieznacznie, wysuwajcie się z tłumu, bo was zmasakrują. — Radzę to zrobić natychmiast i uciekać, dokąd oczy poniosą“.

Stchórzyli! Rady usłuchali i uciekli. —

Zanim opowiem o drugim wypadku, muszę cofnąć się nieco wstecz. —

W Barze mieszkało prawie stale dwóch wywiadowców polskich, którzy perjodycznie wysyłali wszystkie wiadomości do Polski. — Nie trudno było jednak je zbierać ponieważ bolszewicy do sekretów nie bardzo byli zdolni, a też wcale nie kryli się z tem, jakiemi siłami rozporządzają. —

Jeden z tych wywiadowców, dziś już nieżyjący p. K. J. młody, odważny pełen poświęcenia, umiał był tak się zamaskować, że nawet rodzony ojciec nie wiedział co robi, a sąsiedzi Polacy gorszyli się „zdrajcą" (?) który służy bolszewikom i jest komisarzem". ---

Ale ten mniemany „zdrajca", bywał na tajnych posiedzeniach rewkomu i innych „komów", żeby potem wszystkie informacje wysyłać cd Polski.---

Jakżeż byłem zdziwiony, kiedy pewnego dnia, w chwli, kiedy rozmawiałem z żydem Mosinkiesem, wszedł nagle do pokoju kilkunastoletni chłopak i stanąwszy na baczność odrecytował: „melduję posłusznie, że jestem wywiadowcą, przybyłem z Kamieńca". —

Z początku myślałem, że to jakaś prowokacja, ale wpatrzywszy się w jasne oczy i rozpromienioną twarz tego dziecka, zrozumiałem, iż mam przed sobą bohatera, który z narażeniem życia swego przedarł się przez kordon. — Był to Adam Lech z P. O. W.— Kiedy w zadumie stojąc myślałem; jak wytłumaczyć żydowi niefortunny meldunek dzieciaka, posłyszałem głos Mosienkiesa ucickającego: „zginał pan, ksiądz zginął".—

Żyd ten M. miał syna studenta i bratanka też studenta, obaj potem pracowali u bolszewików. — Chociaż mam wrażenie, że jeden i drugi byli mi życzliwi, jednak, dowiedziawszy się o wizycie tego dzieciaka, musieli powtórzyć innym kolegom żydom - studentom, których pełno było w Barze.

Skończyło się na tem, że w styczniu 1920 r. pewien żyd, „dygnitarz“ bolszewicki, przyszedł do mnie sekretnie i wystąpił z następującą propozycją: „My żydzi jesteśmy księdzu wdzięczni, że nas bronił, z narażeniem własnego życia, w czasie pogromów Petlurowskich. — My nie chcemy księdza śmierci, ale dzisiaj o godzinie 5 popołudniu, ma być wydany wyrok śmierci na księdza, za wiadomą księdzu sprawę. — Za Barem czeka podwoda żydowska, jest tam i fryzjer, który księdza ucharakteryzuje i my gwarantujemy, że dowieziemy go w całości i oddamy do rąk wojsk polskich. — Proszę zaraz uciekać“.

Odpowiedziałem, że wyjeżdżać nie mam zamiaru, bo nie poczuwam się do żadnej winy, a o godzinie 5-ej będę koło magistratu, gdzie ma być sąd.—

Sprytny żydek na sądzie opowiedział całą naszą rozmowę, tłomacząc, że chciał mnie sprowokować, ale, że widocznie, nic nie jestem winien, skoro z propozycji nie skorzystałem, a spaceruję w czasie sądu przed oknami.—

W kilka dni potem przyszedł nakaz od władzy wyższej, żebym za wszelką cenę został zasądzony na śmierć!

Żydzisko przyszedł po raz drugi i, już dosłow-

nie ze łzami, zaczął mi tłomaczyć, że teraz to już wyjścia niema, że muszę uciekać. —

Ponieważ najmniejszego zamiaru opuszczania parafji nie miałem, a na pastwę bolszewików pozostawić matkę i tych którzy byli pod moją opieką nie mogłem, postanowiłem użyć w mojem przekonaniu „wojennego fortelu“. —

Zamknąwszy drzwi na klucz, mówię do żydziaka: „Dziękuję panu za szczerość i życzliwość, złożę panu zaraz dowód, że mam go za człowieka porządnego i rozumnego.— Niech pan mnie zrozumie, że ja muszę zostać w Barze“. — Wyjmuję z kieszeni jakiś papier i czytam mu, komponując treść. — Oto widzi pan, że muszę w Barze być do przyjścia wojsk polskich. — Jeśli wyjadę, polacy będą mnie uważali jako zdrajcę i hańbą okryję swoje nazwisko i całą rodzinę. — Jeśli zostanę wy mnie rozstrzelacie, ale sławą okryję swoje nazwisko, żem zginął na posterunku. — Chyba pan rozumie, że wolę zostać tu. —

Ostrzegam, jeśli, zginę ja to pamiętaj pan, że będzie i z wami...“ i pociągnąłem palcem po gardle. —

11 lutego 1920 roku, pojechałem do chorego na wieś. — Wracam o 10-ej, za miastem spotyka mnie organista mój, pan Molędowski (dziś jest we wsi Zagnańsk w Kieleckim) i opowiada, że wojsko otoczyło kościół i probostwo, że Matka aresztowana z nauczycielkami gimnazjum, że robią bardzo szczegółową rewizję, że przyszedł rozkaz wojskowy z frontu, żeby mnie natychmiast aresztować i oddać pod sąd polowy, że Matka błaga mnie bym nie wracał i schował się albo uciekł.

Kazałem prędzej konie popędzać, zdążając na probostwo. — Koło probostwa opadli mnie żołdacy. Natychmiast zrobili osobistą rewizję, zdarli brutalnie burkę i pod karabinami poprowadzili na sąd polowy.—

Szliśmy właśnie przez rynek, kiedy poczułem na sobie wzrok, który mnie przeszywał. — Ze zdziwieniem zobaczyłem mego żydka, który stał blady jak trup, oparłszy się o latarnię mejską. —

Powtórzyłem ten sam ruch palcem po gardle, którym pożegnałem go w czasie ostatniej naszej rozmowy.

— Postawiono mnie przed oblicze sadu polowego, a raczej dowódcy brygady, wszechwładnego pana życia i śmierci, p. Kwiatka, b. urzędnika pocztowego z Połtawy.

Nie mogłem się domyśleć, który z moich „grzechów", ma być przedmiotem rozważań sądu polowego! Jakże byłem zdziwiony, kiedy mi pokazano akt zeznania napisany (?) i podpisany (?) przez Adama Lecha, tego biednego dzieciaka, który już raz u mnie był! —

Kiedy szedł po raz drugi, na froncie złapali go bolszewicy, niemiłosiernie skatowali i biedny chłopiec wszystko wyśpiewał. — Wobec znalezienia przy nim legitymacji, wydanej przez P. O. W., losy jego już były przesądzone. — W sąsiednim pokoju został poddany torturom. — Odcięto mu uszy, nos, wyłupano oczy i nawpół żywego potem rozstrzelano. — „Sędzia", który mnie sądził. dowódca brygady, opowiadając, jak zginął Adam Lech, zakończył, że jeśli do wszystkiego (?) nie przyznam

się, to spotka mnie taki sam los: — Że ksiądz zginąć musi, to chyba o tem nie wątpi, ale jeśli wszystkiego nam nie opowie, co wyprawiał, to zrobię z nim to, co z Adamem Lechem".—

Byłem pewien, że los Lecha mnie nie minie. — Nie miałem nic do stracenia. — Śmierci nie bałem się. — Co do tortur to byłem pewien, że pierwszej serce słabe nie wytrzymałoby. — Wolałem jednak śmierć zwykłą pod „stienkoj" i dlatego ostro odpowiedziałem panu Sędziemu: „Śmierci się nie boję, mnie życie tak obrzydło z wami, że będę szczęśliwy, jeśli prędzej umrę. Za czasów carskich każdy skazaniec miał prawo przedstawić dwie prośby, które mu zawsze w granicach możności starano się spełnić. Czy wy przedstawiciele rządu ludu, macie ten zwyczaj? Jeśli tak, to moja prośba pierwsza: natychmiast wypuścić Matkę i domowników, bo oni do niczego nigdy się nie mieszali, druga — rozsztrzelać natychmiast, bez naigrawania się".

Sędzia wziął kartkę, napisał rozkaz do komendanta: „Proboszcza kościoła w Barze, księdza Marjana Tokarzewskiego rozstrzelać".

Podpisał, a po chwili, kiedy miał pieczęć przyłożyć, do uszów moich doszedł jakiś niezwykły hałas.

Myślałem, że gorączkuję, bo słyszałem śmiech tłumu, złączony z rykiem jakiegoś bolszewika, który krzyczał: „Kulemioty, kulemioty"!!

Mój sędzia nadsłuchiwał.

Po chwili wpadł do pokoju oficer bolszewicki, coś mu szepnął na ucho i obaj pośpiesznie wyszli.

Ja zostałem pod najeżonymi karabinami straży. Prawie 3 kwandranse czekałem powrotu sędziego.

Wreszcie przyszedł, wypędził straż, podał mi rękę poprosił usiąść. Myślałem, że to komedja. Sędzia jak gdyby się tłómacząc zaczął taką mowę: „Tylu popów rozstrzelałem, nigdy, nikt za nimi nie obstawał. Księdza aresztowałem, przybiegli prawosławni i naturalnie Polacy, ale i ludność żydowska. W jeden głos krzyczą: „oddać księdza!“ A co najważniejsze, że prezes czerezwyczajki i Parkomu (Partyjnego Komitetu), żyd dał na piśmie zaświadczenie całego Komitetu, że biorą odpowiedzialność za księdza, że ręczą za to, że ksiądz jest zupełnie pewny człowiek, że za czasów carskich był na wygnaniu że się opiekował żołnierzami naszymi i galicyjskiemi, chorymi na tyfus plamisty i t. d. Wobec tego ja księdza zwalniam, może ksiądz wracać do swojej pracy“.

Moje spotkanie w drodze na sąd z tym żydziakiem pomogło. Co prawda nasze panie E. B., M. J., M. K. rozesłały gońców po całym miasteczku i sąsiednich wioskach, gromadząc lud, ale jestem przekonany, że gdyby nie to symboliczne pociągnięcie palcem po gardle, wyrok byłby wykonany.

X.

Niewiasty polskie.

Z Parafjan moich dumny byłem. Ostatnie przejścia jeszcze więcej zjednały mi serca wszystkich bez różnicy stanu, a nawet i nie parafjan.

Inteligencja trzymała się kościoła, jako jedynego miejsca, gdzie mogła bez obawy wszystkie bóle swoje wypłakać i otuchy do dalszej walki nabrać.

Zwłaszcza niewiasty polskie wykazały bohaterskie zalety, wprawiając w podziw, niejednokrotnie nawet bandytów.

Nauczycielka panna Marja Klor mieszkała w gimnazjum, razem z matką swoją. Wieczorem o godzinie 10 dano mi znać, że bolszewicy zajęli jej pokój i awanturują się. Wzywano o ratunek. Wchodzę i zastaję dwóch bolszewików, stojących z karabinami, i płaczącą nauczycielkę, która mi się żali, że ci dwaj bandyci chcą razem z niemi w jednym pokoju spać. Na to żołnierz drwiąco mi mówi: „przecież to nic nie zaszkodzi, jeżeli panienki spać będą z bolszewikiem. Tak my jej powiedzieliśmy, a ona nam odpowiedziała, że ze świńmi nie spała i spać nie będzie“.

Powiedziawszy te słowa, obrażeni (?!!!?) wyszli.

Młoda, prawie dziecko panna R., zostawszy sama jedna w domu, po śmierci matki, dawała sobie radę z bandytami i tak umiała lawirować, że krzywdy jej nic zrobili.

Siostra nauczycielki, obywatelka z sąsiedniej wioski, (o której na początku wspomniałem) tak dzielnie i energicznie stawiała się, że tak bolszewicy jak i Petlurowcy stale ją nazywali: „gordaja Polka".

Przyznać to muszę, że z wyjątkiem paru błędów, jak roboty przy burakach w fabryce żydowskiej, potem praca 2-ch pań u chłopów na żniwach, ogólnie biorąc, niewiasty polskie z inteligencji miejscowej zachowywały się bez zarzutu, z ogromnem poczuciem osobistej godności.

Żadnych uniżeń się, żadnych próśb, płaszczenia się wobec wrogów!

Z bohaterskim wysiłkiem stała polska niewiasta kresowa w swojej fortecy — ognisku rodzinnym, jako straż przednia, strzegąc skarbu ducha religijno - narodowego w rodzinie i otoczeniu.

A potem, kiedy przyszły ciężkie chwile przeżyć rewolucyjnych, bohatersko wytrwała z godnością na stanowisku niemal do ostatniej chwili.

Niestety, nie dopisali bardzo panowie. Kilku z nich, którzy byli zostali, (bo reszta wyjechała do Polski i już służyła w wojsku), nie przynosili zaszczytu, ani swoją odwagą, ani pracą dla sprawy polskiej *).

---

*) Wyjechali do Polski i wstąpili do wojska: trzej bracia Rożałowscy, Hałuszczyński, Tokarzewski, Pniewski.

Pan Os. obywatel, okropny tchórz, ciągle się chował przed bolszewikami, a nawet raz jeden 3 dni w kurniku przesiedział.

Nie mogę mu tego zapomnieć i darować, że mając pieniądze i bardzo cenne klejnoty, które u mnie przechowywał, pozwolił swojej żonie, bardzo inteligentnej kobiecie i dwom córeczkom podlotkom (a nawet jak niektórzy twierdzą kazał) udawać nędzarzy i chodzić na roboty podziemne do żydowskiej fabryki, gdzie zarabiały po kilkadziesiąt groszy na buraczanych plantacjach. Było to tem dziwniejsze, że ich sąsiadka pani J. R., kobieta młoda, zostawszy z trojgiem małych dzieci i będąc istotnie w wielkiej potrzebie, a szanując swoją godność, nie chciała korzystać z propozycji komitetu wiejskego usłużnych przyjaciół i nie poszła zbierać zboża w majątku własnym w Iwanowcach, do czego bardzo ją zachęcano.

Drugi typ ujemny polskiego inteligenta był pan Or., adwokat miejscowy. Ożeniony z prawosławną, moskiewką, nienawidzącą Polaków, dzieci wychowywał w duchu rosyjskim i ochrzcić w kościele nie chciał, a w dodatku, kiedy go później sądy Petlurowskie sądziły za to, że był komisarzem bolszewickim, w mowie swojej nietylko publicznie wyrzekł się swojej narodowości polskiej, ale co było jeszcze potworniejsze i o matce swojej fałszywie i kłamliwie zeznał, że nigdy nic wspólnego z polskością nie miała.

* * *

DZIELNA POSTAWA LUDU WIEJSKIEGO.

Lud, jak gdzieindziej o tem wspomniałem, długo się wahał, z przyjęciem udziału w podziale ziemi

dworskiej. (Potem zaczęło się od wyrąbania doszczętnie lasu kościelnego, rządowego i prywatnego).

Do wojsk bolszewickich i Petlurowskich nie poszedł dosłownie ani jeden mój parafjanin ze wsi, poszło 2 czy 3 mieszczóchów - katolików.

Nie było w ciągu 3 lat, ani jednego wypadku zdrady wiary. Przeciwnie, wysoki urzędnik państwowy, inspektor podatkowy, Miziecki i komisarz bolszewicki Blech przed śmiercią nawrócili się z prawosławja, ku wielkiemu niezadowoleniu swego sąsiada, popa.

Dwa czy trzy małżeństwa mieszane, jako skutek postoju wojsk po wsiach, na parafię liczącą 8000 dusz, która w dodatku tyle przeżyła, nie nie było za dużo.

* * *

Autorytet mój w parafji zdnia na dzień wzrastał. Nietylko dzięki ogólnej pracy kapłańskiej i społecznej, ale też i dzięki kilku moim, że tak się wyrażę, "proroctwom", które, niestety, zbyt prędko spełniły się.

Ciągle, w kazaniach podkreślałem, że, za grzechy ludu, za zbrodnie, rabunki, podpalania, za krzywdę ludzką, za niszczenie świątyń, poniewierkę wszystkich świętości religijnych i narodowych, musi spaść kara Boska na naród.

A ponieważ lud gorąco pragnie przedewszystkiem pieniędzy i ziemi, myśląc tylko o sprawach materjalnych, zaniedbuje zaś sprawy duszy, dlatego też spadną na nich następne kary boże: (podkreślam, mówiłem do ludu wiejskiego) 1) Ziemię otrzymają, ale tak znienawidzą to dobrodziejstwo, że pro-

sić będą, by ją zabrali od nich z powrotem. 2) Pieniędzy tyle będą mieli, że zamiast siana, papierkami wykładać będą „rzeszota dla sadzenia kwok na jajach". 3) Trzecia część ich wymrze z głodu, nędzy i chorób. 4) W końcu przyjdzie na nich największa, ostatnia kara, najstraszniejsza: „głód słowa Bożego".

Byłem świadkiem, jak te moje smutne proroctwa spełniały się jedno po drugim.

W 1919 r. w ciągu 3 miesięcy na tyfus plamisty wymarło tyle, ile przedtem w ciągu 30 lat. Były wioski (Okładne, Szersznie), gdzie istotnie prawie trzecia część wymarła. Bolszewickich pieniędzy, Petlurowskich i Denikowskich mieli poddostatkiem. Nic za nie kupić nie mogli.

Na przedmieściu Czeremysach, mój organista Molendowski widział na własne oczy kwokę siedzącą na jajach w rzeszocie, w którym były papierki bolszewickie i Petlurowskie, zamiast siana.

W sąsiednich parafjach 2 księży umarło na tyfus plamisty, trzeci został zamordowany przez bolszewików i zaczynał się „głód słowa Bożego!" A za nim szybkim krokiem dążyła ruina moralna i materjalna całego dorobku kulturalnego w ciągu tylu wieków.

* * *

ZMARNOWANE SKARBY.

Niejednemu może przyjdzie na myśl, dlaczego polacy na Kresach pozostawili na łup bolszewików tyle nieocenionych skarbów.

Dla wydania sądu w tej sprawie trzeba pamiętać przedewszystkiem o tem, że 1) prowincja była odcięta całymi miesiącami od świata.

2) Ci, którzy przychodzili do nas z Polski mieli za zadanie coś od nas dowiedzieć się, a nigdy nie poczuwali się do obowiązku, dostawszy się na prowincje, uświadomić miejscowe społeczeństwo. A może i sami nic nie wiedzieli, bo byli używani, jako zwykłe pionki.

3) Przedstawiciele poszczególnych partji politycznych od swoich centrali nie otrzymywali żadnych dyrektyw.

4) Zorganizowani przez P. K. W. komisarze gubernjalni i powiatowi też nie spełniali swego obowiązku uświadomienia o faktycznym stanie, szerokich kół inteligencji polskiej, rozrzuconej na prowincji.

5) Barbarzyństwa bolszewików i Petlurowców były tak wielkie, a wszystkie prawa przez nich wydawane tak absurdalnie nielogicznie, że nikomu z nas na prowincji na myśl przyjść nie mogło, że te rządy absurdu mogą zyskać przyjaciół wśród narodów kulturalnych.

6) Byliśmy pewni, że, wcześniej czy później, ten kolos na glinianych nogach runąć musi. Ba. Gdybyż to była pewność, że „wcześniej, czy później" runie. Myśmy byli przekonani każdego dnia, że ten trup żyjący i rozkładający się „jutra" nie doczeka.

7) Mieliśmy nadzieję, że „coś" zrobi Francja lub Anglja.

8) A przedewszystkiem podtrzymywała nas wielka wiara w „Polskę idącą" i genjusz Piłsudzkiego.

9) A gdyby to wszystko nas było zawiodło, mieliśmy nadzieję, że zwycięży „zdrowy rozum ludu", a musi być inaczej niż jest.

Tak zapewne myśleli magnaci Sanguszko, Potocki, Mańkowscy, Brzozowski i inni, którzy oddali na łup dziczy nieocenione skarby.

Prawdopodobnie, tak myśleli biskupi i kapłani, którzy na pastwę żydów zostawili skarby kościelne, oczekując, że będzie „inaczej".

I z każdym dniem istotnie było inaczej, bo coraz gorzej.

Wymordowano obywateli i zamożniejszą inteligencję, celowo wygnano resztę Polaków inteligentnych, zrabowano kościoły wszystkie, zbolszewizowano szkoły polskie.

A szkoda, wielka szkoda, że nikt się nie poczuwał do obowiązku, bodaj choć wtedy, kiedy polskie wojska odstępowały powiedzieć: „Skończone, zabierajcie co możecie i wychodźcie".

Pewien polski komisarz, swoje skarby w kilku wagonach zdążył wywieźć do Warszawy... Ileż to cennych skarbów udałoby się było wyratować od zniszczenia, gdyby był innym powiedział w czas to, o czem sam już wiedział.

Szkoda tych skarbów. Ale jeszcze więcej żal dusz ludzkich. Dzisiaj tam wielki „głód słowa Bożego".

Ten głód zrobi największe spustoszenia, przedewszystkiem zgangrenuje dusze dzieci i młodzieży.

XI.

Młodzież i dzieci.

Takie wspaniałe podniosłe dusze, takie szlachetne i subtelne były wśród naszej młodzieży kresowej. Tyle ich zginęło bohatersko dla sprawy Polskiej z pieśnią na ustach „Boże coś Polskę". Mury czerezwyczajek Kijowskiej, Winnickiej, Chartowskiej, kiedyś jako relikwie święte, czczone będą, bo wszystko tam przesiąkło krwią męczenników polskich XX. wieku.

I w Barze zginął, najokrutniej zamordowany, Adam Lech (pseudonim), uczniak 6 klasy; młoda 16 - letnia dzieweczka, blondynka, niewiadomego nazwiska, śliczny młodzieniec O., jedynak u rodziców.

A iluż ich zginęło na całej Ukrainie. Może krew męczeńska tych dzielnych bohaterów wyprosi łaskę u Boga dla tych którzy tam zostali.

* * *

A małe dzieci kresowe?

I tam były dzielne charaktery. Jedne pod wpływem niewoli, inne szkół polskich, inne znowu na

widok barbarzyństw bolszewickich i Petlurowskich, inne znowu dzięki wychowaniu szlachetnych rodziców ponad wiek mężniały.

Zawsze bardzo lubiłem dzieci. Imponują mi przedewszystkiem tą bezgraniczną wiarą w ludzi.

Te ich oczęta śliczne, jasne, pełne niewinności, wysubtelnione duszyczki, pociągały zawsze serce moje ku nim.

Ileż to razy patrzyłem w życiu moim jak z tych przecudnych kwiatów świat przewrotny, otoczenie, a czasem niestety i przykład własnych rodziców, listek po listku odrywał i pozostawała tylko bezkształtna łodyga, nieraz za całą ozdobę mająca kolce ostre. Jak najczęściej, właśnie dzięki rodzicom, marnowały się bogate talenta, piękne dusze, a wyrastały rorogi.

Dużo miałem „przyjaciół" i wśród dzieci.

Jedne z nich bezwiednie instynktowo odczuwały we mnie przyjaciela, innym znowu, którym los niemiłosierny dał rodziców złych, bez serca, starałem się tę krzywdę wynagrodzić.

Pięknym typom kresowych dzieci słów kilka chcę tu poświęcić.

Wspominam o dzieciach tylko takich, które cnoty, swoje, przedewszystkiem, zawdzięczają wychowaniu własnych rodziców.

Mały Adaś 10 - letni, syn ubogiego włościanina z Kosarzyniec, ciche, spokojne, poważne dziecko, śpiewał ładnie „W żłobie leży". Pewnego dnia poprosił ojca, żeby mu wyraźnie wskazał palcem, gdzie są napisane strofy tej kolędy. Po paru miesiącach, ku zdziwieniu całej wsi, czytał już z książki. Wpatrując się po całych dniach w strofy kolędy

„W żłobie leży“, sam bez niczyjej pomocy nauczył się czytać.

Janek, 7 - letni bąk, z Lewaczów, o ślicznych oczętach i pyzatym buziaku, w ciągu miesiąca nauczył się czytać z elementarza i z ogromną powagą potem... uczył swego dziadka.

Hela, 6 - letnia dziewczynka inteligentnych rodziców z Budnego z wielką uwagą słuchała zawsze moich nauk. W czasie sumy stale siadywała naprzeciw konfensjonału i bardzo smutnie patrzyła mi w oczy. Po kilku tygodniach zdecydowanym szybkim ruchem objęła mnie za nogi, ze słowami: „Ja taka gzieśnica wielka, plosę o śpowieć“.

Jureczek z Iwanowiec w 5-roku życia, decydujący bardzo trafnie w sprawach gospodarskich i zamiast patrzeć jak wróble latają, on mówi, kiedy idziemy z ojcem jego, przez pola: „Tatusiu, coś bardzo rzadka pszenica rośnie u nas“. A kiedy miał lat 9 i przyszedł ze szkoły koedukacyjnej (oj te koedukacje!) opowiadał mi dosłownie: „W poniedziałek moi koledzy mają pojedynek na ostre szable. Jaś pocałował koleżankę w rękę, a Staś dał mu w gębę. Jaś mówi, że Dosia jego, a Staś mówi, że jego. Obaj oni głupcy, bo nie wiedzą, że ona moja“.

Jurek nigdy nie kłamał i wyjątkowo brzydził się wszelkim fałszem.

5 - letnia Zosia K. lubi sąsiadkę z dziedzińca 7 - letnią żydówkę. Ciągłe sekrety. Bona podsłuchuchuje rozmowę. Zosinka prosi Chajkę: „Proszę ciebie przeżegnaj się i zmów paciorek, jabym tak chciała, żebyś była Polką“.

4 - letni Zbysiek R. przeczulone dziecko na punkcie miłości dla matki. Najmniejszy smutek jej zaraz

się odbija na twarzyczce dziecięcej. Po każdej rewizji bolszewickiej i Petlurowskej widzi matkę zbolałą i zmęczoną i kiedy mu pewnego razu nie chce odpowiedzieć na jakieś pytanie, Zbysiek, zagląda w okno, widzi idących bolszewików i mówi: „Swoboda idzie i mamusię kąsia".

* * *

Dzieci ludu wykazywały zawsze szczególną chęć do nauki. Nie przemawia przezemnie słabość do dzieci naszych polskich, ale naprawdę, tak się jaskrawo wyróżniały, tak były zawsze kulturalniejsze od dzieci rosyjskich i rusińskich, że nawet w szkołach rosyjskich, kiedy za figle karcił je nauczyciel to nieraz mówił: „Jak ty wstydu nie masz, wszak ty katolik". Niestety talenta, charaktery, piękne idealne duszyczki polskich dzieci paczyły zażydzone szkoły rosyjskie.

———

XII.

Dlaczego Petlura przegrał.

Bolszewicy rosyjscy tak prędko obrzydli ludowi na Rusi, że Petlura właściwie mógłby mieć nadzieję, że wznieci ruch dla uwolnienia się z pod jarzma bolszewicko - żydowskiego.

Dlaczegoż mu nie udała się ta „robota".

Kiedyś w przyszłości wielcy politycy i historycy sądzić będą o tem na podstawie najrozmaitszych dukumentów urzędowych.

Jednak, prawdy istotnej nie powiedzą, jeśli nie sięgną do pamiętników ludzi „małych", którzy nie w stolicach, w kancelarjach wojskowych, czy cywilnych, ale na prowincji wśród ludu pracowali, z nim się zżyli, potrafili zdobyć sobie zaufanie tego ludu, bez różnicy narodowości, i przed którymi nikt z tak zwanych działaczy ludowych, małomiasteczkowych i wiejskich, nie potrzebował i nie miał najmniejszej racji kłamać.

Do liczby takich ludzi „małych", obdarzonych wyżej wymienionymi przymiotami zaliczam siebie i dlatego swoje zdanie, wypowiadam o istotnych powodach, dla których Petlura przegrał sprawę.

Na próżno przyjaciele jego zwalają winę na Polskę, że oręża nie dała, że pieniędzy nie dała; że inne państwa tego ruchu Petlurowskiego nie podtrzymały. Nie tu się ukrywała główna przyczyna.

Pierwszy powód przegranej, to był brak ludzi ideowych.

Petlura otoczył się karjerowiczami i bardzo nikły procent miał ideowych ludzi.

Tacy współpracownicy, na prowincji zwłaszcza, nie byli w stanie zrodzić narodowego ducha ukraińskiego.

Mówię wyraźnie „zrodzić", bo na Podolu i Wołyniu tego ducha nigdy nie było, a wszystko to, co stworzył Petlura było sztucznym ukrainizowaniem, które nikogo literalnie tam nie obchodziło.

O szkołach ukraińskich chłopstwo i słyszeć nie chciało.

Odezw i gazet pisanych po ukraińsku nikt z ludu nie czytał. Wydrwiwano język, wyśmiewano strój narodowy (?) żołnierzy petlurowskich. Było to na Podolu i Wołyniu powszechne. Przy takim nastroju mas ludowych, kiedy kto był wspomniał o „wolnej samodzielnej Ukrainie", to uważano go za prowokatora lub warjata. Wierzono, że: „wróci car", „będzie Polska", „będą Niemcy" na Podolu; uwierzonoby, że i Japończycy będą. Ale ani jednego człowieka nie spotkałem na Podolu i Wołyniu w ciągu 20 lat pracy kapłańskiej, któryby wierzył szczerze, że kiedyś będzie Ukraina samodzielna.

Trzecia przyczyna: wszystkie rządy ukraińskie ciągle deklamowały chłopom: „ziemla i wola".

Ponieważ to samo „o ziemi i woli" głosili i bolszewicy, lud wybierał tego, kto był w danym mo-

mencie silniejszym i od którego można było jaknajwięcej wziąć, a jaknajmniej z siebie dać.

Bolszewicy przyszli ze swoim wojskiem i „rekruta“ nie wymagali, a Petlurze trzeba było dać go.

Po co?

Dla „ziemi i woli?“

Bez żadnego zachodu i dawania rekruta miał to chłop od bolszewików.

Dla sprawy narodowej?

Ależ o tem pojęcia nikt nie miał.

Po czwarte: lud chciał, żeby ktoś mu dał „spokój“, ład, żeby władze cywilne i wojskowe istotnie broniły sprawy ludu. A wojska Petlurowskie różniły się od bolszewicko - żydowskich tylko tem, iż żydów biły, a lud jednakowo obdzierały.

Po piąte: Petlura się skompromitował w oczach ludu bezpowrotnie — rozkazem swoim o wycofaniu z obiegu złota i carskich pieniędzy. Lud to wręcz nazwał złodziejstwem.

* * *

Sądy Petlurowskie. Ach, ileż by się o nich dało pisać.

Co za potworna parodja!

Na kilku tych sądach byłem w charakterze świadka, ratując ludzi od niechybnej śmierci.

Sądzono za służbę u bolszewików. Pracę w urzędach bolszewickich uważano, za zdradę Ukrainy, **jako państwa, potrzeby** istnienia, którego nikt nie uznawał i w możliwość powstania nie wierzył.

Sądzono zawsze pod jednym i tym samym zarzutem, i chłopów, byłych oficerów rosyjskich i inteligentów.

Stanął więc przed sądem łotysz Blech, były „praporszczyk“ armji rosyjskiej, potem komisarz bolszewicki wojenny w Barze. (Przed śmiercią nawrócił się, przyjął Komunję św. z rąk moich) Potem skazano na śmierć jeszcze kilku. Odwiedzałem ich wszystkich w więzieniu.

Byli tam inteligenci, byli też i prości chłopi wiejscy.

Kiedyś wezwano mnie o 2-giej w nocy, bym wyspowiadał skazańców.

W dużym pokoju, w którym nie było ani jednego mebelka, ani źdźbła słomy w czterech kątach pokoju klęczeli skazańcy, na których padało światło od malutkiej świeczki. Jeden z nich ciągle się żegnał i milcząc bił pokłony, drugi wył przeraźliwie, miotając bluźnierstwa, trzeci rwał sobie włosy na głowie i ciągle powtarzał w kółko „dziatki moje, dziatki moje“, czwarty, właśnie ten Blech spokojnie czekał mego przybycia.

Wiózł mnie do więzienia adjutant komendanta miasta, niby Petlurowiec, w rzeczywistości zaś tak samo jak i komendant miasta oficer armji Denikina. Klął i złorzeczył Petlurze i całej tej zgrai, jak się wyrażał, która niczem się nie różni od bolszewików.

I tacy ludzie mieli prowadzić sprawę narodową ukraińską! Na mocy ich rozkazów oddawano pod sąd polowy „zdrajców sprawy ukraińskiej“. Nie mieli, ani kodeksu karnego, ani sędziów, ani prokuratorów.

Zainscenizowano naprędce „sądy ludowe“.

Był prezes z urzędu i assesorowie: żołnierz, obywatel miasta, chłop.

Jakiś wiejski nauczyciel wygłaszał w zastępstwie prokuratora oskarżenie. Nawet w oczach ludu wiejskiego robiło to wszystko wrażenie potwornej komedji, która niestety kończyła się często wyrokiem śmierci.

Wracając z więzienia z tym oficerem, adjutantem komendanta N., wyciągnąłem go za język i kiedy się wygadał, że obaj z komendantem nic wspólnego z Petlurą nie mają i mieć nie chcą, wykorzystałem tą wiadomość, żeby potem kilku więźniów uwolnić zupełnie, a kilku od kary śmierci uratować.

Sądzono adwokata Or. Polaka - katolika. Służył u bolszewików. Starał się Polakom ułatwiać rozmaite sprawy w urzędach bolszewickich. Dlatego też chciałem go wyratować, chociaż za swój niecny postępek zaparcia się narodowości swojej publicznie w sądzie, zupełnie na to nie zasługiwał. W zeznaniu moim, jako świadek, przedstawiłem go sądowi, jako zdeklarowaną lichotę moralną, z którą kolonja polska nigdy nic wspólnego nie miała i mieć nie chce (bo tak istotnie było), że on jest właściwie duszą i ciałem oddany sprawie nie polskiej. Oskarżony moje zeznania potwierdził, oświadczając, iż jest ukraińcem i... sąd go uniewinnił.

Dzięki też stosunkom, uratowałem życie Łuckiewicza i Biełousowa.

Kilka innych wyroków śmierci, wykonanych przez sądy Petlurowskie, ostatecznie zraziły ludność miejscową do tak zwanej sprawy ukraińskiej.

Mówili mi: „o co oni się kłócą, wszak jedni i drudzy są bolszewikami tylko, że ci mówią po rosyjsku, a ci po rusińsku. O co im chodzi?

XIII.

Ponad siły ludzkie.

Trzyletni pobyt mój w Barze, w takich warunkach, był męką, zdawało się, **ponad siły ludzkie.**

Ale czegoż nie wytrzyma duch ludzki zahartowany w ogniu cierpień wielu!

Proszę naprzykład wyobrazić sobie, jak wielkie musiało być napięcie nerwów moich, Matki, rodziny i gości moich, każdej godziny, w ciągu 3 lat (pomijając wszystko inne, o czem wyżej było), chociażby tylko z powodu następującego faktu.

Na nowym probostwie były suteryny, bezpośrednio połączone z obszerną piwnicą, w której złożono kartofle. Kiedy w roku 1918 wyszedł był pierwszy nakaz, grożący, „karą śmierci bez sądu i śledztwa“ tym, którzy natychmiast nie oddadzą oręża, ktoś z domowników moich, w nocy zakopał w piwnicy kilkanaście karabinów, kilka rewolwerów, szabli, pałaszy i t. d. ze zbioru brata mego, który przechowywałem na probostwie.

Dół wykopano za płytki i cały „arsenał“ z wierzchu, zaledwie tylko na kilka cali, przesypano piaskiem i zakryto kartoflami! Pracowano w nocy.

Na drugi dzień przyszło wojsko i zajęło dom wraz z piwnicami i suterynami.

Czternaście razy zmieniły się władze i czternaście razy wydawały rozkaz „pod karą śmierci bez sądu i śledztwa oddać oręż“!

Gdybym nawet był chciał oręż ten wykopać i przewieźć gdzieś za miasto, nie było na to zupełnie, ani czasu, ani żadnej możności. O oddaniu, dobrowolnie, której bądź kolwiek „władzy“ mowy być nie mogło.

Tymczasem i żołdactwo i służba chodzili do piwnicy i brali kartofle, aż do ostatecznego ich wyczerpania. Byliśmy w ustawicznym strachu, aż do przyjścia wojsk polskich, że lada moment „arsenał“ zostanie wykryty, a wówczas zginę ja i domownicy moi!

Drugą udręką nieustanną była obawa o los i honor młodych kobiet, które się schroniły na probostwo. Jak na nieszczęście i siostra i bratowa i kilka innych pań i panienek wszystkie były przystojne. Ileż to nocy było niedospanych, ile niepokoju, nad wymyśleniem rozmaitych sposobów i środków, żeby tak ułagodzić dzikie instynkta band łotrowskich, które nawiedzały probostwo, i tak ich przyjąć żeby im na myśl nawet nie przyszło zająć się paniami.

Gdyby tylko te dwie okoliczności wziąć pod uwagę i pomyśleć, że w takim niepokoju żyć trzeba było kilka lat to naprawdę, po ludzku sądząc, można było zwarjować.

I tu z ratunkiem przychodziła wiara!

Szedłem do kościoła i klęcząc przed Najświętszym Sakramentem wołałem do Pana: „Panie ratuj, Panie zmiłuj się. Daj śmierć, a nie daj hańby i ponie-

wierki". Do takiej modlitwy zachęcałem i parafjan, a zwłaszcza dzieci. I Bóg dobry wysłuchał. Ani hańby kobiet niebyło, ani też nigdy żaden bolszewik i bandyta nie znieważył mnie czynnie, nawet wtedy, kiedy byłem aresztowany.

Ja straciłem tylko cały majątek i zdrowie. Ale koledzy moi w czasie rewolucji bolszewickiej na Podolu i w dyecezji Łucko-Żytomierskiej, bardzo dużo ofiar ponieśli.

Wszystkich nietylko doszczętnie zrabowano, ale wielu bito, nielitościwie maltretowano i najohydniej naigrywano się nad nimi.

Ks. Lisieckiego, Babarskiego, Teofila Szeptyckiego, Cyryla Bujalskiego, Zygmunta Krzyżanowskiego, Kaliksta Butyńca, Kazimierza Mazura — zamordowali bolszewicy, ks. Dzięὀzika — ukraińcy.

Prawie każdy ksiądz krócej lub dłużej był więziony w czerezwyczajce, oczekując z godziny na godzinę tortur lub śmierci.

* * *

NAGRODA.

Za wszystkie cierpienia moralne, za wszystkie straty materjalne i wszelkiego rodzaju krzywdy doznane od bolszewików wszystkich trzech kategorji, sowicie Bóg nam zapłacił moralnym zadowoleniem kiedy wojska polskie zajęły były Podole.

Czy z punktu widzenia politycznego było to złe, czy dobre, nie mnie o tem sądzić, ale było to dla nas zaszczytem, byliśmy z tego dumni, że wojska polskie wszedłszy na Podole, w każdej parafji starały

się podtrzymać jaknajserdeczniejsze stosunki z kapłanami.

A kiedy przyszedł dzień 3-go maja, ileż to radości, ile tryumfu!

Powtarzały się te same sceny, które były przy spotkaniu wojsk, wchodzących do miasta.

Księża i lud zapłakiwali się, aż oczy im puchły od łez, kiedy kapłani w mowach swoich wychwalali bohaterstwo żołnierza polskiego, mówili o nich, jak o obrońcach krzyża Chrystusowego i wspominali dzikie hordy barbarzyńców, których z kraju wygnał dzielny żołnierz polski *).

Cieszyło się serce kapłana - Polaka, patrząc jak wojsko przyjmowało udział w dziękczynnych nabożeństwach, procesjach, pochodach i zebraniach towarzyskich.

Lud polski budował się dobrym przykładem wojska polskiego, szczycił się i przechwalał wobec moskali i rusinów prawosławnych, że polski, katolicki żołnierz to nie taki jak ich.

* * *

A kiedy się tak działo w kościele i poza kościołem, bolszewicy czuwali..., wobec słabo obsadzo-

*) Kiedy w kościele w Barze w czasie kazania stanął przy oficerach polskich syn miejscowego kowala G. oficer petlurowski, który wyrzekł się był swojej narodowości, służył Petlurze i przyjmował czynny udział w pogromie żydów w Proskirowie, a ja przemawiając do oficerów polskich zauważyłem go w ich środowisku, myślałem, że mnie apoplekcja zabije. Przerwałem kazanie i kazałem zdrajcy precz wyjść z kościoła, ażeby otarłszy się o mundur polskiego oficera nie skalał honoru jego.

nych tyłów armji, szpiegów bolszewickich było pełno.

Każdy krok księdza, każde jego słowo, każdy czyn w kościele i poza kościołem, tak kapłana, jak i reszty inteligencji polskiej, którymi manifestowano swoje uczucia z racji przyjścia wojsk polskich, a wypędzenia bolszewickich były skrzętnie, niemal ze stenograficzną ścisłością, notowane.

I było co notować!

A kiedy w dodatku powiedziano nam: „my (Wojska Polskie) odejdziemy stąd nie prędzej jak za lat 25“, każdy z nas kapłanów czynił dla wojska i współdziałał z nim jeszcze bardziej otwarcie i gorliwie niż przedtem, bo mu tak nakazywał honor i godność szanującego się kapłana — Polaka.

Dlatego to, kiedy wojska polskie odeszły z Podola, wyszli też z nimi, najbardziej, z punktu widzenia bolszewicko - ukraińskiego, skompromitowani kapłani.

Wyszli tylko tacy, których nerwy, nowych naigrawań bolszewickich nie mogłyby były już wytrzymać, lub też tacy, którzy za swoją robotę „w nagrodę“ zapewno dostaliby kulę.

O nich to wszystkich, uczciwy historyk w przyszłości będzie musiał powiedzieć, że byli to, w ścisłym tego słowa znaczeniu „żołnierze Jezusa Chrystusa“ (2. Tym. II. 3), a także i sprawy polskiej, poza kościołem.

Na posterunku stali bardzo często samotni, opuszczeni przez tych, którzy powinni byli być im pomocnymi. Walczyli mężnie, nieustraszenie, najpierw z caratem i prawosławnym „carosławjem“, zwalczając rusyfikatorskie zapędy zaborczego

rządu, a w czasie rewolucji, przeciwstawiali się mężnie zakusom czerwonej płachty, żydowskiej międzynarodówki.

Szli do walki nie z bombami i kulomiotami, nie w otoczeniu siły wojskowej, ale z jedynem orężem: „Prawda Chrystusową".

Nawet krzyża, tego sztandaru kapłana, nieraz w ręku trzymać nie mogli, ażeby hordy dzikie przeciw którym stawali, nie oplwały i nie sponiewierały go, jak to się bardzo często, niestety, przytrafiało!

Dobry kapłan kresowy, ile lat miał pracy kapłańskiej, tyle lat będzie mu pewne zaliczone w niebie „służby żołnierskiej frontowej" dla Chrystusa, a w Chrystusie i dla Narodu. — Bo na ziemi.....

Ze czcią w duchu klękam przed tymi kapłanami, którzy tam zostali!

W hołdzie uwielbienia dla ich heroicznego poświęcenia, im dedykuje te moje wspomnienia.

Ale nie mogę też nie wyrazić głębokiej czci tym, którzy **musieli** odejść z wojskiem polskiem, idąc za myślą słów Kajsiewicza: „Kościół surowo zabraniał wyzywać pogan, wystawiać się samochcąc na męczeństwo i niejeden rzucając się z próżności i dumy upadał. Wolno było podług rady Chrystusa bez niedoskonałości ratować się ucieczką". (Kajsiewicz. — O ważności męczeństwa" str. 50).

* * *

Czy po odejściu wojsk polskich mogliby byli pozostać biskupi: Kamieniecki i Żytomierski, którzy wydawali listy pasterskie do ludu, przeciw bol-

szewikom i tak uroczyście podejmowali wojska polskie?

Nie ulega żadnej wątpliwości, że obaj zostaliby zamordowani, a Bp. Mańkowski, jako właściciel kilku wsi, napewno podzieliłby los brata swego, najzacniejszego człowieka, zamordowanego jedynie tylko dlatego, że miał bardzo wielki majątek na Podolu!

* * *

Bóg miłosierny wszystkim nam, którzyśmy zmuszeni byli opuścić djecezję swoją, dał tę łaskę, że każdy pracuje dla Kościoła i Polski.

Bp. Mańkowski wraz z wik. gen. infułatem Nosalewskim, wziąwszy sobie do pomocy ks. Jarosiewicza i ks. Wiśniewskiego prowadzą małe seminarjum w Buczaczu.

Kilkudziesięciu dzielnych chłopców - uczniów z Podola kształci się tam na przyszłych misjonarzy dla djecezji Kamienieckiej.

Ks. Trocki, Ks. Serwignat pracują wśród robotników polskich we Francji; ja jestem już piąty rok kapelanem w Belwederze, wszyscy zaś inni na stanowiskach parafjalnych, większość na Kresach polskich, jakby straż przednia już doświadczona w walce z zaraza bolszewicką.

Kto wie, może ten exsodus kapłanów jest palcem Bożym by przeszedłszy sami przez piekło bolszewickie spełniali w Polsce posłannictwo wskazywania ludowi, a i nietylko ludowi... jak to wygląda w rzeczywstości „raj bolszewicki“, jak to dobrze pod czerwoną płachtą ozdobioną żydowską pentogramą.

* * *

CHWILE JASNE.

Czy istotnie, pomyślisz czytelniku, tylko moralne cierpienia, materjalne straty, choroby, więzienia i śmierć męczeńska, były udziałem kapłanów katolickich pod panowaniem bolszewickiem?

Czy nie mieli oprócz pomocy „z Wysoka" żadnych pociech duchowych na „ziemi", którebyd awały im siły ducha?

Owszem! Nie mówiąc o zwykłym codziennym pokarmie kapłana, Mszy św. i Modlitwie, ogromną dźwignią w pracy i ulgą dla zbolałych nerwów była bezwątpienia miłość parafjan, bezgraniczne zaufanie, oraz to wewnętrzne przekonanie, że jesteśmy im potrzebni, a nawet konieczni. To była codzienna strawa dla duszy.

Jednak od czasu do czasu Bóg dobry zsyłał chwile nadzwyczajnej łaski i szczęścia. Chwile mocne, które na długo, bardzo długo dawały siły dla znoszenia ciężkich przejść.

Kiedy dzieciak 16 letni wywiadowca z P. O. W. przedarł się przez front z narażeniem własnego życia, kiedy potem poraz drugi idąc wpadł do rąk bolszewickiego motłochu i śmiercią męczeńską zapieczętował miłość Ojczyzny, kiedy bezimienne młode dziewczę polskie, dało się storturować, a nie zdradziło nietylko żadnej tajemnicy, ale nawet swego pseudonimu, dla mnie kapłana, człowieka już starszego było to jakby wskazówką, że ja wobec nich, dzieci heroizmu, nie powinienem mieć granic poświęcenia! Wzmocniony na duchu, dalej pracowałem.

Kiedy pułk Hallera przeszedł przez Zbrucz na Podole, w nocy przyszli do mnie w przebraniu w

rosyjskich płaszczach: major Żymirski, Boruta-Spiechowicz i kilku innych. Przyjąłem ich z otwartemi rękoma, całem sercem ciesząc się, żem wreszcie zobaczył ludzkie twarze wojskowych!

Tuż, o kilka kroków, drugi dom plebanjalny cały był zajęty przez bolszewików.

Z okien swego mieszkania widzieli że w nocy w moim mieszkaniu był jakiś ruch niezwykły.

Służba przyrządzała herbatę, sprzątała naczynia.

Zajmowałem tylko dwa pokoiki. W jednym sam spałem, w drugim matka moja, salonik oddałem na szkółkę, gdzie też większość, drogich moich gości musiała rozlokować się na nocleg.

Zmęczeni drogą zadługo spali i kiedy dziatwa rano wpadła do Szkółki ze ździwieniem otworzywszy buziaki, słyszała, że wojskowi rozmawiają po polsku.

Instynkt duszy dziecięcej odrazu im podszępnął że to nie bolszewicy, to „nasi".

W parę godzin potem w mieście już wiedziano że jacyś niezwykli goście w nocy przyszli do proboszcza, ubrani byli w uniformy wojskowych rosyjskich, a rozmawiali po polsku.

Na drugi dzień żyd M. przyszedł i wręcz mi powiedział: „wiem, że ksiądz ma u siebie gości oficerów polskich, ja muszę ich widzieć. Oddział bolszewicki, który rozlokował się za miastem na dworcu kolejowym grozi nam, że jeżeli do godz. 2-ej nie zapłacimy kontrybucji bardzo wysokiej, to nas wytruje gazami. Ja muszę poradzić się, co my mamy robić". Major Zymirski rozwiał obawy pana M. tłómacząc, że ponieważ miasto jest w kotlinie i od

dworca oddzielone rzeką, więc mogą żydzi spokojnie spać, bo z dworca gazy do miasta nie dojdą.

Uszczęśliwiony żydek pobiegł do swoich i treść rozmowy opowiedział.

Tuż zaraz na dziedzińcu jak powiedziałem był drugi dom kościelny zajęty przez bolszewików.

Na parterze mieszkali bolszewicy - moskale, w suterynach bolszewicy - ukaińscy. Ciągle się ze sobą kłócili i o dziwo, ciągle, to z jednego, to z drugiego obozu ktoś do mnie przybiegał ze skargą i..... groźbą, że „tak dłużej być nie może“. Bolszeszewicy rosyjscy zapowiadali, że wyrżną ukraińców, ukraińcy znowu grozili, że wysadzą w powietrze mieszkających na parterze bolszewików rosyjskich.

Major Żymirski rozesłał swoich oficerów w różne strony na wywiady, z których mieli wrócić za parę dni, sam zaś został na probostwie. Agenci moi dali mi znać, że na drugi dzień o godzinie 12-ej rozpoczną się walki uliczne, między bolszewikami rosyjskimi a ukraińskimi.

Sąsiedzi rozpytywali służbę, kto to był w nocy na probostwie i co to jest za gość u księdza.

Kiedy opowiedziałem o tem wszystkiem memu gościowi, major Żymirski, wyjął rewolwer i powiada: „mam siedem kul, sześć wpakuje bolszewikom, a siódmą sobie. Żywcem im się nie oddam. Mogę jedną kulę i dla księdza zostawić, bo jeśli mnie tutaj złapią, to obaj zginiemy nie bardzo lekką śmiercią“.

W czas jednak przebrawszy się niepostrzeżenie wyszedł z probostwa. W godzinę później zaczęła się strzelanina pod kościołem.

Po wyjściu majora przyszli, na probostwo, bol-

szewicy, zapytując, kogo przechowuję. Na szczęście, nikogo nie zastali. Na drugi dzień zaczeli się zjeżdżać towarzysze Żymirskiego, Boruta Spiechowicz i inni, jeden po drugim. Musiałem ich jaknajprędzej wyprawić w dalszą podróż, bo probostwo było pod bardzo ścisłą obserwacją.

* * *

Pobyt majora Żymirskiego z kolegami na probostwie był jedną z tych jasnych chwil, których tak mi los poskąpił w ciągu trzyletniego pobytu w Barze.

Drugą podobną przeżyliśmy, 28 stycznia 1920 roku, dzięki komisarzowi bolszewickiemu Bohuńskiego pułku.

Wiedząc o tem, że na głowie mojej siedzi kilkunastu żołnierzy, których muszę karmić, złośliwie przysłał mi do karmienia kilku jeńców polskich. Ani przypuszczał, jak wielka to była łaska, zrobiona mnie i moim domownikom.

Siedzieliśmy właśnie wszyscy przy kolacji, zajadając kluseczki na wodzie z kartoflami.

U drzwi wejściowych odezwał się dzwonek, ale jakoś dziwnie łagodnie i natychmiast głos rosyjski: „Po co dzwonisz, wszak widzisz, że drzwi odemknięte". A na to odpowiedź piękną polszczyzną: „Więc cóż z tego, że drzwi odemknięte, wszak bez dzwonienia lub zapukania nie wejdę do cudzego mieszkania".

Niezdążyliśmy sobie zdać sprawy, z tego co się stało, kiedy w progu pokoju stanął żołnierz bolszewicki z karabinem w ręku i wręczył mi kartkę komisarza, na której było napisane: „Proponuję nakarmić 5-u jeńców, polskich legjonistów".



Z powodu braku lokali klerycy Seminarym małego, dyecezji Kamienieckiej w sypialni — namiocie w Buczaczu.

Tuż koło niego stało pięciu tęgich, dorosłych starszych ludzi.

Pomimo 20 stopniowego mrozu ubrani byli tylko w bluzy żołnierskie, bez płaszcza i butów. Ucałowałem ich jaknajserdeczniej.

Wśród nietajonej radości domowników, posadziliśmy ich zaraz przy stole.

Ci biedacy byli nam tak blizcy i my dla nich byliśmy tak blizcy, że radość w oczach, w których perliły się łzy, nie uszła uwagi bolszewickiego żołdaka.

Mam wrażenie, że był to inteligentny żołnierz, bo czuł się bardzo nieswojsko w takiej atmosferze.

Smutnie się uśmiechnął, postawił w rogu pokoju karabin i żartobliwie zwróciwszy się do mnie wskazując palcem na karabin, powiedział: „On tu ich popilnuje, ja pójdę do drugiego pokoju, do moich kolegów“.

Ci jeńcy, to byli pierwsi żołnierze polscy, których widziano w Barze.

Dzielni chłopcy!

Humoru nie tracili i wesoło zajadali skromną kolację. Bardzo sprytnie schowali upominki na drogę i pełni ufności, że „jakoś to będzie“ nie rozmawiali zupełnie o swoim losie, ale o innych.

Dostali się do niewoli w następujących okolicznościach.

Na prośbę chłopów ze wsi Daszkiewiec, koło Jałtuszkowa, wyprawiono ich 6 do wsi. Przewrotni rusini wprowadzili ich wszystkich w zasadzkę, gdzie na 6 naszych żołnierzy czekało uzbrojonych kilkudziesięciu bolszewików. Naturalnie o obronie mowy być nie mogło tembardziej, skoro jeden zo-

stał zabity, drugi ranny, trzeciemu kolbą głowę rozwalono, sierżantowi zęby wybito i szczękę złamano. Rozmowa, którą prowadzili w mojej obecności warta jest tego, żeby przeszła do historji.

Tak ona pięknie malowała wartość ducha polskiego żołnierza i stosunek do oficerów oraz ten animusz z którym szli do walki z bolszewikami.

Przytaczam ją prawie dosłownie.

I żołnierz „Nie praktycznie zrobili, że nas tylko 6 wysłali".

II. żołnierz „Szkoda kapitana, będzie miał dużo przykrości od pułkownika".

III. żołnierz „Ale co nasz poczciwy pułkownik dostanie od jenerała, ho, ho, ho!"

IV. żołnierz „A pewnie, bo u naszego jenerała życie każdego żołnierza dużo warte".

V. żołnierz „A mnie to wsi żal. Nasi, jak się dowiedzą, że chłopstwo nas tak oszukało i wydało bolszewikom, że jednego zabili, a nad nami znęcali się, to im tego nie darują".

* * *

Pierwsi ci jeńcy polscy byli dla nas zwiastunem zbliżającego się wybawienia.

Wojska polskie co raz częściej robiły wypady w stronę Baru.

Paniczny strach bolszewików, którzy dowiedziawszy się, że o wiorst kilkanaście od Baru są wojska polskie uciekali w popłochu, żeby na drugi dzień z większym jeszcze rozjątrzeniem wracać z powrotem.

Jeden za drugim dowódzcy oddziałów, wysyłanych przez bolszewików dla złapania jeńców,

wracali meldując komisarzowi politycznemu, że wyprawa się nie udała i nietylko jeńców nie wzięto, ale stale tracono dużo swoich żołnierzy.

„Politykom“ (polityczny komisarz) natychmiast wymierzał „sprawiedliwość“, pakując dowódzcy oddziału kulę w łeb, tuż zaraz w gabinecie iwysyłał inny oddział, który również z niczem wracał.

O 15 wiorst od Baru, w miasteczku Jałtuszkowie, była fabryka cukru, dokąd wojska nasze robiły, jak powszechnie to nazywaliśmy „wyprawy cukrowe“. Kilkakrotnie udawały się one znakomicie, szerząc popłoch wśród bolszewików, którzy nietylko z Baru, ale nawet ze Zmierzynki odległej o 35 wiorst uciekali na wieść o tem, że z fabryki Jałtuszkowskiej zabierają cukier.

Ale na koniec i Bar doczekał się miłych gości.

* * *

PIERWSZY WYPAD.

W Wielki Czwartek 1920 roku przybiegły dzieci ze wsi do gimnazjum, upewniając, że do Baru idą, jakieś obce wojska“.

Nie rozumiem dlaczego jedni mówili, że niemcy, drudzy, że zbuntowane przeciw bolszewikom wojska galicyjskie, inni znowu, że to wojska węgierskie.

W kilka godzin później bolszewicy wyszli z miasta i rozpoczął się z dwóch stron Baru, z przeciwległych pagórków ogień artylerji. Bolszewicy mieli 4 armaty. Po paru godzinach, celnym ogniem dowódzcy Kończyca, wszystkie zostały unieszkodliwione.

Bolszewicy uciekli.

Z okien probostwa widać było, jak z góry z przedmieścia Czeremys szły do miasteczka wojska! Dzieci z gimnazjum utrzymać nie można było w klasie, wszystko pobiegło na spotkanie. Za kilka minut te dobre kochane dzieciaki przybiegły z powrotem, już od bramy kościelnej radośnie krzycząc: „Polacy! Polacy! Polacy!“

Do miasta wkroczyła jedna kompanja pod dowództwem młodziutkiego oficera. Oficer zatrzymał się w magistracie. Aresztowano zaraz paru moskali, którzy służyli u bolszewików i byli zdecydowanymi przeciwnikami interwencji polskiej w sprawach ukraińskich. Dowiedziawszy się o tem, poszedłem do porucznika do magistratu.

Bardzo miły i sympatyczny człowiek!

Ogromnie był ździwiony, a nawet do pewnego stopnia wystraszony, zobaczywszy mnie: „Myśmy przyszli, powiada, tylko na parę godzin, zaraz wracamy. Po co się ksiądz naraził przychodząc do nas“.

Odpowiedziałem jemu, że dowiedziawszy się o tem, iż do Baru weszły wojska polskie pod jego dowództwem, bałem się, żeby ktoś, nie powołany, nie wprowadził go w błąd, co do ogólnej sytuacji politycznej, co do siły zbrojnej bolszewickiej w mieście i okolicy i co do nastroju ludności. Dlatego więc przyszedłem.

„Ale ja właśnie wiadomości te otrzymam od aresztowanych tu kilku osób, które są tam w przedpokoju“, odpowiedział mi. Wytłomaczyłem, że ci właśnie aresztowani celowo wprowadzą go w błąd, że wszystkie wiadomości, jakie mu są potrzebne mam, i chętnie udzielę, ale tylko samemu dowódz-

cy, majorowi Kończycowi, że go proszę, by natychmiast aresztowanych zwolnił i udawał wobec ludzi, że mnie prowadzi do pułku.

Tak też się stało.

Poszliśmy razem na przedmieście Czemerysy, gdzie stał sztab pułku.

Dowódzca był bardzo niezadowolony, żem się narażał i koniecznie chciał mnie zabrać ze sobą. Udzieliwszy wszystkich, potrzebnych informacji, urządziliśmy komedję wobec gapiów, mieszkańców Czemerys. Dowódzca domagał się niby kategorycznie, że mnie chce koniecznie zabrać, ja zaś twierdziłem, że muszę zostać.

Wydał mi zaświadczenie na piśmie, że byłem sprowadzony do sztabu.

Wróciłem do domu.

W parę godzin wojska polskie odchodziły, a wchodziły bolszewickie.

Chcieli mnie zaraz aresztować, ale mieszkańcy Czemerys, zaświadczyli, że ja miałem możność wyjścia z wojskami polskimi, ale nie wyszedłem.

Był to pierwszy wypad wojsk polskich do Baru.

Jako skutek tego wypadu była zdwojona czujność czerezwyczajek i licznych szpiegów bolszewickich.

Niestety, i... zrażenie się do wojska polskiego dzięki wybrykom kilku łotrzyków.

We wsi Okładne cała ludność była katolicka i polska. Kilku żołnierzy polskich zabawiało się w rekwizycję. Skutek był fatalny! Zniechęcenie, rozpacz ludu polskiego nie miała granic.

Jedna za drugą delegacje, nie tylko z sąsied-

nich wiosek, ale i sąsiednich parafji, przychodziły sprawdzić, czy to istotnie „polskie wojska krzywdziły polską, katolicką ludność“.

Rusini i popi w jeden głos, mówili: „jeżeli tak wojska polskie zachowały się w stosunku do ludności polskiej i katolickiej, to cóż oni robić będą z nami“.

Dla mnie ten wypad wojsk polskich był ogromną dźwignią moralną!

Wiedziałem napewno, że lada dzień przyjdą znowu, na stałe.

Godziny wydały się, jak lata, a dnie w oczekiwaniu ponownego przyjścia były, jak wieczność, długie.

XIV.

Zdobycie Baru.

W drugiej połowie kwietnia 1920 r., był już nadzwyczajny ruch w mieście.

Dzień i noc dyżurujące podwody przy urzędach bolszewickich, złożone na nich kufry, wzmożona czujność czerezwyczajek, areszty i rewizje, wymownie świadczyły, że godzina wybawienia zbliża się.

„Rewkom", „Parkom" i rozmaite inne „Komy" żydowskie czuwały... nad probostwem. —

Ale... o ironjo losu żydowskiego, czuwały, ażeby księdzu nic złego nie stało się.

Coś w powietrzu czuć! Coraz natarczywiej i głośniej mówią, że proboszcz ma być zabity.

Ostatni termin naznaczyli na 24 kwietnia w nocy.

Czuwamy z matką!

Istotnie o godzinie 1-ej w nocy, bolszewickie wojsko otacza probostwo od strony ogrodu. — Koło drzwi i okien postawiono warty.

Zapalam światło w mieszkaniu, a sam wychodzę do nich przez wyjście frontowe. —

— Stare probostwo, gdzie mieszkałem, było połączone wysokim parkanem z drugim budynkiem. W chwili, kiedy przez ten parkan starałem się przejść, z za węgła wyskoczył żołnierz bolszewicki i zmierzywszy do mnie z karabinu zaczął krzyczeć: „Stój, stój!“ Jednocześnie sam cofał się. — Karabin w ręku jakoś trzymać mu się nie chciał. — Widocznem było, że ręka drży. — Myślałem, że to pijany żołdak i głośno zawołałem: „Kto tu jest z was starszy“.

Komendant miasta na czele z oddziałem żołnierzy przyszedł szukać w moim mieszkaniu, jak się wyraził „ukrytego szpiega polskiego“.

Po zrobieniu rewizji, w formie nadzwyczajnie uprzejmej i grzecznej, wycofali się z probostwa i z dziedzińca. — Kiedy odchodzili, posłyszałem taką rozmowę: „Stałem ci na czatach koło domu, kiedy patrzę, raptem przez parkan przełazi „zdorowiennyj, czornyj czort!“ Zmierzyłem do niego z karabinu i chciałem zastrzelić, ale karabin widocznie się zaciął, czy też mój palec odmówił posłuszeństwa, bo prawdę powiedziawszy przeląkłem się okropnie“.

To był ostatni głos bolszewika, który słyszałem. — —

Daj Boże, bym już nigdy nie słyszał!

Na drugi dzień, w niedzielę rano, kiedy odprawiałem w kościele Mszę św. o godzinie 9. zaczęła się walka.

Z bijącem sercem obserwowałem przez lornetkę jak na wzgórzu, za Barem, rozsypani w tyraljerkę, zbliżali się do miasta polscy żołnierze! Szedł

pułk 54-ty, pod dowództwem majora Kończyca, tego samego który w W. Czwartek, zrobił był pierwszy wypad.

Patrzyliśmy, jak bolszewicki motłoch w panice uciekał, jak wojska zajęły przedmieście Baru, Czemerysy, położone na wzgórzu, naprzeciw kościoła i probostwa.

Dostępu do miasta broniła niepokaźna rzeczułka Rów, a właściwie błota, przez które płynęła.

Jedyna droga, przez którą można było przejść było to dość długa grobla, którą bolszewicy od strony miasta, obwarowali kulomiotami, sami pochowawszy się w domach żydowskich, stamtąd z zasadzki ostrzeliwali wojsko polskie.

Czwarty pułk strzelców Podhalańskich, zachodząc tyły wojska bolszewickiego, miał wejść z przeciwnej strony, ale się opóźniał.

Nieliczna garstka bolszewików, dzięki kilkudziesięciu kulomiotom, broniła Baru, aż do wtorku rano. — W nocy z poniedziałku na wtorek, porucznik Muraszko, dobrawszy sobie do pomocy kilkunastu żołnierzy, na ochotnika, postanowił sforsować groblę, rzucając się mężnie na kulomioty.

Ta brawura żołnierza polskiego, zachwiała męstwem bolszewików.

Uciekli z miasta!

Porucznik Muraszko i kilkunastu żołnierzy, ciężko rannych oddają Bogu ducha!

27 kwietnia 1920 r. po stukilkudziesięcioletniej niewoli, pod jarzmem moskiewskiem, Bar wraca do rąk polskich. —

Do miasta z jednej strony wchodzi piechota pod dowództwem Kończyca, z drugiej kawalerja, pod dowództwem Boruty - Spiechowicza.

Nie będę się silił na opisywanie tej radości i szczęścia, jakiego doznali yszyscy, kiedy wojska weszły. -- Odetchnęliśmy swobodną piersią, dumni, że w środowisku swoim mamy kulturalnego, polskiego żołnierza.

Rannymi zajęły się nasze panie z p. Eugenją Brzezińską na czele, która z ogromnem, szlachetnem poświęceniem zawsze szła pierwsza tam, gdzie było prawdziwe nieszczęście i potrzeba serca ofiarnego. -- I tu, natychmiast po skończonej walce piewsza znalazła się przy rannych. Wezwany przez nią do ciężko rannych żołnierzy, doktór - żyd, Klejman, przyjść nie chciał. (Mam za złe bardzo lekarzom - polakom, którzy w kilka godzin potem przybywszy do Baru, starali się obronić tego łotra, - komunistę, doktora Klejmana, od zupełnie zasłużonej kary). --

Żołnierz był dumny, że zdobył miasto, ale jednocześnie rozjątrzony zachowaniem się doktora żyda i tem, że z żydowskich domów bolszewicy strzelali, do wojska. -- Aresztowano zaraz kilkudziesięciu żydów, pośród których widziałem starych, o siwych brodach.

Ani chwili nie wątpiłem, że zostali fałszywie oskarżeni, przez jakchś prowokatorów.

Wskutek mojej interwencji, natychmiast wszyscy zostali zwolnieni.

Pułk Kończyca, tego samego dnia poszedł da-

lej. — Pozostała kawaleria, po tygodniowym pobycie w mieście wyruszyłea także w dalszą drogę.—

* * *

Z przerażeniem zobaczyłem, że tyły armii były zupełnie niezabezpieczone.

Kilkudziesięciu żołnierzy i kilku żandarmów, to były śmiesznie małe siły, któreby nietylko nie mogły przeciwstawić się jakiejkolwiek ruchawce, ale nawet podtrzymać ład w całym powiecie.

Widzieli to bardzo dobrze zawodowi bandyci i polityczni agitatorowie, awanturnicy, a jednak nigdzie na tyłach armii polskiej, kiedy wojsko nasze szło naprzód, u nas na Podolu, żadnych ekscesów nie było! Ja który tak dobrze znam lud rusiński, uważam to za najlepszy dowód, jak szczerze chciano, żeby wojska polskie pozostały na Rusi, na stałe.

* * *

Moi ludzie szybko mi dali znać, że jak w mieście tak też i w okolicznych futorach ukrywa się dużo bolszewików. — Kryjówek ich zdradzić nie chciano jednak. -- Czy to przez bojaźń zemsty, czy też brak ufności, nikt nie chciał mówić o tych rzeczach z władzami polskimi. —Przychodzono najpierw do mnie i tak żydzi, jak też i moskale prosili bym czuwał i nie dopuścił żeby liczna sfora bolszewickich najmitów mogła się porozumieć i zorganizować.—

Nie była ta robota dla mnie trudną, ponieważ pierwszy komendant miasta, człowiek starszy i poważny, po mianowaniu na wyższe stanowisko wydał wyraźnie rozporządzenie swoim następcom.

ażeby stale ze mną się komunikowali i rachowali się z moją opinją i zdaniem.

— Dano mi znać, że kilku żydków i chrześcijan już agituje wśród wojska polskiego, a jednocześnie pośród ludu, przeciw wojsku. — Po zebraniu dowodów przedstawiłem je panu komendantowi, który natychmiast aresztował wszystkich. — Ale młoda, przystojna żydóweczka, należąca do tej zgraji i ciesząca się względami wyższych władz tak bolszewickich, jak też i Petlurowskich, niestety, zawsze znajdowała sympatję i u polaków, którzy powinni byli przedewszystkiem ją aresztować i osadzić w więzieniu. — Została uznana tak dalece „niewinną“, że kiedy wojska polskie opuszczały Bar, jeden z oficerów zabrał ją ze sobą...

* * *

Społeczeństwo rosyjskie, kilku świeżo upieczonych, ideowych ukraińców, duchowieństwo prawosławne i nawet inteligencja żydowska, byli pełni nadzieji, że wszystko pójdzie pomyślnie i wojska polskie zostaną na miejscu na stałe. — Pobór, nakazany przez Petlurę zapowiadał się świetnie. — Dosłownie tysiące zgłaszały się do urzędów.

Ale kiedy rozklejono w mieście historyczną odezwę do ludu za wspólnym podpisem Piłsudskiego i Petlury, kandydaci na żołnierzy ukraińskich, zabrawszy buty, które im wydawano, odeszli do domu, a my wszyscy bez różnicy narodowości i przekonań politycznych odrazu powiedzieliśmy, że sprawa przegrana! Dlaczego?

Jak to już w innem miejscu mówiłem, idea ukraińska nie miała podatnego gruntu w mieszkańcach Podola. — Petlurę uważano za awanturnika i karjerowicza, w szczerość jego sympatji politycznych i sojuszu z Piłsudskim literalnie nikt na prowincji nie wierzył i ciągle zapytywano, kiedy Petlura oszuka Piłsudskiego i rozpocznie z nim walkę.—

A że tych walk o władzę było bez liku, nadzieja na tak pożądany i oczekiwany pokój, który jak wierzono mieli przynieść polacy, prysła, **a chłop ukraiński nie chciał iść służyć Petlurze.**

* * *

W czasie narady, która się odbyła u mnie na probostwie, gdzie byli zebrani przedstawiciele żydów, ukraińców i moskali, wszyscy powiedzieli to samo przedstawicielowi sztabu polskiego.

Ponieważ jednak upewniano, że wojska przyszły na Podole na stałe, zorganizowałem nietylko resztki inteligencji, ale nawet i ludu polskiego, dla przyjęcia czynnego udziału w kilku manifestacyjnych pochodach, nabożeństwach, usypaniu olbrzymiego kopca na mogile poległych żołnierzy polskich i t. p.

Potem na kilka dni wyjechałem do Warszawy. Po 2-ch dniach pobytu w Warszawie, dowiedziałem się o klęsce wojsk polskich i pośpiesznem wycofywaniu się.

Kiedy 17 czerwca przyjechałem z powrotem do Baru, zastałem już na probostwie wszystkie rzeczy spakowane i matkę gotową do wyjazdu.

Poczucie osobistej godności ludzkiej, honor człowieka kulturalnego, nie mówiąc o innych uczuciach nakazywał nam otwarcie, wyraźnie przeciwdziałać barbarzyńskiej, dzikiej, bezmyślnej, niszczycielskiej robocie zgrai zbrodniarzy mianujących się partją komunistyczną — bolszewikami.

Gdyby były przyszły wojska: japońskie, chińskie, nawet papuasi, a nawet sam djabeł ze swoimi kamratami, niezawodnie na prowincji, wszyscy byliby im pomagali byle tylko pozbyć się tej wyuzdanej, wyrafinowanej w okrucieństwach dziczy, która nikogo i nic ne uszanowała, a nawet własnych „praw" swoich.

Cóż więc dziwnego, że kiedy wojska polskie przyszły, tembardziej, robiliśmy wszystko co tylko można było, ażeby mogły zostać na stałe.

Wszak w pierwszym rzędzie domagał się tego zdrowy sens „człowieka", instynkt samozachowawczy, a potem dopiero uczucia religijne i narodowe, co tak brutalnie wypominają kapłanom katolickim. najmici żydowskiego pętogramu

Całe miasteczko widziało mego brata rodzonego i kilku innych moich parafjan, braci Rożałowskich, Hałuszczyńskiego, Pniewskiego, jak w mundurach polskich oficerów, ku zdumieniu mieszkańców spacerowali w Barze.

Rozważywszy to wszystko postanowiłem Matkę moją odwieźć do brata do Warszawy, łudząc się jednak jeszcze nadzieją, że może coś się zmienić i uda się wrócić z powrotem.

Zostawiłem wszystkie moje najniezbędniejsze rzeczy: ubranie, pościel, bieliznę, bibljotekę, archi-

wum, bardzo ciekawy zbiór notatek rozmaitych ciągle marząc o tem, że prędko będę mógł znowu być w Barze. —

Podróż pełna przygód trwała zamiast 3 -- 12 dni.

Przyjechawszy 29 czerwca do Warszawy, dowiedziałem się o stanie spraw naszych na froncie! O powrocie do Baru już i mowy być nie mogło.

W kilka dni potem, 5 lipca tegoż roku, zostałem mianowany kapelanem wojskowym do kadry marynarki polskiej w Toruniu.

Dzięki staraniom dziekana okręgu Warszawskiego ks. Prałata Niewiarowskiego i łaskawym względom Najdostojniejszego Biskupa W. P. Galla, zostałem przeniesiony 13 sierpnia na kapelana garnizonu Warszawskiego, rejonu Łazienkowskiego.

8 października otrzymałem nominację na zastępcę dziekana okręgu wojskowego w Warszawie.

8 listopada 1920 r. Ks. Biskup Gall mianował mnie kapelanem Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego w Belwederze, gdzie i dotąd jestem w charakterze Kapelana Prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego.

Dnia 27 lutego 1925 r.
Łazienki, Pałac Myśliwiecki.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY

Przedmowa I.

CZĘŚĆ PIERWSZA: str.

M **Część druga:** M

Część trzecia.